

RYSZARD DOMINIAK

TAJEMNICA
PLANETY
HAT



RYSZARD DOMINIAK

**TAJEMNICA
PLANETY HAT**



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA WARSZAWA 1986

Właśnie gdy At zamierzał udać się do pokoju wychnienia, jaskrawym fioletem zamrugało oko aparatury M-16 i zaraz też z umieszczonego niżej głośnika dobiegły go słowa:

— Zgłasza się Zespół 3. Do bazy Oki zgłasza się Zespół 3 z ważnym komunikatem.

At wychylił się nieco z fotela. Jego lewe ramię zawisło na chwilę nad czarnym pulpitem, którego połyskliwą płaszczyznę wypełniały przełączniki. Przekręcił jeden z nich i powiedział:

— Baza Oki przyjmuje informację Zespołu 3.

Teraz zamigotało jeszcze jedno, tym razem białe światełko i At usłyszał cichutki szelest aparatury zapisu:

— Uwaga! W dniu siedemdziesiątym trzecim pa, czasu osiemnaście do dwustu osiemdziesięciu Zespół 3 utracił kontakt wizyjny i foniczny ze statkiem G-137. Pojazd ten realizował swój program w kwadracie czterdzieści jeden, osiemdziesiąt pięć planety Hat. Penetrowany przez G-137 obszar jest pustyński, słabo zaludniony. Wzdłuż linii czterdzieści jeden ciągnie się łańcuch skalistych gór, w lewym dolnym rogu kwadratu miasto Kasazata, a dalej, niemal w środku pustyni, zakłady produkujące paliwo Wu. Zgodnie z planem załoga statku miała pobrać próbki surowca i gotowego produktu. Jak wynika z relacji dowódcy, pojazd znajdował się nad celem, gdy nagle urwała się fonia. Wówczas dyżurny operator natychmiast włączył kanał awaryjny. Nie przyniosło to spodziewanego skutku. Jeszcze przez chwilę można było obserwować G-137 na monitorze. Od tego momentu utraciliśmy z nim kontakt promienny. W tej sytuacji Zespół 3 skierował na miejsce wypadku najbliższy pojazd G-135. Jego załodze zalecono ustalenie przyczyn awarii, a w razie konieczności zniszczenie G-137. Mimo że od chwili wydania polecenia statek G-135 był już po kilkudziesięciu sekundach w wyznaczonym kwadracie i mimo że podczas poszukiwań zastosował jarzenie dematerializujące, nie natrafił na jakikolwiek ślad pojazdu. Z tych względów Zespół 3 zgłaszając niniejszą informację pilnie prosi o instrukcje. Podpisano: Kierownik Zespołu 3 — Mar.

At ponownie wychylił się nieco z fotela i powiedział w stronę ukrytego gdzieś między aparaturą mikrofonu:

— Informację Zespołu 3 przyjęto. Do czasu nim otrzymacie szczegółowe instrukcje, należy prowadzić poszukiwania statku. To wszystko.

Głos Ata brzmiał szeleszcząco, był równie cichy i bezbarwny jak głos w głośniku. Nie-ruchome, szeroko rozstawione oczy Ata sugerowały, że otrzymana przed chwilą wiadomość nie zrobiła na nim wrażenia. Było to jednak odczucie mylące. Już pierwsze zdania komunikatu uświadomiły Atowi rozmiar klęski. Odczuł ją szczególnie mocno, gdyż katastrofa statku G-137 była jakby i jego porażką. To on, At, zaprogramował lot statku, wyznaczył załogę, cel,

zadania. Zrobił to wbrew zastrzeżeniom głównego specjalisty bazy, Gaja, i przy biernym przyzwoleniu szefa, Duta. Wiedział, że stary Dut miał do niego słabość, że w wielu wypadkach pobrażał mu. Tę słabość szefa At wykorzystywał niejednokrotnie do własnych celów. Tym razem jednak jego nieposkromiona ambicja, tkwiąca w nim żądza wybicia się za wszelką cenę doprowadziły do klęski. Wiedział, bardzo dobrze wiedział, że w raporcie do Ferriego Gaj nie omieszka przedstawić, kto był autorem projektu. Oczywiście uzasadni i swoje negatywne stanowisko wobec planu Ata, co równoznaczne będzie z oskarżeniem skierowanym przeciwko niemu i Dutowi. At zdawał sobie sprawę z konsekwencji. Wiedział, że Ferri, szef lotów międzygwiazdnych planety Nurra, jest istotą bezwzględną, stosującą ostre kary wobec tych wszystkich, którzy w swej działalności dopuszczają się jakiegokolwiek niesubordynacji. Pod tym względem nie miał złudzeń. Jeśli szef lotów międzygwiazdnych otrzymałby raport o zamierzonej bez jego wiedzy akcji, w wyniku której zaginął statek typu G-137, zarówno on, jak i Dut skazani zostaliby na ciężkie roboty w kopalniach Tisco. Oczywiście wyobraźni At widział już siebie, jak obsługuje wielkie roboty w głębokich, pełnych wyziewów sztolniach. Pomyślał o Ducie. Jeśli on — istota w sile wieku — mógł liczyć na przeżycie kilku, a nawet kilkunastu lat, to stary Dut... At westchnął. Jego owalna głowa o wypukłym czole przechyliła się na lewe ramię, a ręka zmierzająca do przełącznika wizji zawisła w pół drogi. Dla starego Dula sztolnie to pewna śmierć. Właśnie wtedy postanowił nie informować swego szefa o wydarzeniu. Cofnął więc rękę od włącznika radiotelefonu i opadł w głąb fotela. Zamyślił się. Postanowił zniszczyć zapis przyjętej informacji. W ten sposób zyskałby kilkanaście godzin na prowadzenie poszukiwań we własnym zakresie. Czy jednak jest to możliwe? Czym uzasadni pilną potrzebę wyjazdu na satelitę Zi, na którym stacjonuje załoga Zespołu 3? Jeśli nawet przekona Duta o potrzebie dokonania wymiany urządzenia gama w centrum obliczeniowym Zespołu, to fakt ten wcale nie oznacza, że będzie mógł polecieć na planetę Hat. Chyba że ominąłby satelitę Zi? Gdyby nawet tak zrobił, to i tak nasłuch wizyjny Zespołu wykryje pojazd.

Im dłużej At rozmyślał nad sposobem wybrnięcia z trudnej sytuacji, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego możliwości tylko pozornie były duże. Rzeczywistość zamykała się w ciasnym, kontrolowanym ze wszystkich stron systemie, w którym spełniał on podrzędną rolę starszego operatora nawigacji kosmicznej dalekiego zasięgu. Chociaż? Gdyby zechciał, mógłby na przykład opanować statek Pirna-2. Pojazdy tego typu przystosowane są do dalekich rejsów kosmicznych, a najważniejsze, że wyposażone są w taki system samoobrony, który wyklucza jakąkolwiek ewentualność przechwycenia lub zniszczenia pojazdu. Jeśli więc zdecydowałby się na porwanie Pirny, miałby przynajmniej pewność, że skoro nawet nie uda

mu się odszukać G-137, to i tak droga w przestrzeń kosmiczną będzie przed nim otwarta. Ucieczka na Pirnie była przedsięwzięciem pewnym i tak bezpiecznym, że At mimo woli uśmiechnął się. Nawiedziła go bowiem myśl, że mógłby wreszcie zrealizować swe marzenie — polecieć w kierunku gwiazdozbioru Defa. Tam właśnie pięć lat temu wyruszyła wyprawa kosmiczna kierowana przez ojca Ata — Atarina. Trzy statki typu Pirna-1 opuściły planetę Nurra z poleceniem zbadania odległego o osiem lat świetlnych gwiazdozbioru Defa. Z obliczeń wynikało, że pojazdy miały osiągnąć pole grawitacyjne najjaśniejszej gwiazdy układu Defa w ciągu trzech lat i siedemdziesięciu sześciu dni. Obliczenia sprawdziły się. Przy szybkości krytycznej pojazdu wartość czasowa względem miejsca startu ulegała infilmacji i była niewspółmierna do czasu planety Nurra o jeden i trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcznych sekundy. Tę zależność po raz pierwszy potwierdziła praktyka długotrwałego lotu wyprawy do gwiazdozbioru Defa. Do momentu osiągnięcia pola grawitacji Defy utrzymywana była pomiędzy statkiem a kosmodromem Baa stała łączność. Dopiero gdy pojazdy zbliżyły się do jednej z planet, którą ojciec Ata nazwał Tiraza, co oznaczało „odchylona”, system łączności wizyjno-fonicznej zaczął ulegać silnym zakłóceniom, aż w pewnej chwili zanikł. Nie pomogły awaryjne generatory wielkiej mocy. Ostatni meldunek z wyprawy brzmiał tajemniczo: „Znajdujemy się w sferze oddziaływania gwiazdy Omega. Jest to gwiazda, na której zachodzą procesy energetyczne typu «widmo 5», a więc dokładnie nam znane. Natomiast niepokój budzi struktura masy i układ otaczających gwiazdę planet. Jedna z nich, połyskująca nieznanym szarym światłem, posiada zadziwiająco silne, wirujące pole magnetyczne. Mimo znacznej odległości przyrządy nasze wyraźnie odczuwają wpływ tego pola. Najlepszą ilustracją zjawiska jest fakt, że nasze Pirny mają trudności z utrzymaniem właściwego kursu”. I jeszcze po małej przerwie coś jakby westchnienie zakończone uwagą: „Od kilku godzin narasta we mnie uczucie niepokoju. Jest to jakiś lęk wynikający z przeświadczenia, że znajdujemy się w obliczu nieznanego zjawiska, które może okazać się dla nas groźne”.

I to były ostatnie słowa ojca. Z taśmą, na której były one nagrane, nie rozstawał się At od chwili, gdy powszechnie uznano flotyllę statków badających przedpole gwiazdozbioru Defa za zaginioną. Tylko At nie podzielał tej opinii. Sądził, nie bez pewnych racji, że możliwość zniszczenia bądź awarii trzech statków powietrznych klasy Pirna-1 jest mało prawdopodobna. A jeśli tak, to na jednej z planet układu Omega prawdopodobnie wylądowały statki wyprawy. Silne pole magnetyczne układu nie sprzyja, a nawet wyklucza nawiązanie łączności, co oczywiście wcale nie oznacza, że załogi pojazdów nie żyją. At i inni członkowie rodzin uczestników wyprawy zabiegali u Ferriego, aby wysłał w rejon Defy ekipę poszukiwawczą. Ale szef dowodzenia lotami dalekiego zasięgu, który zazwyczaj przejawiał niezwykłą konsekwencję,

jeśli chodzi o realizację własnych programów, tym razem zbywał milczeniem każdą inicjatywę. Dziwne zachowanie Ferriego intrygowało Ata. Z różnorodnych domysłów i przypuszczeń jedno dla niego było pewne: szef lotów musiał wiedzieć na temat losu członków wyprawy coś, co nie pozwalało mu na podjęcie jeszcze jednej ryzykownej decyzji. Co to mogło być? Możliwe, że przesłane przez ojca Ata dane, po opracowaniu przez superkomputery, wykryły jakieś groźne dla żywego organizmu zjawiska. Możliwe, że są one aż tak niebezpieczne, że Wielka Rada planety Nurra postanowiła nie podawać ich do wiadomości ogółu. Mimo tych i innych wątpliwości w umyśle Ata zrodziło się ugruntowane z czasem przekonanie, że niezależnie od stanowiska Wielkiej Rady on, jako syn, powinien udać się na poszukiwanie ojca. Kiedyś nie miał ku temu okazji. Dopiero po ukończeniu studiów technicznych, gdy otrzymał skierowanie do pracy w przestrzeni kosmicznej, jego plan począł nabierać realnych kształtów. Już po kilkunastu próbnym rejsach Ferri uznał, że Atowi można powierzyć samodzielne stanowisko. Być może przyczynił się do tego Dut, który przed laty był przyjacielem ojca Ata. Tak czy inaczej dopiero tutaj, w bazie ulokowanej na martwej, wulkanicznej planecie mógł At zrealizować swój plan. Pokusa była silna, zwłaszcza teraz, kiedy otrzymał niepomyślny dla siebie meldunek. Oczyma wyobraźni widział się już pędzącego z zawrotną szybkością w kierunku gwiazdy Omega. Przewidywał nawet, jakie czekają go tam zmagania z tajemniczymi siłami, które ojciec określił jako „magnetyczne wiry”. Czy rzeczywiście były to wirujące fale magnetyczne, tego nie wiedział. Miał jednak nadzieję, że pojazd Pirna-2, będący udoskonaloną wersją Pirny-1, pokona i tę przeszkodę. A jeśli tak, jeśli Atowi uda się odszukać zaginionych, to czy w nagrodę Wielka Rada nie powinna puścić w niepamięć historii z G-137?

Rozmyślania Ata przerwało niskie buczenie. Instynktownie nacisnął włącznik. Na srebrzystym, wbudowanym w ścianę monitorze błysnęło światło i już po chwili, jakby gdzieś z jego głębi wyłonił się obraz. Nieduży, różową boazerią wyłożony pokój z leżanką, na której spoczywała dziewczyna. Dopiero gdy jej uśmiechnięta twarz wypełniła ekran, At usłyszał niski, szeleszczący głos.

— Och, At — powiedziała cicho dziewczyna. — Czekając na ciebie zdrzemnąłam się.

— Czy to aż tak ważne?

Patrzył w drobną twarzątkę swej przyjaciółki nie ukrywając zdziwienia.

— To bardzo dobrze...

Przerwała mu. Mrugnęła filuternie okiem.

— Wiem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie sen.

Nie mógł powstrzymać śmiechu.

— A ty ciągle swoje. Nadal układasz horoskopy, wierzysz w sny i zjawiska asetosyjne,

tak jakbyś nie była istotą z planety Nurra, a jedną z tych prymitywnych istot, które zaludniają planetę Hat.

Oczy Alby zwężyły się, a jej regularne rysy twarzy wykrzywił grymas niezadowolenia.

— Przestań! — zawołała. — Powtarzasz utarte, obiegowe sądy tych, którzy uważają się za jedynych władców kosmosu, za istoty o najbardziej rozwiniętym mózgu.

— Sądzę, że nie wątpisz w to, że tak właśnie jest.

— Właśnie, że wątpię i mam ku temu powody.

— Wybacz, ale nie jestem usposobiony do tego typu rozważań.

— Czy coś się stało?

Obraz oddalił się, nabrał perspektywy.

— Ależ nie, nic się nie stało — zapewnił nieco podnieconym głosem.

Teraz znowu monitor wypełniła twarz Alby. Jej skośne, zielone oczy z uwagą wpatrywały się w Ata.

— Widzę po twoim spojrzeniu, że coś przede mną ukrywasz.

Roześmiał się z przymusem.

— Zamiast snuć przypuszczenia, powiedz lepiej, co przeżyłaś w marzeniach sennych — zmienił temat rozmowy

— Rzeczywiście — przyznała dziewczyna.

Jej drobna dłoń zgarnęła opadające na czoło włosy. Były ciężkie. Połyskiwały ciemną czerwienią, jak dogasający ogień. Piękne włosy miała Alba. Długie, puszyste, szczelnie oplatające jej kształtną głowę. Teraz, gdy dłonią zagarnęła opadające na oczy pasmo, błysnęły w różowym świetle niby płomień.

— Wyobraź sobie... — zawahała się. — Miałam dziwny sen. Chociaż... Czy lot do gwiazdozbioru Defa można nazwać dziwacznym! Chyba nie — odpowiedziała sama sobie i mrużąc oczy uśmiechnęła się z wdziękiem. — Otóż śniłam, że na Pirnie-2 lecieliśmy w kierunku Defy. Oprócz ciebie i mnie na pokładzie statku był ktoś, kto wydawał się naszym znajomym, ale nie potrafię go z nikim utożsamić. Osobnik ten przeciwny był twojemu zamiarowi lądowania na planecie Omega, na której miały przebywać załogi pierwszej wyprawy. W wyniku różnicy zdań nastąpił między wami konflikt. Zamierzałeś unieszkodliwić tego osobnika, ale on, jakby przewidując tę ewentualność, wyprzedził twój zamiar. Zawładnął kabiną lotów, zamknął się w niej i skierował statek w kierunku naszej planety. Wtedy ty postanowiłeś opuścić Pirnę na pokładzie sondy. Tłumaczyłam ci, At, że to szaleństwo, że lot na małej sondzie w niezbadanej przestrzeni kosmicznej to pewna śmierć. Ale ty byłeś uparty. Tak uparty, że nawet moje łzy nie powstrzymały cię od tego szaleńczego zamiaru. Wtedy się

obudziłam.

Alba przymknęła powieki. Obserwującemu ją Atowi wydawało się, że jego przyjaciółka bardzo przeżywa swój sen. Opowieść Alby również i na nim zrobiła silne wrażenie. Jednakże starał się, aby tego nie okazywać. Zapewne dlatego przyoblekł twarz w grymas uśmiechu.

— Jak to dobrze, że to tylko majaczenia senne. Już kilkakrotnie zwracałem ci uwagę, abys nie angażowała się uczuciowo w coś, co jest wytworem podświadomości. Ty jednak uparcie dążysz do tego, aby w codzienność życia wpleść można było coś ze snu, coś z marzenia. Ja to nawet w pewnym sensie rozumiem, ale sama wiesz, że świat, w którym żyjemy...

— Wiem, co chcesz powiedzieć, At — przerwała mu ze smutnym uśmiechem. — Jeszcze raz chcesz mi udowodnić, że ja, Alba, wraz ze swoją filozofią zupełnie nie pasuję do istot z planety Nurra. Czy tak?

At poczuł zakłopotanie. Kochał Albę. Darzył ją głębokim uczuciem nie tylko dlatego, że była miłą, ładną dziewczyną. Fascynowała go jej bogata natura. Poglądy Alby na życie zasadniczo odbiegały od przyjętych schematów. Podczas gdy celem życia istot zaludniających planetę Nurra było jak najszybsze nagromadzenie dóbr materialnych, by można je było konsumować w poczuciu bez troski i względnej swobody, dla niej były to sprawy mało istotne. Dla Alby ważne było życie duchowe i tę jej inność wysoko sobie At cenił. Aby więc nie zrazić przyjaciółki nieopatrzonym słowem, powiedział pojednawczo:

— Porozmawiamy o tym innym razem. Za dwadzieścia minut kończę dyżur, a mam jeszcze do załatwienia pilną sprawę.

— Pilną sprawę? — zdziwiła się.

W tej właśnie chwili z głośnika numer trzy rozległ się sygnał. Było to niskie, w regularnych odstępach czasu przerywane buczenie, napełniające owalną kabinę Ata wzmożoną wibracją. Gdyby nawet At był pogrążony w głębokim śnie i nie usłyszał buczenia, to wibracja powietrza miała te właściwości, że w obwodzie słuchowym wywoływała rezonans. Jego silne działanie w ciągu kilku sekund przywracało świadomość. Teraz słysząc go Alba zaproponowała:

— Przyjdź do mnie. Sądzę, że powinniśmy kontynuować tę niewątpliwie interesującą dyskusję.

At skinął głową.

— Dobrze.

Pokręcił jedną z wielu gałek. Z monitora znikł obraz pokoju Alby. Na jego miejsce wypłynęła ciemna głębia przestrzeni kosmicznej. Przez chwilę palce Ata manipulowały przy gałkach pulpitu. Dopiero gdy obraz przybliżył się i zamigotały ustawione w trapez światła ba-

zy Zespołu 3, włączył głos. Z głośnika dobywały się lekkie trzaski. At nachylił się nad pulpitem.

— Tu Oki. Wzywam bazę Zespołu 3 do relacji.

W odpowiedzi usłyszał ten sam cichy, szeleszczący głos, co przed godziną:

— Zespół 3 do bazy Oki. W ślad za komunikatem z godziny osiemnaście do dwustu osiemdziesięciu dwóch informujemy, że pojazd G-135 zlokalizował miejsce przymusowego lądowania sondy G-137. Znajduje się ono poniżej przecięcia się przekątnych kwadratu na stoku skalistej doliny. Prawdopodobnie pojazd nasz został przechwycony przez mieszkańców planety i umieszczony przez nich w podziemnym tunelu. Nasze aparaty stwierdziły, że w okolicy zakładów produkcyjnych Wu znajduje się tajemniczy obiekt. Jest tam również dużo głębokich tuneli, które służą istotom z planety Hat do gromadzenia energii. Niestety, próby przeniknięcia do tych podziemnych siedlisk nie udały się. Wejścia do nich są bardzo dobrze strzeżone zarówno przez istoty z Hat, jak i liczne urządzenia alarmowe, których wykrycie i zniszczenie jest znacznie trudniejsze niż przypuszczano. Gdyby nasze załogi upoważnione zostały do użycia aparatów romi, uwolnienie załogi G-137 nie stanowiłoby problemu. Kierownictwo Zespołu 3 prosi bazę Oki, aby zwróciła się do Wielkiego Szefa Ferriego o zezwolenie użycia romi. Uważamy bowiem, że, zgodnie z instrukcją, nastąpił moment krytyczny. Czekamy na decyzję.

Głos umilkł. At zamyślił się. Przed chwilą rozważany plan wymagał podjęcia natychmiastowej decyzji. Nachylił się w stronę mikrofonu i powiedział:

— Baza Oki do Zespołu 3. Z polecenia Wielkiego Szefa baza Oki przejmuje sprawę zaginięcia pojazdu G-137 do bezpośredniego rozpoznania. Wszelkie pojazdy z rejonu katastrofy należy odwołać. Zabrania się również przesyłania w tej sprawie informacji. Prawdopodobnie nad planetę Hat wysłany zostanie statek Pirna-2. Jedynie z jego dowódcą należy utrzymywać stałą łączność. To wszystko.

At opadł na fotel. Nadal był podniecony. Odruchowo raz i drugi strzepnął dłońmi po swym wypukłym czole. Pomogło. Wewnętrzne napięcie jakby nieco zelżało. Podejmując decyzję, miał świadomość, że zrywa więzy ze światem, w którym wyrósł i który go ukształtował. Czy musiał to zrobić? Czy on, At, technolog nawigacji kosmicznej jest w stanie przeciwstawić się potędze supercywilizacji technicznej planety Nurra? Co prawda, jeśli wejdzie w posiadanie Pirny-2, będzie miał szanse ucieczki. Jeżeli więc podejmie takie ryzyko, to i tak musi opuścić obszar kontrolowany przez Wielką Radę. Zgodnie ze swym planem uda się w rejon gwiazdozbioru Defa i będzie starał się odnaleźć ślady ekspedycji Pirny-1. Ale co będzie, jeśli odnajdzie tylko szkielety? Jeśli na żadnej z planet układu nie potwierdzi się formuła

Motta? Co wtedy? Czy starczy energii, aby Pirna dotarła do następnego układu gwiazdowego? Te i inne pytania przewijały się w umyśle Ata, podczas gdy on sam nieruchomo spoczywał w fotelu.

Nagle drgnął. Usłyszał ostry, skrzypiący głos swego zwierzchnika:

— Co tam nowego, At?

Zaprzeczył zdławionym, nienaturalnym głosem.

— Nie, nic nowego szefie.

— To dobrze. A kto ciebie zmienia?

At wymienił nazwisko.

— W porządku, At. Życzę dobrego wypoczynku.

Dut wyłączył mikrofon. Teraz należało działać. At zerwał się z fotela. Z bloku aparatury wyciągnął srebrzystą taśmę z zapisem rozmów i wyciął z niej ostatnie dwa meldunki. Niszcząc taśmę świadomy był tego, że rozpoczął wielką grę i zrobił już w niej pierwszy krok. Choć miał jeszcze czas na wycofanie się, nie zrobił tego. Czuł potrzebę natychmiastowego działania. Być może wynikała ona z głęboko skrywanych młodzieńczych marzeń. Zawsze ilekroć myślał o przyszłości, marzyły mu się dalekie, bo gdzieś aż na skraj galaktyki wybiegające podróże. Chciał dotrzeć do planet, na których dopiero formuje się materia organiczna, a także tam, gdzie istnieje już ona w postaci doskonałej. Pragnął unaocznic teorię rozwoju materii, wzbogacić ją o te procesy, które dostarcza obserwacja naturalnego środowiska. Dla Ata każda odległa planeta była interesującym obiektem. Czymś w rodzaju ogromnego samoistnego laboratorium. Nawet tam, gdzie formuła Motta wykluczała prawdopodobieństwo istnienia jakichkolwiek wyższych form materii, na wystygłej, zbrylonej skalnej masie odnaleźć można było ślady gigantycznych procesów spalania, łączenia się, rozkładu jednych na rzecz innych struktur. Tworzenie się nowych układów energetycznych i biologicznych materii pasjonowało Ata. Usiłował zgłębić proces formowania się materii źródła, jakim była obinoza. Błądzące w przestrzeni kosmicznej strzępy pramaterii tworzyły w określonych warunkach kosmiczny wiatr. Chciał złapać ten wiatr, obliczyć jego energię, poznać strukturę. Wiedziony instynktem głęboko wierzył, że właśnie owa wymykająca się przyrządom energia jest nośnikiem struktury wszechświata. Czy tak jest, tego At nie wiedział. Żył w przeświadczeniu, że wcześniej czy później uda mu się dotrzeć do prawdy. Kiedyś, może dwa lata temu, odtwarzając taśmę z nagraniem komunikatu przekazanego z Pirny-1, długo zastanawiał się nad słowami ojca. Miał mu nawet za złe, że bliżej nie określił zjawiska wirującego pola magnetycznego. Co to właściwie było? Czy w międzygwiazdnej przestrzeni może istnieć takie pole? A jeżeli istnieje, to czym ono jest? Jakie wypadkowe siły je stworzyły? Mimo że od dwudziestu lat statki

powietrzne cywilizacji Nurra nieustannie penetrowały najbliższe planecie układy gwiazdne, nikt jeszcze nie natknął się na wirujące pola magnetyczne. A jeśli to, z czym zetknęła się wyprawa i co być może doprowadziło ją do zguby, było właśnie potężnym strumieniem kosmicznego wiatru? Myśl, że być może trafił na właściwy ślad, rozbudziła wyobraźnię Ata. Z upływem czasu to jego domniemanie nabrało cech hipotezy. Właśnie teraz nadarzała się okazja, aby hipotezę tę sprawdzić. Uciekając na Pirnie-2 w kierunku gwiazdozbioru Defa miałby do spełnienia dwa ważne cele: wyjaśnić, jaki los spotkał członków pierwszej wyprawy, oraz sprawdzić czy to, co ojciec określił wirującym polem magnetycznym, nie jest po prostu poszukiwanym przez niego kosmicznym wiatrem. Wpierw jednak, nim dotrze w odległe rejony galaktyki, musi polecieć na planetę Hat, wykraść z podziemnych tuneli załogę G-137, a sam statek zniszczyć. Nie może dopuścić, aby Dut, który zawsze okazywał mu życzliwość, skazany został przez Ferriego na ciężkie roboty w kopalniach Tisco.

Rozmyślania Ata przerwał szelest rozsuwanych drzwi. Do pomieszczenia kosmicznej łączności i nasłuchu wszedł kosmooperator Niu. Witając się z Atem, pochylił do przodu głowę.

— Czy w czasie dyżuru wydarzyło się coś godnego uwagi? — zadał stereotypowe pytanie.

At zaprzeczył.

— Zwykle sprawdzenie słyszalności. Nic ponadto.

— Straszliwe nudy — przyznał Niu. — Dlatego zawsze biorę z sobą książkę — dodał unosząc dłoń, w której spoczywał niewielki, metalowy krążek.

— Nie jestem zwolennikiem biernego słuchania — zmarszczył czoło At. — Wolę rozwiązywać zadania.

Niu uśmiechnął się.

— Jak byłem w twoim wieku, też miałem swoją *idée fixe*. Ale z biegiem lat przeszły mi mrzonki o wyznaczeniu współczynnika Deona.

Niu zasiadł w fotelu. Ciągłe jeszcze uśmiechał się leciutko, ironicznie.

— Tak to już jest — dodał z westchnieniem. — Nie wszystkim nam udaje się dokonać czegoś wielkiego. Ale ty, At, powinieneś próbować. Masz przed sobą długie życie — dodał zachęcająco.

At zmrużył oczy.

— Chyba spróbuję, Niu. Co prawda mój plan jest nieco ryzykowny, ale jeśli się udało...

- Czemu miałyby się nic udać? Jeśli czegoś bardzo się pragnie, jak mawiała moja ma-

tką, z czasem się to osiąga.

At pokręcił z niedowierzaniem głową. Już miał powiedzieć, że to tylko takie gadanie, bo przecież Niu też pragnął wyznaczyć współczynnik, też chciał zostać naukowcem i co osiągnął? Nie powiedział tego. Nie chciał starszemu koledze robić przykrości. Nacisnął więc guzik rozsuwanych automatycznie drzwi i wyszedł bez słowa.

Przeszedł korytarzem do wąskich, krętych schodów i, gdy zszedł nimi, znalazł się w kabynie kompensacyjnej. Jej wnętrze wypełniały srebrzyste skafandry. At założył jeden z nich. Szczelnie opinał ciało. Jeszcze tylko na głowę i twarz naciągnął czarną maskę, a do ramion przytroczył pojemnik wypełniony ciekłym gazem i był gotów do opuszczenia kosmodromu.

Wyszedł na gładki, skalisty grunt. Promienie dalekiej gwiazdy docierały tutaj jakby z trudem. Planeta Zi, na której mieściła się baza Oki, nie miała atmosfery. Nie było też na niej niczego, co mogłoby świadczyć o prymitywnym życiu. Ale ta potężna, licząca około ośmiuset kilometrów średnicy, skalista bryła doskonale nadawała się na bazę kosmitów z gwiazdozbioru Poltika. Znajdowała się ona na skraju układu gwiazdnego, w którym jedna z planet posiadała rozwiniętą cywilizację. Odkrycie planety Ilat wywołało wśród mieszkańców Nurra zrozumiałą sensację. Od blisko dwudziestu lat ich statki nieustannie penetrowały najbliższy planecie rejon galaktyki w poszukiwaniu śladów życia. Jednakże dopiero przed dwoma laty, kiedy zbłąkany pojazd Pirna-2 zmuszony był szukać miejsca na lądowanie, załoga dostrzegła błękitną planetę. W miarę zbliżania się pojazdu barwy planety piękniały, a kosmici z Nurra wiedzieli już, że dokonali wielkiego odkrycia. Ale do bezpośredniej obserwacji błękitnej planety potrzebne były bazy. Jedną z nich była właśnie Oki.

At z uwagą wpatrywał się w wystającą z granitu kopułę kosmodromu. Tam, w wydrążonej skale mieściły się pojazdy i wyrzutnie rakiet. Cały obiekt strzeżony był zaledwie przez jednego sockomputera, którego można w każdej chwili wyłączyć. A więc... W nikłych promieniach dalekiej gwiazdy widniały wierzchołki pobliskich, skalistych wzgórz. W jednej z urwistych turni, w miejscu wystawionym na nieustanne działanie promieni gwiazdy, znajdowały się pomieszczenia mieszkalne pracowników bazy. Tam właśnie, wytyczoną wśród skalnych rumowisk ścieżką, udał się At. Kiedy ścieżka opadła między ocienione ściany wąwozu, At przyśpieszył kroku. Mimo ogrzewanego, szczelnie opinającego ciało skafandra, czuł przenikliwie zimno. Na pozbawionej atmosfery planecie bezpośrednio odczuwało się straszliwą pustkę kosmosu. Chociaż? Kiedy At, przerabiając praktyczny program szkolenia, pierwszy raz opuścił raketę w przestrzeni kosmicznej, odczuł coś, co potem trudno mu było opisać słowami. Zawieszony na linie, pozbawiony działającej w pojeździe sztucznej grawitacji, poczuł się bezradnym, nic nie znaczącym pyłkiem wobec zadziwiającego ogromu wszechobecnej

pustki. Była ona tak przytłaczająca, że podczas godzinnego spaceru At nie potrafił logicznie myśleć. Bezpośrednie zetknięcie z przestrzenią międzygwiazdną przeszło jego oczekiwania. I tak już było za każdym razem, choć zdawać by się mogło, że po wielokrotnych spacerach przywyknie do kosmicznej, bezwymiarowej — takie przynajmniej odnosił wrażenie — przestrzeni. Inaczej było tu, gdzie stopy dotykały skalistego gruntu i czuło się wpływ siły przyciągania, inaczej tam, gdzie tego nie było i gdzie panował nieskończony, przenikający wszystko chłód. Mimo to, a może właśnie dlatego, At odczuwał potrzebę pokonywania tej przestrzeni. Jakaś wewnętrzna, nie w pełni uświadomiona siła ciągnęła go w przestwór pusty, zimny i pełen tajemnic. Chciałby lecieć od gwiazdy do gwiazdy, zatracić się w tym skończonym, ale nie ograniczonym bezkresie. Czy jest to możliwe? Czy Pirna-2 jest pojazdem dostatecznie przygotowanym do dalekich rejsów? Czy on sam upora się z prowadzeniem tak ogromnej i skomplikowanej rakiety? To zasadnicze pytanie sprawiło, że pomyślał o Ricie. Rit był zawodowym pilotem i przyjacielem Ata. Jednym z tych, którzy utrzymywali regularną łączność lotniczą pomiędzy planetą Nurra a jej bazami. Właśnie kilka dni temu Rit wylądował w bazie Oki. Z macierzystej planety przywiózł dla załogi zasób materii energotwórczej i żywność. Teraz przebywał na Oki, oczekując na dalsze polecenia Ferriego. Czy nie należałoby wykorzystać tak sprzyjającej sytuacji? A jeśli Rit odmówi? Jeśli uzna jego projekt za niedorzeczny, co wówczas zrobi? Będzie starał się przekonać Albę. Ona na pewno mu nie odmówi. Nie odmówi chociażby dlatego, że jest w nim zakochana.

Tak rozmyślając At dotarł do budowli, której kopulasty dach pokryty był przezroczystym szklivem. No zewnątrz tego, jakby przyklepionego do skały, budynku stała niewielka kabina. At wszedł do niej, zasunął okrągły właz i nacisnął guzik. Z lekkim szumem winda zniknęła wewnątrz budynku.

Zanim At ściągnął skafander, podszedł do wiszącego na ścianie mikrofonu i połączył się z pokojem Rita. Był pusty. Zaraz jednak włączył się aparat i At usłyszał głos Rita: — Jestem w parutu. Jestem... — At wyłączył widofonię. Ściągnął skafander, poprawił rzadkie, ściśle do czaszki przylegające włosy i bez pośpiechu zszedł schodami na najniższe piętro. Tu właśnie mieściła się parutu. Była to, jak na warunki kosmodromu, duża okrągła sala, której ściany wypełniał olbrzymi ekran urządzenia telewizyjnego. W środku, również kolisto, ustawione były fotelowe leżanki. Przymocowane były do ruchomego podłoża, które wolno wirowało. Ruch leżanek był przeciwny ruchowi przesuwających się obrazów. Stwarzało to złudzenie, że patrzący znajdował się w głębi obrazu. Widz mógł przy tym wybierać dowolne miejsce. Mógł chodzić ruchliwą ulicą miasta, bądź zaszyć się w jakimś uroczym zakątku planety

Nurra. Obszerna panorama obrazu, któremu towarzyszyły naturalne dźwięki, stwarzała załodze Oki namiastkę rodzinnego domu. Na ekranie oglądali to, co aktualnie działo się w różnych, często odległych miejscach rodzimej planety. Dla wielu taki trzygodzinny seans był koniecznością. Jego następstwem była tak zwana renowacja psychiczna, zwłaszcza u tych osobników, którzy wykazywali małą odporność na bodźce osamotnienia. Wśród załogi bazy przeważali jednak tacy, którzy na seanse parutu przychodzili ot tak sobie, dla chwilowej rozrywki. Do nich należał właśnie pilot Rit. Wyciągnięty na leżance w niedbalej pozie, śmiał się z jakiejś zabawnej scenki. At nie zauważył nawet, co w niej było. Kiedy krążący po obwodzie fotel z Ritem znalazł się przy nim, szarpnął przyjaciela za ramię.

— Chodź! Mam pilną sprawę.

W słabym świetle fleurycznych lamp At dostrzegł zdziwione spojrzenie kolegi. Rit nie pytał o nic, zwłaszcza że na leżance obok odpoczywał zastępca szefa bazy, konstruktor Gay. Z lekkim westchnieniem, jakby żał mu było przerywać oglądane widowisko, podniósł się i ruszył za Atem.

Dopiero gdy znaleźli się w niewielkim pokoiku Ata, zapytał:

— Czy coś się stało?

— Na razie nic. Ale może, a nawet powinno coś się zdarzyć — odpowiedział At, z naciskiem akcentując ostatnie słowa.

— Hm... Interesujący wstęp — mruknął Rit.

Ze stojącej na stoliczku karafki nalał w szklanekę orzeźwiającego płynu tiko. Pił drobnymi łyżkami, nie odrywając naczynia od ust. At usiadł w fotelu po przeciwnej stronie.

— Zdarzyło się coś, co zmusza mnie do samowolnego opuszczenia bazy — powiedział wprost.

Rit przestał pić. Jego skośne, wąskie oczy z uwagą wpatrywały się w oczy przyjaciela.

— Coś ty powiedział? — Siedział sztywno trzymając w dłoni pustą szklanekę. — To naprawdę zaczyna być intrygujące! — wykrzyknął nagle i opadł w miękki fotel. — No, ale mów, co cię do tego skłoniło — dodał z powagą.

At nie pomijając szczegółów opowiedział historię zdobycia z planety Hat paliwa Wu, nie ukrywając, kto był autorem przedsięwzięcia. Następnie streścił teksty meldunków nadesłanych przez Zespół 3.

— Z tego by wynikało — powiedział w pewnej chwili Rit — że naszą sondę G-137 przechwycili Hatowie, twój plan zakończył się fiaskiem.

— Właśnie — przytaknął At. — W najlepszym razie mnie i Duta czekają ciężkie roboty w Tisco.

— Teraz rozumiem. Nadal jednak nie domyślam się, czemu mi o tym opowiadasz.

— Sądzisz, że sam dam sobie radę z takim pojazdem, jak Pima-2?

— Więc ja miałbym ci towarzyszyć?

— Tak.

Zapadło milczenie. Przerwał je Rit.

— Jakie ty masz właściwie plany? Co chciałbyś zdziałać? — dopytywał się.

At zerwał się z fotela. Chwilę krążył po pokoju głęboko zamyślony.

— Przede wszystkim powinienem załatwić sprawę z G-137. Musimy uwolnić członków załogi, a pojazd zniszczyć.

Rit wybuchnął śmiechem.

— Powiedziałeś musimy, kogo miałaś na myśli?

— Siebie, Albę i oczywiście ciebie.

— Czy ty, At, nie jesteś zbyt pewny siebie? — W głosie Rita była nuta rozdrażnienia.

— Nie uzyskałeś mojej zgody, a już...

— Nie denerwuj się — przerwał At przyjacielowi. — Od dłuższego czasu powtarzałeś, że masz już dość lotów na jednej i tej samej trasie. Chcę ci ją zmienić, a ty powinieneś być mi za to wdzięczny.

— Rzeczywiście? Ładnie to wszystko przedstawiłeś. I logiki nie brak... Ale twój plan — ciągnął tym samym obojętnym i jakby znużonym już głosem Rit — to awanturnictwo, to zerwanie wszelkich więzów z Nurra. Czy zdajesz sobie sprawę, że twoja ucieczka to zerwanie z cywilizacją, której jesteś wytworem?

— Po co te wielkie słowa? — wykrzyknął At. — Przemawiasz do mnie, jakbyś był członkiem Wielkiej Rady. Sam najlepiej wiesz, że dawno już straciłem dla nich szacunek.

Jednakże Rit był innego zdania. Uważał, że mieszkaniec Nurra, który ma do dyspozycji nawet taki pojazd jak Pirna-2, jeśli działa bez źródeł zaopatrzenia, skazany jest na zagładę. W duchu At przyznawał przyjacielowi rację. Wiedział, że gdyby nawet trzykrotnie zwiększyli zapas paliwa, nie wystarczy na tyle, aby można było w nieograniczonym czasie przemierzać przestrzeń galaktyki. Jeśli bowiem problem wyżywienia kosmitów był rozwiązany, to zasoby energetyczne napędu rakiety stanowiły zagadnienie, nad którego rozwiązaniem od lat bieżąły się najtęższe umysły mieszkańców planety. Z tych też względów At powiedział poje-dnawczo:

— Zrozum, Rit, nie zamierzam wiecznie podróżować. Może to tylko złudzenie, ale mam nadzieję, że gdzieś tam w głębiach galaktyki są planety, na których istnieje bogata fauna i flora, a nie ma jeszcze istot rozumnych. Odkrycie planety Hat potwierdziło hipotezę Vejse-

na, że cywilizacja Nurra nie jest olśniewającym wyjątkiem natury.

— Rozumiem. Poszukujesz planety, na której byłoby wysoko zorganizowane życie, ale bez istot inteligentnych — powtórzył Rit i zamyślił się. — No cóż — ciągnął z wahaniem w głosie — to na pewno ciekawa, godna uwagi propozycja. Istoty o wysokiej cywilizacji lądują na planecie, która przypomina ogród Nikara w nocy. Pełno w nim drzew, dziwnych krzewów, pięknych kwiatów i zwierząt. A wśród nich ja, ty i Alba. Obdarzeni świadomością, stajemy się autentycznymi władcami odkrytego przez nas świata. W trójkę utworzymy Wielką Radę, której ty będziesz przewodniczącym. Może lepiej by było, gdybyśmy od razu podzielili planetę na trzy części? Wówczas każdy byłby przewodniczącym swej Rady i każdy z nas rządziłby sobą jako swym poddanym.

— Możesz sobie kpić, ale na pewno chciałbyś odkryć taką właśnie planetę. No, przyznaj się — nie ustępował At.

— Każdy z nas chciałby dokonać interesującego odkrycia — odpowiedział wymijająco Rit. — Jesteśmy młodzi i może dlatego niejednemu marzy się przeżycie wielkiej przygody.

— O, właśnie! — wykrzyknął At. — Bardzo trafnie to sformułowałeś, przeżycie wielkiej przygody... No więc, co postanowiłeś?

Rit nadal był niezdecydowany. Lot w odległe rejony galaktyki był niewątpliwie czymś, za czym tęsknił w skrytości. Był przecież pilotem statków kosmicznych i dalekie loty były jego pasją. Nie mógł żyć bez pokonywania przestrzeni i dlatego kilkakrotnie zgłaszał swoją kandydaturę do długotrwałych lotów badawczych. Jak dotąd nie miał szczęścia. Może dlatego, że był młody, za mało doświadczony, aby pilotować wyprawy ze znanymi specjalistami na pokładzie. A może po prostu nie miał poparcia? Tak czy inaczej, od trzech lat Rit niezmiennie przemierzał jedną i tę samą trasę: Nurra — baza Oki i z powrotem. Niezmiennosc rejsów nużyła Rita. Często zastanawiał się nad możliwościami zmiany istniejącego układu, ale tak naprawdę to szanse miał niewielkie. Zapewne z tych względów propozycja Ata skłoniła go do refleksji. Już nie uśmiechał się wyniośle i ironicznie, nie dowcipkował. Perspektywa lotu w niezbadane rejony galaktyki pobudziła jego wyobraźnię. Jeśli w dwóch, niezbyt jak na kosmiczne warunki oddalonych układach gwiazdnych potwierdziła się hipotetyczna formuła Motta, to nie można wykluczyć prawdopodobieństwa istnienia większej liczby takich właśnie układów. A jeśli tak jest w istocie, to pomysł Ata nie jest, jak to wyobrażał sobie w pierwszej chwili, mrzonką niezrównoważonego psychicznie osobnika. Z wyłożonej kolorowymi fotosami ściany Rit przeniósł zamyślony wzrok na skupioną, oczekującą odpowiedzi twarz przyjaciela.

— A gdybym odmówił, to co?

— Nic. Polecę z Albą — odpowiedział pewnym głosem At.

— Hm... Uparty jesteś. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że samo pragnienie realizacji planu to jeszcze nie wszystko?

— Wiem. Nie jestem pilotem, ale swego czasu latałem na Pirnie-1.

Zapadło nieco kłopotliwe milczenie.

— Pirna-2 to inny typ pojazdu — zauważył z powątpiewaniem w głosie Rit. — Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny, czy poradziłbym sobie z obsługą.

— Dlatego zwróciłem się do ciebie, jak do przyjaciela.

Rit nadal z uwagą wpatrywał się w oczy Ata.

— Ale co będzie, jeśli podróż nasza nie osiągnie zamierzonego celu? Jeśli odkryjemy tylko takie ciała, na których nie można będzie wylądować? Co wtedy?

— No cóż... — At wykonał ręką nieokreślony gest. — Na pewien czas staniemy się inteligentnym obiektem kosmicznym. Będziemy błędzili po bezkresie przestrzeni, aż dotrzemy tam, gdzie wieje kosmiczny wiatr. Wtedy pojazd nasz nie będzie potrzebował energii. Potężny strumień masino zanieś nas na jeden z biegunów wszechświata, tam gdzie tworzy się pramateria.

— Ależ to pewna śmierć! — wykrzyknął Rit.

At uśmiechnął się wyniośle.

— Lękasz się śmierci? Zapewne wolałbyś umrzeć na leżance w rodzinnym domu albo tutaj w parutu, gdzie jest ciepło, zacisznie i gdzie umierając można patrzeć w bajeczne piękno ogrodów Nikara. — At tym razem nie szydził.

— Nie o to chodzi — podniósł głos Rit. — To że jesteśmy śmiertelni, jest potwierdzeniem faktu, że mamy tylko jedno życie.

— Wobec takiej alternatywy nie mam argumentów.

Znowu zapadło milczenie. Gdyby nie jednostajne buczenie urządzeń klimatyzacyjnych i gdyby nie trzaski dobiegające z maszty wieży kontrolnej, cisza byłaby głęboka i absolutna. Przebywając w niej przez dłuższy czas istota rozumna zapadała w chorobę zwaną otępieniem zwrotnym. Aby skutecznie ją eliminować, wszystkie pomieszczenia kosmitów, a nawet skafandry, zaopatrzone były w odpowiednie urządzenia symulujące odgłosy rozmowy. Tak było i teraz, gdy szmery z zewnątrz tylko w niewielkim stopniu przeciwstawiły się złowrogiej ciszy. I to było powodem, że w pewnej chwili At przekręcił wmontowany w pulpit stolika przełącznik. Gdzieś z środka sufitu spłynął delikatny szelest. Był to dźwięk przypominający wzajemne ocieranie się liści na wietrze.

— Nie mogę znieść tej cholernej ciszy — wyjaśnił usprawiedliwiająco.

Rit opróżnił karafkę.

— A co będzie tam?

— A co ma być? — odpowiedział pytaniem At. — Pod tym względem w Pirnie-2 jest znacznie lepiej niż tutaj. Tam przynajmniej rozmawia z nami aparatura.

— To prawda — przyznał Rit. — W rakiecie nie odczuwa się tak samotności, jak w bazie.

— A nawet gdyby zbyt doskwierała, zapadasz w letarg i nie ma problemu.

Płynący z umieszczonego w suficie głośnika szelest wzmógł się.

— Chciałbym znaleźć się teraz pod koroną wielkiego drzewa gdzieś nad brzegiem Sutu. U stóp pluszcze wielka rzeka, nad głową szumią liście, a gdzieś w górze śpiewa zablakany ptak. W powietrzu igrają świetliki, a z pól niesie się zapach dzikiej trawy. Nisko nad horyzontem wisi gwiazda Nu, a w jej łagodnym ciepłe wygrzewają się na brzegu rzeki pokraczne i ociężałe kakazi. Wszystko jest inne, naturalne, wypełnione łagodnym spokojem oczekiwania...

Rit mówił to w rozmarzeniu, wyrażając zapewne skrywane tęsknoty niejednego kosmity.

— Nie wiedziałem, Rit, że jesteś aż tak uczuciowy — przerwał mu At. — Widzę, że masz naturę podobną do natury Alby.

— Czy ona wyraziła zgodę na opuszczenie bazy? — zainteresował się Rit.

— Jeszcze nie, ale znając ją dobrze, mogę cię już zapewnić, że tak.

Rit ożywił się.

— Jeśli tak bardzo jesteś tego pewien, ja również się zgadzam.

— Naprawdę? — wykrzyknął At.

— A czemu nie? Rozmawiamy poważnie.

Ata ogarnęło wzruszenie. Przygarnął ramieniem Rita.

— Szczerze mówiąc, zwątpiłem już w ciebie...

— We wszystko można zwątpić, tylko nie w przyjaciela — odparł Rit.

Zadowolony z pomyślnego obrotu sprawy, At roztoczył przed Ritem barwną wizję oczekujących ich przygód. Ale Rit nie dał się ponieść emocjom.

— Daj spokój — ostudził zapał przyjaciela. — Zastanówmy się lepiej, w jaki sposób wydostać z magazynu odpowiednią ilość paliwa.

Przez dłuższą chwilę naradzali się nad organizacją startu. Nie była to sprawa prosta, gdyż paliwo do napędu rakiet było ściśle racjonowane. Rit wiedział, że kilka pojemników znajduje się w dobrze strzeżonym ołowianym sejfie kosmodromu. Wiedział również, że aby

otworzyć sejf, trzeba znać odpowiedni szyfr. Znał go technik kosmodromu Hur i nikt więcej. Czy uda się nakłonić Hura, aby wydał ładunki z paliwem? — zastanawiali się obaj. Byli zgodni co do tego, że paliwo należy wykraść. Jak to zrobić, tego już nie wiedzieli. Rozstali się w nieco minorowych nastrojach. Postanowili, że w ciągu najbliższej godziny At przeprowadzi rozmowę z Albą, a Rit opracuje kilka sposobów wdarcia się do sejfu. Wiedzieli oboje, że jeśli ucieczka ma się udać, to czas trwania akcji nie może przekroczyć pięciu godzin, które pozostały załodze bazy na odpoczynek. Czy w tym czasie zdołają przygotować raketę do startu? — myślał At idąc korytarzem do pokoju Alby. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie jest to ani łatwe, ani proste, że organizacja ucieczki przerasta jego możliwości. Rad był, że dla swych zamierzeń pozyskał Rita. Mimo to... Czuł, jak wraz z upływem czasu narasta w nim podniecenie, nie mógł doczekać się chwili, gdy wciśnie dźwignię zapalającą reaktor rakiety. At niecierpliwił się. Zdawał sobie sprawę, co mu grozi, gdyby ujawniono zniszczony meldunek. Z tych względów wskazany był pośpiech, a tymczasem... Na myśl, że wydobyć z sejfu paliwa mogłoby zakończyć się niepowodzeniem, uczył nieprzyjemny dreszcz. Aż zatoczył się z wrażenia, gdy usłyszał niski, buczący dźwięk syreny alarmowej. Jęklliwe, ze wszystkich stron wypełniające wypoczynkową część kosmodromu wycie wywołało w nim uczucie strachu. Musiał wyteńczyć całą energię, aby pokonać paralizujące go przerażenie. Wpadł do pomieszczenia Alby dysząc ciężko. Na jej zdumione spojrzenie wykrzyknął:

— Co, co się stało?

Zamiast odpowiedzi, przekręciła włącznik widoprzełącznika. Z głębi ekranu wyłoniła się pociągła twarz Niu. Zaraz też usłyszeli jego podniecony głos.

— Ogłaszam alarm... Ogłaszam alarm. W kierunku bazy zdąża z dużą prędkością nieznany pojazd. Jego odległość wynosi w tej chwili sto trzydzieści tysięcy rt, a trajektoria lotu trzydzieści siedem, piętnaście względem planety Hat. Obsługa samoobrony natychmiast zajmie swoje stanowiska i naprowadzi wyrzutnie na cel. Pozostali w przygotowaniu alarmowym. Rozkaz zniszczenia obiektu załoga wyrzutni otrzyma bezpośrednio od szefa. Powtarzam. Rozkaz zni...

At odetchnął.

— A już myślałem... — urwał.

Dostrzegł natarczywe spojrzenie Alby.

— Co z tobą? Jesteś dziwnie podniecony. Czy to...

— Rzeczywiście, przerażłem się. Ale mam swoje powody.

Alba podniosła się z leżanki. Miała smukłą sylwetkę. Podeszła do jednej z wmontowanych w ścianę szaf i rozsunała drzwi.

— Jesteśmy w stanie alarmu. Zakładam skafander. A ty? Będziesz mi pomagał czy nie?

Nie czekając na odpowiedź, zrzuciła z siebie luźne nakrycie. Stała przed nim naga, odwrócona plecami, lekko nachylona do wnętrza szafy. Jej gładka w kolorze oliwki skóra połyskiwała w białym świetle lampy. At podszedł i pomógł wydobyć Albie skafander. Był ciężki.

— Zakładasz go na gołe ciało? — zdziwił się.

— Czemu nie? Tutaj jest tak ciepło... — urwała.

Na gołym ramieniu poczuła usta Ata. Jego delikatne pocałunki drażniły ją, podniecały. Na chwilę wyprężyla się w rozkosznym zapamiętaniu. Odwróciła się i przysmykając oczy zarzuciła ramiona na szyję Ata.

— Nie teraz, At. Nie teraz — prosiła cicho.

Ale At nie reagował, olśniony pięknem jej ciała. Dopiero ostry, rozkazujący głos Niu wyrwał go z transu. „Pilot Rit — zadudniło w głośniku — zgłosi się do szefa Oki. Powtarzam: Pilot...” Nagłe wezwanie Rita zmroziło Ata.

— Co to ma oznaczać? — wykrztusił.

Już nie całował ramion Alby. Z tępym uporem wpatrywał się w twarz Niu. Oczekiwał, że z ust dyżurnego kosmodromu padną jakieś słowa, które by wyjaśniały wezwanie Rita. Jednak Niu zubożniałym już głosem przeszedł do podawania namiarów zbliżającego się obiektu. At nadal stał zamyślony, wpatrzony w drgający niebieskawym światłem monitor. Dopiero Alba uporczywie potrząsająca jego ramieniem sprawiła, że ocknął się z zadumy.

— Co się z tobą dzieje? — usłyszał jej zdławiony głos. — Czy to alarm sprawił, że utraciłeś poczucie rzeczywistości?

Nie patrzyła mu już w oczy. Naciągała na ramiona ciemny od środka, a z wierzchu połyskliwy i gładki jak polerowana stal skafander. Odruchowo zaczął jej pomagać, ale ona, jakby urażona jego milczeniem, odsunęła się, nie ukrywając zagniewania.

— Ty pewnie jesteś chory, At — dodała tym samym, poirytowanym tonem.

Już miał wybuchnąć. Chciał powiedzieć przyjaciółce kilka ostrych słów, ale przemógł się. Zrozumiał, że zrażając Albę do siebie, pogorszyłby tylko własną, i tak już komplikującą się z minuty na minutę, sytuację. Toteż ujął Albę delikatnie pod ramię i starając się nadać głosowi trochę tajemniczości szepnął:

— Siadaj. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Nim jednak zaczął opowiadać, nalał sobie szklanek orzeźwiającego płynu i wypił. Nie rozwodząc się zbytnio, At przedstawił przyczyny skłaniające go do opuszczenia Oki bez zezwolenia. Alba słuchała z uwagą. Dopiero gdy ujawnił swój plan kosmicznych podróży, jakby wyprzedzając jego propozycję, zawołała:

— Opowiadasz mi o tym, bo chcesz, abym ci towarzyszyła?

— Zgadza się — przyznał At. — W trójkę pokonamy wszelkie niebezpieczeństwa — dodał i spojrzał pytającym wzrokiem w zielone oczy Alby.

Zauważył, że błysnęły radością i przekonany, że jest to aprobatą jego zamierzeń, dał wyraz swemu zadowoleniu całując Albę w policzek. Jednakże Alba odwróciła głowę i delikatnym, ale stanowczym gestem go powstrzymała.

— Jeszcze nie wyraziłam zgody — powiedziała ostro.

Nieco zmieszany, z wyrazem zawodu na twarzy, At westchnął.

— Byłem pewien, że darzysz mnie głębokim uczuciem, że wszystko to, co nas dotąd łączyło, nie było chwilowym kaprysem. Tymczasem...

— Właśnie dlatego, że cię kocham, At, chcesz wykorzystać mnie do swych osobistych celów. Zawsze dotąd ulegałam ci, ale to, czego ode mnie w tej chwili żądasz...

Nie mógł, nie potrafił tego dłużej słuchać. Podniósł się i poszedł do małego, okrągłego okienka. Ujrzał skaliste zbocza, a nieco dalej, jakby zawieszony szczyty gór. W bladej poświacie jawiły się upiornie, niby fantastyczne alegorie z obrazów Jonza. Ale kamienny świat Zi nie interesował już Ata. Znał strukturę planety. Wiedział, że jej powierzchnię tworzy skalisty płaszcz zastygłej lawy i nic ponadto. W tej chwili nie interesował go nawet wydmowy krajobraz. Kiedy więc usłyszał cichy płacz Alby, odwrócił się i powiedział gniewnie:

— Nie rozumiem, po co to wszystko. Jakieś bezsensowne wyrzuty, płacz... Jeśli nie chcesz jechać, nie zamierzam cię ani przekonywać, ani zmuszać. Twoja wola.

Odszedł od okna. Alba siedziała skulona i popłakiwała. Gniew, który przed chwilą ogarnął Ata na dziwaczną, niczym jego zdaniem nie uzasadnioną, reakcję przyjaciółki, powoli ustępował. Od lat darzył przecież Albę szczerym uczuciem.

Dyżurny bezustannie podawał parametry lotu nieznanego obiektu, a wezwany do szefa Rit prawdopodobnie otrzymał polecenie przygotowania Pirny-2 do startu. At nachylił się nad Albą, pogładził jej ciężkie miedziane włosy mówiąc:

— Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Zawsze marzyłaś o dalekich podróżach. Chciałaś odkryć planetę pokrytą bujną szatą roślinną, po której biegają dziwaczne zwierzęta. Nie byłoby tam istot rozumnych, a tylko fascynująca bogactwem form przyroda. Właśnie taki świat postanowiłem odnaleźć. Chciałem, aby urzeczywistniły się twoje marzenia. I to wszystko.

Uniosła głowę.

— Chcesz zerwać z cywilizacją tylko po to, aby sprawić mi przyjemność?

— No, niezupełnie. Do ucieczki zmuszają mnie okoliczności. Sama jednak dobrze

wiesz, że jest to tylko kwestia czasu.

— A ja nadal cię nie rozumiem. Zawsze dotąd powtarzałeś, że jeśli kiedykolwiek wyruszysz w daleką podróż, to tylko po to, aby dotrzeć do źródła kosmicznego wiatru. Ten hipotetyczny stwór od lat pochłania twoją wyobraźnię. I jeśli nawet gdzieś istnieje, to spotkanie z nim oznacza śmierć. Ale ty nie chcesz umierać w samotności, więc w perfidny sposób wciągnąłeś w to Rita.

Mało ci jednej ofiary, więc zapragnąłeś jeszcze mojego towarzystwa. Pomyślałeś, że przyjemnie byłoby zginąć w ramionach dziewczyny, której z braku kogoś bardziej interesującego potrzebujesz.

— O czym ty mówisz! — wykrzyknął. — Wyimaginowałaś sobie jakąś makabryczną historię, w której ja miałbym spełniać rolę szaleńca.

— To nie imaginacja, to prawda — potwierdziła z uporem.

— Jeśli tak — zaczął z wahaniem w głosie — to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Właśnie wtedy, gdy zgnębiony At nie bardzo wiedział, co ma dalej robić, drzwi rozsunięły się i do pomieszczenia wszedł Rit. Był zmęczony pośpiechem, podniecony.

— Nie mamy chwili do stracenia, At. Otrzymałem polecenie przygotowania rakiety do startu. Udało mi się przekonać Duta o potrzebie zaopatrzenia Pirny w dodatkowe paliwo. — Uśmiechnął się znacząco. — Wiesz, co to oznacza?

At ożywił się.

— Nie traćmy więc czasu.

Nim jednak zamknęły się za nimi drzwi, Rit zwracając się do Alby wykrzyknął:

— Szykuj się! Zgromadź jak najwięcej medykamentów. Za pół godziny spotkamy się w tunelu startowym.

Krętymi schodkami zbiegli do wykutego w skale tunelu. Łączył on pomieszczenia mieszkalne kosmodromu z polem startowym. W kabinie przed wejściem do tunelu złożyli skafandry.

— Masz już plan działania? — zapytał At.

— Tu nie ma co planować — skrzywił się Rit. — Wystarczy unieszkodliwić laboranta paliw na godzinę, w chwili gdy otworzy nam sejf.

— Rzeczywiście — przyznał At. — Najprostsze rozwiązanie.

— Zabrałem z sobą romi — wyjaśnił Rit.

— Nigdy dotąd nie posługiwałem się tym urządzeniem — przyznał At.

— Ja też. Wiem tylko, że naświetlanie dłuższe niż pięć sekund uśmierca każdą żywą

istotę.

— Nie zamierzasz chyba zabić laboranta?

Rit obruszył się.

— Pewnie, że nie. Włączę urządzenie na tyle, aby go obezwładnić.

Rozmawiając zagłębili się w słabo oświetlony tunel, ledwie przeszli kilkanaście metrów, gdy wyrosła przed nimi metalowa zaporą. Stanęli przed nią zaskoczeni, bezradni.

— Co to ma znaczyć? — wyjąkał Rit. — Nigdy dotąd czegoś takiego tutaj nie było.

— To jest zapewne ta sławna zaporą bezpieczeństwa, którą niedawno kazał wybudować Dut. Na wypadek alarmu zamyka przejście do wyrzutni.

— Co za głupie pomysły — denerwował się Rit. — Gdyby rzeczywiście znalazł się w pobliżu wrogi obiekt i zmusił nas do ewakuacji, to nim załoga Oki znalazłaby się na Pirnie, z kosmodromu pozostałaby kupka popiołu.

— Dut wnosząc to miał chyba jakiś ukryty cel — zniecierpliwionym głosem zauważył At. — Nie czas, aby się nad tym zastanawiać.

Z przerzuconej przez ramię torby wyciągnął elektryczną latarkę.

— Gdzieś tutaj musi być reagujący na światło komputer — dodał ze złością.

Światło latarki obejmowało stopniowo metalową ścianę. Nagle gdzieś pod sklepieniem błysnęły dwa podobne do oczów światełka. Zaraz też usłyszeli piskliwy głos komputera.

— Widzę was. Jest was dwóch. Musicie podać swoje nazwiska i hasło, inaczej nie wpuszczę.

Groźba komputera pogłębiła gniew Ata. Sięgnął do torby i wyciągnął niewielki ładunek.

— Wysadzę drania — szepnął zgrzytając zębami.

Ale Kit chwycił go za ramię.

— Spokojnie. Nim ten utkany z drucików mózg rozleci się, zdąży zaalarmować kierownictwo bazy.

— Więc co? Jest inne wyjście?

— Zaraz zobaczysz.

Rit skierował światło na mechanizm komputera. A kiedy ten powtórzył pytania, odpowiedział:

— Jestem pilot Rit, a to mój pomocnik, nawigator At. Nasze hasło: „detir”.

Oczy komputera ponownie zamrugały.

— Zgadza się. Jesteś pilot Rit.

W tejże chwili usłyszeli cichy szum i metalowe wrota uniosły się ponad ich głowami.

Ruszyli przyspieszonym krokiem.

Tunel opadał teraz w dół. Na jego końcu widać było ogromną, jasno oświetloną halę. At nie mógł wyjść z podziwu.

— Powiedz, skąd znałeś hasło?

Rit roześmiał się.

— Kiedyś słowo to rzeczywiście było hasłem. Zostało więc zaprogramowane w mózgu komputera i nikt go stamtąd nie usunął. Wynika z tego, że technik programujący nie zadaje sobie trudu. Po prostu co jakiś czas dodaje nowe słowo, nie niszcząc starego.

At wybuchnął śmiechem.

— Gdyby nasi szefowie o tym wiedzieli?

— Nie ma o czym mówić — stwierdził Rit. — Czekają nas ważniejsze zadania.

Wydrążony w skale korytarz rozszerzał się, przechodząc w ogromną, jaskrawo oświetloną halę. Jej środek wypełniały gigantyczne konstrukcje, w które wplecione było olbrzymie, pionowo ustawione cielsko rakiety. Jej powierzchnia, gładka i jakby wypolerowana, połyskiwała w ostrym świetle reflektorów jak zjonizowany obłok. Idący przodem Rit zatrzymał się przy schodkach prowadzących na wyższe piętra Pirny-2.

— Pójdę uruchomić pompy kompensacyjne, a ty w tym czasie przygotuj komory ładunków paliwowych.

Mówiąc to podał przyjacielowi niewielki kluczyk. At wiedział dobrze, co ma robić. Jak każdy kosmiczny technik, znał konstrukcję pojazdów, którymi cywilizacja Nurra posługiwała się w przestrzeni międzygwiazdnej. Kiedyś pilotował pojazd Pirna-1, znał więc jego ulepszoną wersję dość dobrze. Zszedł poniżej potężnych pierścieni ferrytycznych, na których spoczywał główny korpus rakiety i tuż przy jej nasadzie kluczykiem otworzył małe drzwiczki. W otwartej wnęce połyskiwały pokrętła sterownicze. Manipulował nimi aż do chwili, gdy usłyszał cichy szum mechanizmu dźwigni. Wzdrygnął się, gdy niespodziewanie uniosła się gruba, grafitowa osłona. Stał teraz przed ciemną czeluścią, w której mieściło się serce rakiety. Niby zwykła rzecz, ale kiedy wszedł do środka i poczuł charakterystyczny zapach spalonego irtu, ogarnął go strach. Tak było zawsze, gdy stawał w obliczu ujarzmionej, ale potężnej i często wymykającej się spod kontroli energii. Komora silnika rakiety, mimo że ciemna teraz i milcząca, emanowała groźnym dla organizmów żywych polem gesów. At wiedział o tym, toteż działał w pośpiechu. Uruchomił dźwignię. Jej stalowe ręce wyciągnęły z mrocznego wnętrza dwa puste pojemniki. Te same metalowe dłonie umieściły pojemniki na platformie elektrycznego wózka. Dopiero gdy wnętrze silnika ponownie okryła gruba hermetyczna osłona, At odetchnął. Obtarł dłonią spotniałe czoło i podszedł do prowadzących na górne pomosty

schodów. Właśnie wspiał się na pierwsze stopnie, gdy głos powracającego Rita zatrzymał go.

— Nie wchodź, już wracam.

Rit był zadowolony.

— Wszystkie urządzenia pomocnicze działają sprawnie — oznajmił. — Jeśli uda się nam zdobyć dwa pojemniki z paliwem — dodał przyciszonym głosem — to za dwadzieścia minut możemy wystartować.

Wsiedli do kabiny wózka i At włączył silnik. Okrążyli konstrukcje towarzyszące i zatrzymali się przed metalowymi wrotami. Teraz Rit wyciągnął z wewnętrznej kieszeni skafandra płaskie, podłużne pudełko. Podając je Atowi powiedział:

— Wystarczy, że zbliżysz romi do karku Hura i naciśniesz guziczek.

At trzymał w dłoni śmiercionośne narzędzie. Było ciężkie, jak na swe niewielkie rozmiary.

— Sądzę, że pół sekundy napromieniowania wystarczy — powiedział At chowając aparacik do podręcznej torby.

— Dłużej nie wolno. Mogłoby to zakończyć się śmiercią Hura — wyjaśnił Rit.

Podszedł do wiszącego obok drzwi nadajnika i włączył go mówiąc:

- Pilot Rit zgłasza się do technika Hura.

— Słucham cię, Rit — zabrzmiał w odpowiedzi niski głos.

— Z polecenia Duta mam zabrać ładunek dla Pirny.

— Wiem, możesz wchodzić.

Drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Znaleźli się w niewielkiej wnęce. Tworzyły ją niezbyt starannie obrobione skalne ściany. Przez uchylone drzwi wjechali do jasno oświetlonego pomieszczenia, w którym urzędował Hur. Siedział w głębokim fotelu i wydawał się drzemać. Rit zastukał w oszkloną ścianę. Technik kosmiczny Hur bez pośpiechu wyszedł im naprzeciw.

— Przez ten zidiociały alarm przerwano mi sen — powiedział uśmiechając się ironicznie. — Gdyby — ciągnął kpiącym głosem — było to rzeczywiste zagrożenie, ale gdzie tam — machnął z rezygnacją ręką. — Okazało się, że tajemniczy obiekt to nowy typ kosmicznej sondy. — Zaśmiał się. — Za swoją gorliwość tym razem Niu otrzyma nagane.

Rit również wybuchnął śmiechem.

— Mało brakowało, a nasi spece od samoobrony zestrzeliliby doświadczalny pojazd Ferriego.

Rozmawiając zatrzymali się przed okrągłym, starannie zabezpieczonym płytami z ołowiu włazem. Nastawiając mechanizm Hur, zwracając się do Ata, powiedział:

— Teraz, gdy alarm został odwołany, nie widzę potrzeby tankowania Pirny.

Przestał nastawiać cyfrowy szyfr i odwracając się spojrzał w oczy Rita.

— Przecież jeden ładunek posiadasz?

Zaskoczony pytaniem Rit potwierdził skinieniem głowy.

— To nie mój pomysł — mruknął siląc się na obojętny ton. — Wykonuję polecenie Duta.

— A jeśli już tu jesteśmy — wtrącił się do rozmowy At — nie wypada wracać z pustymi rękami.

Hur pokiwał głową bez przekonania.

— To też racja, ale... — Zawiesił na chwilę głos. — Zgodnie z przepisami nie powinienem wam wydać — dodał.

Zapadła kłopotliwa cisza. At uparcie szukał wzroku przyjaciela. Co będzie, jeśli Hur rozmyśli się — zastanawiał się. I to teraz, kiedy od osiągnięcia upragnionego celu dzielą ich tylko zamknięte drzwi wjazdu. — Rit myślał podobnie. Wzrokiem dał Atowi do zrozumienia, że jeszcze nie teraz. Zaraz też natarł na technika.

— Sądzę, Hur, że polecenia Duta są dla nas ważniejsze niż instrukcja. Ja nie myślę cię prosić. Nie mam w tym żadnego interesu.

Zwracając się do Hura krzyknął:

— Wracamy! Za pięć godzin sam będziesz ładował Pirnę, stary osle.

Ostatnie słowa Rita zamiast rozgniewać — rozbawiły Hura. Zaniósł się cienkim, recho-
tliwym śmiechem.

— Udało ci się, Rit. Rzeczywiście jestem już stary i być może przygłupi.

Wtedy i oni roześmieli się.

— Jeśli już tak bardzo rozeźliłeś się na mnie, Rit, dam ci tę przeklętą energię. To przez nią tak się zestarzałem — dodał i powiódł po ich twarzach poważnym, pełnym smutku spojrzeniem. — Miałeś słuszość, Rit, nazywając mnie osłem. Wplątałem się w tę historię z irtem, mimo że ostrzegano mnie. Nie słuchałem przyjaciół, rodziny. Zafascynowała mnie tajemnicza, po dziś dzień nie wyjaśniona siła metalicznego proszku o nazwie irt. Postanowiłem sobie, że rozwiklam tę tajemnicę. Pracowałem nad rozwiązaniem niezwyklego zachowania się materii w polu irtu przez dziesięć lat. Dziesięć lat nieustannych zmagania ze straszliwą materią. Raz i drugi zajrzałem do jej środka, a nawet i w pewnym sensie moje rozwiązania ujarzmiły ją. Zapłaciłem za to swą młodością. Irt, z pozoru martwy, obojętny na wszystko metal, każe sobie drogo płacić za wydarcie każdej ze swych tajemnic. Tak, przyjaciele. Jestem w waszym wieku, a jak ja wyglądam?

Stał przed nimi drżący i wynędzniały, zaglądając im w oczy jakby wygasłymi już źrenicami. Słuchali Hura ze zdumieniem. Współczuli mu. Niespodziewane zetknięcie z przedwczesną starością w obecności materii, która nie była już materią, zrobiło na nich wstrząsające wrażenie. Stropieni opowiadaniem Hura, który był żywym świadectwem walki między inteligencją a materią nieożywioną, uświadomili sobie, że ten pozornie martwy świat jest również okrutny i bezwzględny.

Z zamyślenia pierwszy ocknął się Rit. Podeszedł do Hura i kładąc mu dłoń na ramieniu powiedział:

— Wybacz. Nie wiedziałem o tym. Ale... — zawahał się.

— Ja to rozumiem — przerwał mu Hur. — Wykonujesz polecenie i denerwuje cię, jeśli ktoś ci w tym przeszkadza.

Obrócił się i zaczął manipulować we wnęce, gdzie umieszczona była aparatura elektroniczna.

— Wydam paliwo — powiedział nagle. — Czemu mam ochraniać coś, co zabrało mi połowę życia?

Ledwo to powiedział, gdy z cichym szcęknięciem odskoczyła pokrywa włazu. Z otworu powiało mrocznym chłodem. Hur zagłębił się weń, ale zaraz się cofnął. Usłyszeli niski buczący dźwięk samoczynnego dźwigu. Jego stalowe ramiona wyniosły coś, co było owalne i podłużne, i przypominało ołowiany pocisk.

At podjechał wózkiem. Łapy dźwigu precyzyjnie umieściły na nim ołowiany pojemnik.

— Daj nam jeszcze jeden — proszącym głosem odezwał się At.

Hur spojrzał zdumiony.

— Chyba nie mówisz tego poważnie?

Zamierzał dopaść skrytki z urządzeniem szyfrowym, ale drogę zagroził mu Rit.

— Nie chcemy cię krzywdzić, Hur. Jeśli jednak nie wykonasz polecenia — At zdecydowanym ruchem podsunął pod nos technika aparat romi — będziemy zmuszeni go użyć.

Hur cofnął się.

— Chcesz mnie zabić?

— Jeśli nie wydasz jeszcze jednego ładunku...

— Teraz już wiem, knujecie ucieczkę.

— Nieważne, co sobie o tym myślisz. Potrzebujemy dużo paliwa i ty nam je dasz.

— Nie, nigdy!

Hur całym ciałem rzucił się na zagrządzającego mu drogę Rita. Ale Rit okazał się silniejszy.

— Opamiętaj się, Hur! — krzyknął ostrzegawczo.

W tym właśnie momencie At kierując celownik romi na kark Hura, nacisnął guziczek. Smuga maleńkich iskerek przecięła mrok. Ciało Hura wyprężyło się i zaraz zwiotczało. Podtrzymał go Rit. Obezwładnionego ułożyli w kabinie wózka. At uruchomił dźwignię. Łapy posłusznie podały następny ładunek. Jednakże gdy nacisnął po raz trzeci, gdzieś z góry lunęła na nich jasna smuga światła. Jednocześnie z głębi hangaru zawyła syrena alarmowa. Rit zniechęcony z wrażenia. Takiego obrotu sprawy nie przewidywał. Ale At zachował przytomność umysłu. Błyskawicznym ruchem skierował romi na ukryty we wnęce elektronowy mózg. Zwiększona dawka Su zniszczyła zwoje mózgu komputera. W tunelu zapanowała ciemność i cisza.

— Musimy się śpieszyć — szepnął Rit zdławionym głosem. — Jeśli sygnalizacja hangaru włączona jest w system centralnego sterowania, to za chwilę będziemy mieli na karku tych z oddziału samoobrony.

— Zniszczymy komputer w hali kosmodromu. To ich powstrzyma — zdecydował At.

Potem, kiedy nieprzytomnego Hura ułożyli już w jego służbówce i gdy komory Pirny załadowali paliwem, odetchnęli z ulgą. Okazało się, że syrena alarmowa zainstalowana w tunelu paliw była urządzeniem lokalnym. Toteż z przygotowaniem rakiety do startu nie musieli się śpieszyć. Około godziny dwudziestej szóstej Rit poinformował Ata, że komory rakiety załadowane zostały ciekłą mieszaniną gazów. Również robot wytwarzający żywność zgłosił pełne zaopatrzenie w surowce.

— Jeśli wszystko gotowe — podjął z wahaniem w głosie At — to startujemy.

— Jak to, bez Alby? — zdziwił się Rit.

— Rzeczywiście, coś jej przydługo nie ma — udał zaniepokojenie At.

— Porozmawiaj z nią, At — przynaglał pilot. — Sam rozumiesz, czym może zakończyć się czekanie.

Rit maskował podniecenie. Znajdowali się w kabinie pilota. Była ona umieszczona w przodzie rakiety, na jej najwyższym piętrze. Rit nachylił się nad fosforyzującym zielonkawym światłem pulpitem, na którym zainstalowany był mózg rakiety — komputer Teo. Umieszczony w przezroczystej osłonie żarzył się mozaiką kolorowych świateł. Rit włączył komputer w system zasilania Pirny. Z głośnika wydobyły się trzaski, a potem przeprasający głos Tea:

— Obwody G wykazują zwiększone napięcie spowodowane promieniowaniem. Aby je wyrównać, zmuszony byłem włączyć system B. Już to zrobiłem. Zaraz mój głos będzie brzmiał czysto. Czekam na polecenie.

Rit nachylił się w stronę mikrofonu.

— Szykujemy się do startu. Sprawdź, Teo, pracę wszystkich podzespołów. — Powiedział to i zwracając się do Ata dodał:

— Sam słyszałeś. Dłużej niż piętnaście minut nie możemy czekać. Właśnie Teo włączył reaktor.

At wiedział o tym, co może nastąpić, jeśli potężne silniki będą zbyt długo pracowały w zamkniętej przestrzeni. Znał przyczyny wybuchu na kosmodromie doświadczalnym na wyspach Gini. Razem z rakieta wyleciał w powietrze niemal cały kosmodrom. Denerwował się. Od kilku minut usiłował nawiązać łączność z Albą, ale jak dotąd na jego wezwania nikt nie odpowiadał. Odnosił wrażenie, jakby gdzieś między nimi ustawiony został potężny, pochłaniający najbardziej przenikliwe fale ekran. On, spec od dalekosiężnej łączności kosmicznej, nie mógł otrzymać połączenia z abonentem oddalonym o kilkadziesiąt metrów. Musiał się powstrzymać, aby nie cisnąć małym nadajnikiem o podłogę kabiny. Nie zrobił tego, bo czuł na sobie spojrzenie Rita, bo uświadomił sobie, że jest dowódcą potężnej rakiety i ten fakt określa jego zachowanie. Siłą się na zachowanie spokoju mruknął:

— Alba musiała wyłączyć odbiornik z podsłuchu. To niemożliwe, abym... — urwał.

Spojrzał w migocące światłami oblicze Tea i jakby pod jego wpływem olśniła go myśl.

— A jeśli Alba stoi w tunelu przed zamkniętymi wrotami i nie może uporać się z komputerem?

Nie słuchał Rita. Chwycił romi i wybiegł z kabiny na pomost wprost do windy. Spieszył się. Gorączkowo obserwował wolno, ale nieustannie obracającą się wskazówkę czasomierza. Zostało mu jeszcze dziesięć minut. Czy zdąży? Była to jedyna myśl, której podporządkował cały swój fizyczny i psychiczny wysiłek. Koncentracja wyzwoliła w nim dodatkową energię. Biegł w górę tunelu długimi susami, wykorzystując naturalną właściwość znacznie zmniejszonej na Zi siły ciężenia. Biegł napięty, łowiąc słuchem każdy szelest. Wyobrażenia i tym razem nie zawiodła go. Z daleka usłyszał głuchy łomot. Nie miał już wątpliwości. Za metalową ścianą stała Alba. Odczuł ogromną ulgę. Radość, że Alba nie zawiodła go, że przełamała chwilową depresję, była wielka. Nie tracąc czasu podbiegł do ukrytego w ścianie mechanizmu dźwigni. Ale mechanizm nie działał. Raz jeszcze postanowił użyć romi. Jeśli za pomocą promieni doprowadzę do zwarcia, wrota opadną — rozumował. Tak też się stało. Wśród złośliwego zgrzytu osuwającego się metalu usłyszał radosny krzyk Alby. Porwał ją w ramiona i mimo zmęczenia podrzucił w górę.

— A teraz biegiem — wymamrotał zdyszany. — Zostało nam zaledwie pięć minut.

Trzymając się za ręce dopadli hali, gdzie stała Pirna. Ogarnęła ich półprzezroczysta chmura rdzawego dymu i fala ciepła. Instynktownie naciągnęli na twarze maski ochronne. At

spojrzał w górę. Na najwyższym pomoście konstrukcji towarzyszącej stał Rit. Gestami rąk przynaglał do pośpiechu. Byli już w windzie, gdy At dostrzegł, że jego towarzyszka traci siłę. On sam był tak wyczerpany, że aby nie upaść, musiał się złapać metalowych uchwytów. Na szczęście oczekiwał ich Rit. Pomógł Atowi i Albie w dotarciu na pokład rakiety. Zaraz też uruchomił mechanizm otwierający kopułę wyrzutni i włączył silnik na start. Czas był najwyższy. Temperatura w hali osiągnęła już stopień krytyczny, a wydobywające się resztki promieniotwórczych spalin zjonizowały mieszaninę gazu w takim stopniu, że w każdej chwili groził on wybuchem. Pirna-2 drgnęła wolno, jakby z wahaniem uniosła się nad stalowymi pierścieniami wyrzutni i nagle, gdy współczynnik ciągu osiągnął sto tysięcy het, pomknęła w przestrzeń.

Przez pierwszych dziesięć minut lecieli pionowym lotem startowym. Dopiero gdy ogromny ciężar bezwładności minął, gdy wciśnięty w fotel pilota Rit mógł już unieść ramię, nakazał, aby Teo przystąpił do wykonania wcześniej zaprogramowanego pilotażu. Tymczasem At i Alba nadal spoczywali w specjalnych urządzeniach startowych. Czuli ciężar przyśpieszenia. Był tak wielki, że At z trudem uniosł powieki. Dostrzegł Albę i uśmiechnął się. I ona wciśnięta w poduszki fotela sprawiała wrażenie pogrążonej w łagodnym śnie. Kiedy rakietę przechodzącą w lot okrążający, zmieniła położenie i gdy wraz z tym manewrem ustąpiła siła przyśpieszenia, Alba uniosła się nieco i podchwytyjąc spojrzenie Ata szepnęła:

— Nie mogłam, At. Mimo wszystko nie mogłam zostawić cię samego. Sama nie wiem — zawahała się — ale jest w tym coś, co i mnie pasjonuje. Może to miłość? A może chęć przeżycia wielkiej przygody?

At odczepił krępujące ciało pasy.

— A może — podchwycił — jest i jedno, i drugie.

Lecieli. Dopiero po drugim okrążeniu Zi Rit wyznaczył nową trajektorię lotu rakiety. Zataczając nad planetą spiralną pętlę, zaoszczędzili znaczną ilość paliwa, a ponadto uzyskali takie ustawienie pojazdu względem Hat, które w umownym punkcie przestrzeni wyznaczało najkrótszą drogę do celu. Na warunki kosmiczne odległość od planety Hat była niewielka. Połyskujący jasną poświatą krążek, wielkości monety Tu, widać było gołym okiem.

W systemie układu planetarnego gwiazdy Nu planeta Hat wyróżniała się tym, że było na niej wysoko rozwinięte życie biologiczne. Inne planety tego systemu wykazywały jedynie aktywność geologiczną. Przypadkowe odkrycie „żywej” planety wywołało wśród istot cywilizacji Nurra wielkie poruszenie. At doskonale pamiętał wiwatujące na tę okoliczność tłumy. Przemawiał do nich sam Wielki Roro. Przedstawiając plan Wielkiej Rady, zapowiadał stopniowe opanowanie błękitnej planety. Zalecał cierpliwość w badaniach rozpoznawczych i

potępił projekt komisji Linta, która domagała się opanowania Hat drogą zbrojnej inwazji. Rozwagę i przezorność Wielkiego Roro zdawały się potwierdzać napływające z kosmosu meldunki. Ekipy zwiadowcze donosiły w nich, że cywilizacji Hat nie wolno lekceważyć. Nie osiągnęła ona co prawda w żadnej dziedzinie poziomu cywilizacji Nurra, ale to wcale nie oznacza, że mieszkańcy planety Hat to istoty prymitywne. Bezpośrednie obserwacje, a także liczne zdjęcia, wskazują na to, że istoty tej cywilizacji poruszają się w różnego typu pojazdach latających, a nawet posiadają statki przypominające rakiety. Co prawda zasięg tych rakiet jest śmiesznie mały, ale to wcale nie oznacza, że można je ignorować bądź lekceważyć. Słuszność tej zasady potwierdził nie podany do publicznej wiadomości incydent. Otóż w drugim miesiącu rozpoznawczych lotów kierownik Zespołu 1 otrzymał polecenie przechwycenia jednego z pojazdów wytworzonych przez istoty z Hat, a krążących na niewielkiej wysokości wokół tej planety. Ponieważ wymiary pojazdu były niewielkie, przechwycenie pojazdu nie powinno nastroczać żadnych trudności. Tak rozumował kierownik Zespołu, wydając załodze sondy G-135 polecenie wykonania zadania. Zabrali się do tego z ochotą. Sonda G-135 dokonywała kontroli wyższych obszarów, gdzie praktycznie nic się nie działo. Zalecona akcja wprowadzała w życie załogi nieco urozmaicenia, toteż czteroosobowa grupa nie zwlekając przystąpiła do działania. Jednakże w momencie, gdy magnetyczne łapy G-135 chwyciły ów dziwny bezzałogowy pojazd, silna eksplozja rozerwała go i sondę G-135 na strzępy. To niezwykle wydarzenie powstrzymało nieco zapędy Ferriego. Szef lotów musiał się mocno tłumaczyć z tragicznej w skutkach decyzji. Od tego też czasu Wielka Rada wydała szereg ostrych zarządzeń zmierzających do zachowania nadzwyczajnych środków ostrożności w postępowaniu z istotami Hat, a także z ich pojazdami. Ponieważ zaobserwowano próby opanowania pojazdów Nurrów przez owe istoty, instrukcja zalecała daleko idącą ostrożność. Między innymi nie wolno było nawet za cenę życia załogi dopuścić, by jakikolwiek pojazd Nurrów znalazł się w ręku istot z planety Hat. Instrukcja nakazywała w wypadku takiej ewentualności zniszczenie statku.

At rozumiał obawy Wielkiej Rady. Wiedział, że cywilizacja Hat nie opanowała technologii uzyskiwania wielkich energii. Gdyby jednak zdobyli pojazd i rozszyfrowali zagadkę jego napędu, kto wie, czy w krótkim czasie nie staliby się groźni. Jak dotąd wszystko wskazywało, że są do tego zdolni. Był to więc problem, który niepokoił zarówno czynniki najwyższej władzy, jak i tych kosmitów, którzy obserwując planetę wykonywali swe codzienne powinności. Tymczasem kilka godzin temu z winy Ata coś takiego nastąpiło. Teraz, gdy wielka rakietka mknie w stronę planety, At pochyla się nad topograficzną mapą kwadratu czterdzieści jeden, osiemdziesiąt pięć i, studiując każdy jej szczegół, zastanawia się nad sposobem zni-

szczenia ukrytej gdzieś pod skałami G-137. At zdawał sobie sprawę z trudności. Wiedział, że istoty z Hat przewyższają Nurrow nie tylko wzrostem, ale i siłą fizyczną. Wiedział również, że ci z Hat są sprytni i przebiegli. Biorąc to pod uwagę usiłował opracować plan, który przy minimalnym ryzyku gwarantowałby powodzenie akcji. Nie było to łatwe. Nikła ilość informacji sprawiła, że jego plan przebiegu akcji opierał się na przypuszczeniach. Czy rzeczywistość znajdzie w nich potwierdzenie, tego At nie wiedział. Obliczył już czas trwania lotu i miejsce lądowania. Ale co dalej? Miejsce ukrycia G-137 jest bez wątpienia pilnie przez tamtych strzeżone. Zapewne chroni je dobrze zamaskowany system alarmowy. Jak pokonać ten system? W jaki sposób dostać się do układu przestrzennego, którego ze zrozumiiałych względów nie mógł sobie wyobrazić? Czy wobec tej wielkiej niewiadomej nie lepiej zdecydować się na atak? Uzbrojeni w aparaty romi mogliby z Ritem skutecznie stawić czoła teoretycznie nieskończonej liczbie osobników z Hat. Rozważając taką ewentualność musiał uwzględnić i to, że tamci również dysponują bronią i być może równie skuteczną jak Nurrowie. Chociaż? Zapewne nie ujarzмили energii, której promień przenika kilkunastometrową warstwę twardej skały.

Rozmyślania Ata przerwało wejście Alby. Widząc rozłożoną mapę powiedziała:

— Sądzę, że nadszedł czas, abys i mnie wtajemniczył w swoje plany.

Wyczuł w jej głosie wymówkę.

— Usiłowałem to zrobić, ale twoja reakcja...

— Nie wracajmy już do tego — prosiła. — Byłam w stanie silnej depresji. Tak na dobrą sprawę, sama nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje — dodała wyjaśniająco.

At przyglądał się jej podejrzliwie. Zastanawiał się, czy Alba nie zażywa pojperi. Był to lek na tak zwaną „samotność kosmiczną”. Przedawkowany wywoływał stany apatii, objawy skrajnego pesymizmu, niewiary w siebie, poczucia nicości i zagubienia. Jak było z Albą naprawdę? At mógł o to zapytać przyjaciółkę, ale wiedział, jak bardzo kobiety z Nurra nie lubiły, gdy coś im się zarzucało lub o coś posądzało. Powiedział więc pojednawczo:

— Masz rację. Nie ma sensu powracać do spraw, z których nic nie wynika.

Siedzieli w obszernej kabinie nawigacyjnej. Jej ściany wyłożone były jasnym teofitem, z którego promieniowało łagodne ciepło. Część górną, jakby zawieszoną, wypełniały zminiaturyzowane układy przestrzenne gwiazd i planet sąsiadujących z układem gwiazdowym Nurra. Wszystko to połyskiwało słabym, jakby z wnętrza emitowanym światłem. Najważniejszym urządzeniem kabiny był jednak kosmiczny zegar. Urządzenie to, niezwykle precyzyjne i czułe, z dużą dokładnością określało położenie statku w przestrzeni, jego prędkość, a co najważniejsze, sygnalizowało zbliżające się niebezpieczeństwo. Przy ogromnej prędkości Pirny by-

ła to niezwykle istotna właściwość. Istniało bowiem prawdopodobieństwo zderzenia z błędzącą w przestrzeni materią. Mógł to być większy lub zupełnie mały okruch kosmicznego pyłu. Zderzenie z takim okruchem zakończyłoby się dla rakiety tragicznie. Toteż technologia urządzenia, które nazwano „cudownym okiem kosmosu”, utrzymywana była w ścisłej tajemnicy. Nawet At nie znał szczegółów działania i budowy zegara kosmosu. Najogólniej wiedział, że praca „cudownego oka” oparta jest na zasadzie pola grawitacyjnego. Rozciągało się ono wokół Pirny na znacznej odległości. Każde najmniejsze nawet zakłócenie w natężeniu pola rejestrowane było przez oko zegara. Ta właściwość urządzenia, w połączeniu z szybko reagującym mózgiem komputera, sprawiła, że Pirna-2 stała się szczytowym osiągnięciem techniki cywilizacji Nurra. Tuż obok zegara umieszczony był elektroniczny zapis lotu rakiety, a nieco niżej urządzenia radiolokacyjne. Dzięki łagodnemu światłu kabina miała przytulny, miły wygląd. Nim zasiedli w niskich, wygodnych fotelach, At włączył mikrofon.

— Jesteśmy w kabynie nawigacyjnej. Przyjdź, Rit, do nas. Musimy zastanowić się, co dalej.

Potem, gdy w trójkę pochylali się nad mapą z naniesionym miejscem przyszłego lądowania, ciągle nie mogli dojść do porozumienia co do koncepcji zamierzonej akcji. At był zwolennikiem działania przez zaskoczenie. Miało ono polegać na wtargnięciu do tunelu przy użyciu siły. Zasadą tej akcji byłaby bezwzględna, nie licząca się z ofiarami walka. Projektowi temu przeciwny był Rit i Alba. Dziewczyna Ata oponowała energicznie twierdząc, że dokonany na istotach z Hat mord mógłby mieć nieobliczalne następstwa. Skoro dotąd stosunek kosmitów do mieszkańców planety był przyjazny i jeśli w nielicznych, co prawda, przypadkach bezpośrednich kontaktów, oni tę przyjaźń doceniali, to krwawa akcja Ata mogłaby wywołać chęć zemsty, a już na pewno nienawiść. Podobnego zdania był Rit. Twierdził też, że atak nie ma szans powodzenia, ponieważ Hatowie są liczni i dobrze uzbrojeni. Uważał, że cel można osiągnąć za pomocą fortelu. Zaraz też przedstawił własną koncepcję. Wykorzystując fakt, że w pobliżu znajdują się zbiorniki z paliwem, trzeba spowodować wybuch jednego z nich. Pożar wywoła panikę wśród załogi. Należy przypuszczać, że w wyniku bezpośredniego zagrożenia nastąpi ewakuacja zatrudnionych w tunelu Hatów. Właśnie wtedy można będzie przystąpić do wykonania zadania. Ale pomysł Rita nie przypadł Atowi do gustu.

— Przyjmując tok twego rozumowania, moglibyśmy dla przykładu wywołać powierzchniowe trzęsienie skorupy. Sądzę, że skutki trzęsienia byłyby bardziej namacalne niż pożar.

Rit wyczuł w głosie przyjaciela kpinę.

— Nie wysilaj się — zauważył z przekąsem. — Chcesz być dowcipny, ale jakoś ci to nie wychodzi.

Spojrzeni sobie w oczy. Alba, która dotąd milcząco przysłuchiwała się rozmowie, dostrzegła w oczach Rita złe błyski. Zrozumiała, że sytuacja staje się napięta, toteż aby ją załagodzić, powiedziała pojednawczo:

— Ja również mam coś do zaproponowania.

At ożywił się. Na jego ustach nadal błąkał się ironiczny uśmiezek.

— Mów, proszę. Twój mózg ma taką samą pojemność, jak nasz.

Alba nie zareagowała na kpinę Ata.

— Uważam, że moja propozycja będzie najlepszym rozwiązaniem.

— Nie uprzedzaj faktów — wtrącił oschle Rit.

— Masz rację — przyznała. — Mój pomysł to nie głośne fajerwerki, a ciche, skuteczne działanie. Uważam — ciągnęła — że do zbiornika cieczy pitnej, w którą zaopatruje się załoga tunelu, należy wsypać proszku peoti. Z doniesień naszego zwiadu wiadomo, że istoty z Mat spożywają dużo płynów. Szczególnie dużo piją tam, gdzie są pustynne okolice. Wystarczy kubek cieczy z odrobiną rozpuszczonego proszku, aby każdy z nich zapadł w mocny, pocrzeplający sen.

At spojrzał wymownie w oczy Rita.

— Sądzę, że to niezły pomysł! — zawołał triumfującym głosem. — W każdym razie jest on dużo zabawniejszy niż proponowane przez Rita podpalenie.

— A już na pewno mądrzejszy niż zdobycie tunelu siłą — podchwycił ze zjadliwą pogardą Rit.

At pochylił się nad mapą. Ciągnął się na niej zminiaturyzowany łańcuch górski, głęboki wąwóz, którego dnem płynęła rzeka, a dalej niemal w sercu pustynnej równiny budynki fabryki produkującej paliwo Wu. W prawym dolnym narożniku kwadratu znajdowała się makieta miasta.

— Jeśli informacje naszych wysłanników są prawdziwe, to ci z Hat zaopatrują się w ciecz pitną z rzek. A jeżeli tak, to ujęcie wodne powinno znajdować się w tym miejscu.

Rysownikiem zaznaczył czerwone kółko.

— Ujęcie nie jest ważne — zauważył Rit. — Ważne są w tym wypadku zbiorniki.

— Idąc śladem ujęcia wykryjemy lokalizację zbiorników — uciał dyskusję At.

— Jeśli nawet — upierał się Rit — to czy masz, Alba, pewność, że organizmy tych istot właściwie zareagują na peoti? A jeśli proszek wywoła u nich nieprzewidzianą reakcję? Jeśli peoti wywołuje u nas sen, to wcale nie znaczy, że takie samo lub podobne działanie musi spowodować w organizmie odmiennym od naszego.

— Co to znaczy odmiennym? — spytała Alba. — Jeśli różnimy się od nich wzrostem i

wyglądem, a posiadamy niemal identyczny skład krwi i komórek...

Rit przerwał Albie rozdrażnionym głosem:

— Powiedziałaś: niemal identyczny. Sama wiesz, co to może oznaczać w nauce. Nie-mal identyczny skład, a zupełnie inne cechy osobnicze.

Alba sprawiała wrażenie osoby zaskoczonej własną ignorancją.

— Rzeczywiście — wyjąkała — chyba masz rację. Zbyt mało o nich wiemy, aby można było stosować tego typu środki — dokończyła cicho.

Argumentacji Rita nie podzielał At.

— Jestem zdania — uniósł głos — że pomysł Alby jest godny uwagi. Według mnie jest niemożliwe, aby peoti zaszkodził jakiemukolwiek żywemu stworzeniu, obojętnie z jakiej pochodziłoby planety. Problem jest tylko w tym, czy posiadamy go w takiej ilości, aby, rozcień-czony w dużej masie cieczy, był skuteczny.

Alba ożywiła się.

— Z moich pobieżnych oględzin składu medykamentów wynika, że tak.

— Pirna jest zawsze dobrze zaopatrzona w tego typu leki — potwierdził Rit.

— W takim razie przyjmujemy następny plan działania — powiedział At i uniósł dłoń.

Oznaczało to, że jako dowódca statku dalszą dyskusję uważa za niecelową.

— Lądujemy w tym miejscu.

Rysopisem zaznaczył na mapie maleńki prostokąt.

— Jest to niewielki, zasłonięty wysokimi szczytami gór płaskowyż. Wybieram to miej-sce nie tylko dlatego, że ma ono skaliste podłoże, dogodne do startu, ale i dlatego, że lądując tam, nie zostaniemy przez Hatów wykryci. Po wylądowaniu wytaczamy z rakiety sondę G-135 i lecimy nią na zwiad. Najpierw musimy zlokalizować położenie obiektu głównego. Nie będzie to trudne, jeśli posłużymy się aparatem eta. Wiadomo, że tego typu tunele posiadają silnie promieniujące urządzenia nadawcze. Łatwo je więc wykryć. Następnie ustalimy położe-nie zbiornika z pitną cieczą. Opanujemy go. Z nadmiarem cieczy poradzimy sobie zamykając dopływ. Gdy określona ilość z rozpuszczonym w niej proszkiem spłynie, odkręcimy zawór z dopływem. W ten sposób żaden z Hatów nie zorientuje się w sytuacji. Oczekamy, aż peoti zacznie działać i wówczas wtargniemy do tunelu. Odszukamy sondę G-137, zniszczymy ją, a następnie uwolnimy członków załogi.

— Jeśli jeszcze żyją — mruknął ponuro Rit.

At rozłożył ręce w bezradnym geście.

— Żywych czy martwych — musimy ich zabrać.

— A jeśli — podjął Rit — nie wszyscy z nich napiją się cieczy z naszym proszkiem, co

wtedy?

— No cóż... W sytuacji przymusowej będziemy musieli podjąć walkę. Mamy doskonałą broń. Romi jest niezawodnym urządzeniem. Jeśli jednak wam tak zależy, nie musimy ich zabijać. A teraz zabieramy się do roboty. — I zwracając się do Rita dodał: — Zajmiesz się lądowaniem, a ja i Alba zgromadzimy niezbędny sprzęt. — Spojrzał na świetlistą smugę zegara. — Mamy piętnaście minut do zejścia na orbitę planety. Czas najwyższy...

Wykonując polecenie Ata, Alba zniosła niezbędne medykamenty na najniższy pokład. Wypełniała go niska i ciasna kabina sondy G-135. Złożyła je w specjalnym schowku i wróciła do swego pomieszczenia. Znajdowało się ono na górnym pokładzie między kabiną pilota i nawigacyjną. Mimo że ucieczka z Oki jakby wychodziła naprzeciw marzeniom Alby, mimo że cała jej natura pragnęła zerwania z dotychczasowym trybem jałowego — jak to określała — życia, to jednak teraz, gdy to już nastąpiło, odczuwała lęk i niepokój. Wydawał się jej dziwny, nie uświadomiony w pełni, jakby zaczajony gdzieś w głębinach podświadomości. Czyżby źródło jego tkwiło w marzeniach sennych? Tak właśnie było przed ucieczką, zanim przyszedł At. Zdrzemnęła się chwilkę i wtedy nawiedziły ją senne widziadła. Tak była nimi przejęta, że musiała zaraz opowiedzieć o tym Atowi. Jednakże on, jak to zresztą przewidywała, nie podzielał jej obaw. Zawsze uważał, że nie można traktować poważnie sennych majaczeń. Tymczasem? Nie upłynęły trzy godziny, a sen już zaczyna się sprawdzać: podróż rakietą w nieznaną w towarzystwie Ata i Rita stała się faktem dokonany. A jeśli jej senne przecucia sprawdzą się? Jeśli rzeczywiście podróż zakończy się klęską? Czy decyzji o zerwaniu z cywilizacją Nurra nie podjęła pochopnie? Rodzina, przyjaciele, wygodne życie w miastach-grodach, gdzie wilgotność i temperatura powietrza są regulowane i gdzie każdą niemal pracę wykonują roboty. Zrezygnowała ze świata, w którym aktywność organizmu można było regulować według własnej woli i uznania. A jednak owo beztrudne życie na Nurra nie zadowalało Alby. Było w nim coś ubogiego, co nie zaspokajało jej pragnień i ambicji. Nie spełnione marzenia, potrzeba przeżycia czegoś pięknego i wielkiego zarazem sprawiły, że wybrała życie kosmity, istoty, przed którą otwierała się nieograniczona przestrzeń kosmosu. Wybrała trudny zawód. Wybrała go wbrew stanowisku matki i wbrew tym wszystkim, którzy darzyli Albę przyjaźnią. Żal jej było matki. Była dla niej najbliższą osobą, zawsze gotową do najwyższych poświęceń. Alba wiedziała, skąd to się brało. Nie знаła swego ojca. Zginął w ośrodku doświadczalnym podczas prób nad uzyskaniem nowego źródła energii. Od niemowlęcych lat Alba przywykła do uśmiechu matki. Z upływem czasu nic się w tym uśmiechu nie zmieniło. Zawsze był szczery, przyjazny, życzliwy. Alba czuła to i była matce wdzięczna. Cóż, kiedy jej natura odróżniała się od sposobu myślenia i bycia jej rówieśnic. Uświadomiła

to sobie pewnego dnia, gdy już jako absolwentka Technicznej Szkoły Łączności Kosmicznej miała do wyboru: pracę w laboratorium zakładów Sukro lub stanowisko asystenta w bazie Oki. Zdecydowała się na to drugie stanowisko. Potrzebowała szerokiego oddechu. Wybrała przestrzeń. Wybrała coś materialnie nieokreślonego, co rządzi się własnymi prawami, gdzie czas identyfikuje się z mroczną głębią nieskończoności i jakby zamiera. Albę pasjonowała ta bezwymiarowa głębia z rozproszoną, płynącą materią lub czymś, co jest już jej energetycznym szkieletem. Widziała mgławice i ogromne skupiska kosmicznego pyłu, a także dziwnie pulsujące szczątki wielkich niegdyś gwiazd i martwo połyskujące planety Utary. Wszystko to kryło w sobie tajemnicę, która z neodpartą siłą działała na wyobraźnię Alby. Chciała poznać, co kryje w sobie odległa przestrzeń, zobaczyć, kiedy w nieskończonym łańcuchu przemian energetycznych pojawia się ogniwo będące nośnikiem materii żywej. Czy kiedykolwiek spełni się jej marzenie? Czy utrwali na kliszy to, co ciągle jest tylko hipotezą? Alba miała nadzieję, że uda się jej to osiągnąć. Jednakże nie tylko to było powodem, że przewyciężając swą miłość do matki zgodziła się na lot w nieznanie. Tu, w bazie Oki, poznała Ata. Spodobał się jej. Może dlatego, że był odważny i uparty w dążeniu do celu, że miał pomysły, które zaskakiwały nawet bogatą wyobraźnię Alby. Mieli odmienne charaktery, ale w sprawach zasadniczych zgadzali się i to dało początek ich przyjaźni, a z czasem — miłości. O tym, jak silne było jej uczucie, przekonała się, gdy At wtargnął do niej i bez długich wstępów zaproponował ucieczkę. Propozycja była dla niej prawdziwym szokiem. Musiała z sobą walczyć. W zmaganiach z własnym ja traciła poczucie rzeczywistości. Ogarnięta szokiem przypisywała Atowi różne historie... Teraz wszystko to nie miało już znaczenia. Poszła za głosem serca, podjęła wezwanie, które drzemało w niej od lat młodzieńczych: wstąpiła na gwiazdny szlak wielkiej przygody. Mimo świadomego wyboru Alba nadal była podniecona i smutna. Niełatwo zrezygnować ze świata, który ją ukształtował. Pełna rozterki podeszła do urządzenia optycznego kirko. W odróżnieniu od zwykłego teleskopu miało ono tę właściwość, że działając w paśmie fal podczerwieni, przenikało powłokę nieprzezroczystych gazów. W przypadku planety Hat, której powierzchnia była zazwyczaj ukryta pod grubą warstwą chmur, urządzenie kirko spełniało doniosłą rolę. Szczególnie przy lądowaniu pozwalało na bezbłędne sprowadzenie pojazdu w dowolne, z góry określone miejsce.

Tymczasem do lądowania pozostało jeszcze trochę czasu. Ze wskazań kosmicznego zegara wynikało, że Pirna ma do pokonania około dwunastu milionów kilometrów. Lot potrwa jeszcze kilkanaście minut, które Alba spędzi na obserwacji. Od chwili rozpoczęcia pracy w bazie Oki zawsze marzyła, a nawet czyniła starania, aby przydzielono ją do Zespołu 3. Jak dotąd zabiegi Alby nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Do Zespołu 3, który zajmował

się bezpośrednim badaniem nowo odkrytej planety, kierowani byli doświadczeni Nurrowie, specjaliści różnych dziedzin wiedzy. Co prawda szef Oki, Dut, zapewniał Albę, że zabierze ją na dłuższy rekonesans, ale ona wiedziała, że były to tylko obietniki. I gdyby nie At, zapewne długo jeszcze zajmowałyby się konserwacją urządzeń łączności w bazie kosmicznej na sole-noidzie Zi.

Alba wsunęła twarz w obudowę kirko, jednocześnie wcisnęła włącznik samosterujący ostrością obrazu. Przy wielkich prędkościach rakiety urządzenie to było niezbędne. Cichy szelest przesuwających się mechanizmów i oto pojawiła się ogromna, jaśniejąca, o seledynowym odcieniu bryła planety. Alba nie mogła powstrzymać okrzyku, taka była piękna. Z każdą sekundą dostrzegała teraz nowe szczegóły. Brunatne, to znów zielone zarysy lądów, błękitne morza, żółte piaski pustyni, białe czapy lodowców i sine granie górskich szczytów — wszystko to tworzyło ogromną, mieniającą się w promieniach gwiazdy Nu, mozaikę barw. Dopiero z tej odległości Alba zauważyła podobieństwo nieznannej planety do rodzimej. Ta sama niebieskawa poświata, te same odcienie zieleni, brązu i żółci. Tylko wielkie zbiorniki z cieczą miały nieco inne barwy.

Alba patrzyła w okulary astronomicznej lornety jak urzeczona.

Potężna, jakby zawieszona w czarnej otchłani planeta Hat rozrastała się, wypełniała sobą pole widzenia układu optycznego kirko. Teraz już widać było wyraźnie łańcuchy górskie, wielkie rozpadliny, a nawet miasta. Albę ogarnęło podniecenie. Jeszcze trzy, cztery minuty i Pirna-2 ustawi się do lądowania. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Wszystko to zbyt gwałtownie wtargnęło w jej życie. Toteż kiedy kabinę wypełnił ostry dźwięk syreny alarmowej, poczuła, jak z wrażenia uginają się pod nią nogi. Musiała zrobić spory wysiłek, aby ruszyć z miejsca. Pośpiesznie zapięła skafander, zaciągnęła na twarz maskę.

Rakieta spiralnym lotem okrążyła planetę. Kiedy osiągnęła pułap sześciuset kilometrów od jej powierzchni, pojawiły się dwie sondy G-137. Ich dowódca ofiarował swą pomoc. Ale At podziękował. Oświadczył, że załoga Pirny otrzymała do wykonania ściśle określone zadanie. Jeśli jednak koledzy z Zespołu 3 deklarują pomoc, niech jeden z pojazdów kontroluje obszar kwadratu czterdzieści osiem, pięćdziesiąt. Dodał, że być może podczas realizacji planu pojawią się nowe, nieprzewidziane okoliczności, w których pomoc ze strony załogi G-137 będzie niezbędna. Sondy odleciały, a At udał się do kabiny Rita. Pilot kończył właśnie programowanie lądowania. Zapisaną odpowiednio taśmę włączył w obwody mózgu komputera.

— Lądowanie nastąpi w chwili gdy gwiazda Nu znajdzie się na linii horyzontu miejsca lądowania — powiedział marszcząc brwi. — Wydaje się, że jest to najodpowiedniejsza pora.

Wyciągnął z kasetki kolorowe zdjęcie i podał je Atowi.

— Analiza tego zdjęcia potwierdza moje obserwacje. Kąt padania i odbicia promieni sprawi, że nasza Pirna będzie podobna do zjonizowanego obłoczka. Łądując w ten sposób zyskujemy to, że być może w ogóle nie zostaniemy wykryci — dodał i uśmiechnął się. At patrzył na fotografię. Przedstawiała manewr lądowania Pirny.

— Rzeczywiście — przyznał At nie kryjąc zdumienia. — Odbite promienie tworzą wokół pojazdu rodzaj połyskującej otuliny. Tak czy inaczej — ciągnął — najbezpieczniej dla nas byłoby pozostawić Pirnę na orbicie, a do lądowania użyć sondy. Te niewielkie, bezgłośnie poruszające się pojazdy są dla istot z Hat prawie niedostrzegalne — dodał w zamyśleniu.

— Rozważałem i tę ewentualność — podchwycił Rit. — Jednakże montaż sondy w warunkach nieważkości przerasta nasze możliwości. Chyba że — zawahał się — poprosilibyśmy do pomocy kilku kolegów z Zespołu 3...

Reakcja Ata była ostra, jednoznaczna.

— W żadnym wypadku! Sprawa jest zbyt niebezpieczna.

— W takim razie przystępuję do lądowania. Na bezcelowe kołowanie szkoda paliwa.

Mówiąc to włączył silniki hamujące. Pojazd drgnął lekko. Wolno obrócił się, przyjmując pozycję pionową.

— Zejdź do Alby! — powiedział rozkazująco. — Już czas, abyście zajęli miejsca w fotelach bezpieczeństwa!

At opuścił kabinę. Z doświadczenia wiedział, że wprowadzenie Pirny na powierzchnię planety jest zabiegiem o dużym stopniu trudności. Stopień ten zwiększały odmienne warunki, z których najistotniejszym było ciążenie. At wiedział, że występująca na Hat siła ciążenia przewyższa o 0,57 g grawitację jego rodzimej planety Nurra. Konsekwencje tego faktu były wielorakie. Toteż kiedy Pirna znalazła się w górnych warstwach atmosfery, Rit musiał włączyć dodatkowy silnik hamowania. Ale i to nie pomogło. Otoczony jęzorem ognia, potężny statek kosmiczny zbyt szybko zbliżał się do powierzchni Hat. Rit o tym wiedział. Z napięciem wpatrywał się w komputer. Migotały nieustannie zmieniające się liczbowe dane prędkości. Dane przekroczyły już granicę skali. Rit patrzył w licznik jak zahipnotyzowany. Czuł ogromną, przytłaczającą go bezzadność. To ona wciskała go w fotel, nie pozwalając na jakikolwiek ruch. Rit miał świadomość, że w każdej chwili może wydarzyć się coś strasznego. Fakt, że nastąpiło to tak niespodziewanie i wbrew jego obliczeniom, sprawił, że poczuł się niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Usłyszał zdławiony, przerażony głos Ata.

— Nie widzisz, co się dzieje? Rób coś, bo inaczej...

Wtedy przełamał w sobie to paraliżujące wolę uczucie. Omijając wykrzywioną w uśmiechu tarczę komputera, wpełznął pod jego brzuchaty korpus, gdzie mieściły się przełą-

czniki pola siłowego wielkiej mocy. Przekręcił wszystkie trzy. Narastający szum objął całąabinę. Przygasły światła, a wewnątrz wypełnił biały, półprzezroczysty opar. Rit czepiając się krawędzi sprzętów z trudem doznał do miejsca pilota. Musiał włożyć wiele wysiłku, aby wsunąć się w fotel. Skulił się i zamknął powieki. Zdawał sobie sprawę z tego, co będzie dalej. Znał działanie pola grawito-magnetycznego, które przed sekundą uruchomił, i które kuliście otaczało teraz raketę. Wiedział, że jest ono tak silne, że może zniszczyć żywy organizm. Nie miał jednak wyboru. Gdyby nie włączył pola, lądujący ze zbyt dużą prędkością pojazd roztrzaskałby się w zetknięciu z powierzchnią planety. Tymczasem... Wyteżył wzrok. Poprzez białą zawieszinę z trudem odczytał ciemne, jakby rozmazane znaki. Tak. Nie mylił się. Pole siły zmniejszyło prędkość Pirny o połowę. Teraz był już spokojny. Wyobrażał już sobie lądowanie rakiety. Opadnie miękko, jakby przy zetknięciu z planetą osiadała na podłożu sprężonych gazów, a wtedy on wyłączy pole. Zacisnął ciężące mu powieki. Pomyślał, że gdyby destruktywne działanie cząstek masino miało trwać dłużej, kto wie, czy miałby jeszcze na tyle siły, aby sprostać czekającemu go zadaniu. Wtedy uczył lekki wstrząs. Był już pewien, że Pirna-2 osiadła na twardym gruncie. Nim wyteżając siły zwłóknął się z fotela, z głośnika dobiegł go płaczliwy głos Alby:

— Wyłączcie to. Nie wytrzymam tego dłużej. Wyłączcie...

Na pół przytomny wpełznął pod pulpit komputera.

Potem, gdy już oszołomienie minęło, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz Ata. Przyjaciel trzymał w dłoni niewielkich rozmiarów aparat gisa i powolnymi, kulistymi ruchami wodził nim nad jego ciałem. Rit uśmiechnął się. Uniósł się z podłogi o własnych siłach, ale ciągle był słaby.

— Wiedziałem, że pole siły jest niebezpieczne, ale żeby do tego stopnia... — Pokiwał z powątpiewaniem głową. — Musiałem to zrobić, At. Nie było już innego rozwiązania.

— Wiem. Jeszcze trzy sekundy dłużej, a wybuch reaktora zamieniłby nas w obłoczek pary.

Zaśmiał się. Odłożył aparat i podszedł do okna kabiny.

— A jednak jesteśmy — szepnął z nutą triumfu w głosie. — Po raz pierwszy Pirna-2 wylądowała na Hat. Gdyby dowiedział się o tym Ferri, dostałby porażenia zmysłów ze złości.

— Skąd wiesz, że już o tym nie wie?

— Tak. Rzeczywiście...

Wiedziony ciekawością Rit przyłączył się do przyjaciela. Z zainteresowaniem wpatrywali się w rozciągający się krajobraz. Raketę otaczały strome zbocza gór. Nagie, rdzawo po-

łyskujące skały, tu i ówdzie porośnięte niską roślinnością, nadawały otoczeniu znamion dzikości. Wrażenie niesamowitości pogłębiło się, gdy cała trójka wydostała się na zewnątrz pojazdu. W bezpośrednim zetknięciu z atmosferą planety było coś groźnego. Chwilę kręcili się bezradnie, przytłoczeni ogromem gór. Wypatrywali jakiejś żywej istoty, ale w powietrzu wisiała martwa cisza. Chwilami tylko, jakby spod ziemi wydostawał się dziwny, monotony szelest, który zaintrygował Albę. Ruszyła po skalistym, wypełnionym kamiennymi blokami gruncie. Zaledwie uszła kilkanaście metrów, gdy w słuchawkach skafandra usłyszeli jej krzyk. Alba nachylała się nad rumowiskiem skalnym. Dawała im przywołujące znaki. Nie zwlekając pośpieszyli jej śladem. Ale pośpiech kosztował ich wiele wysiłku. Zwłaszcza osłabiony polem siły Rit słał się na nogach mamrocząc:

— Coś trzeba z tym zrobić. Siła ciężenia Hat wyssie z nas wszystkie siły.

At nie słuchał przyjaciela. Stał zafascynowany niezwykłym widokiem. Przed nimi rozpościerała się głęboka, mroczna dolina o stromych ścianach. Jej dno wypełniała biała, kółująca się kipiela rzeki. W półmroku zachodzącego dnia rozhuśtany żywioł zdawał się wypływać z wnętrza skalnych czeluści. Drgnął, gdy stojący obok Rit krzyknął:

— Patrzcie tam!

Wskazywał na przeciwległy brzeg. Płynęła wzdłuż niego, jakby ślizgając się po powierzchni fal, dziwna konstrukcja o owalnym kształcie i srebrzystym kolorze. Pojazd z dużą prędkością pokonał widoczny odcinek rzeki i zniknął za jej zakrętem. Dopiero wtedy usłyszeli monotony warkot silnika.

— Zaledwie wylądowaliśmy i już spotkanie z nimi — powiedziała Alba w zadumie.

— Rzeczywiście — przyznał Rit. — Dzikie pustkowie, a jednak? Ten poruszający się po rzece pojazd wyglądał tak, jak nasze poduszki w ubiegłym wieku.

At pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Według mnie to coś nie nosiło się, a ślizgało po powierzchni.

— Być może.

Nurrowie nadal stali nieruchomo, wpatrzeni w przepastną czeluść kanionu. Wobec ogromu otaczających ich gór i szalejącego w dole żywiołu poczuli się przygnębieni i bezradni. Zaplanowana akcja, która w kosmosie wydawała się dziecinnie łatwa, teraz, w pobliżu celu, nabrała nowego wymiaru. Określały ją zastane na Hat warunki. At liczył się z tym. Jednakże rzeczywistość tak znacznie odbiegała od wyobrażeń, że teraz, gdy powinni przystąpić do wykonania zadania, czuł się dziwnie skrępowany i jakby onieśmielony. Już samo to, że zwiększone ciężenie utrudniało swobodę ruchów, wywoływało w nim swoisty rodzaj buntu. Wyobrażał sobie własne, nieporadne ruchy, ten zniewalający brak siły, w chwili gdy będzie

mu ona potrzebna. Czy wobec tego jego plan ma szansę powodzenia? Czy nie jest czystym szaleństwem? Aż wzdrygnął się, gdy Alba uniosła nagle głowę i krzyknęła:

— Patrzcie tam! Co za stwory!

Spoza szczytów spłynęły w dolinę dwa szaropióre ptaki. Były tak wielkie, że Alba instynktownie schowała się za plecy Rita.

— One nas pożrą! — wykrzyknęła. — Coraz bardziej obniżają lot.

Rzeczywiście. Wielkie ptaszyska zataczały koliste kręgi, wydając złowrogie okrzyki. Kiedy obniżyły się na tyle, że można było dostrzec ich duże zakrzywione dzioby, Rit wyciągnął romi. Ale At powstrzymał przyjaciela.

— Zostaw to! Może te ptaki są przyjaciółmi istot z Hat? Gdyby były krwiożercze, już by nas zaatakowały. — Zachowanie ptaków zdawało potwierdzać pogląd Ata. W pewnej chwili ptaki usiadły na znajdującym się obok rumowisku skalnym. Obserwowały zachowanie się intruzów z kosmosu. Nie bały się ani też nie przejawiały agresywnych zamiarów. Dopiero gdy At podszedł do nich zupełnie blisko, nastroszyły się rozwijając skrzydła jak do lotu. At wolał ich nie drażnić. Rozstali się więc w zgodzie.

Zaraz też cała trójka powróciła do rakiety. Alba trzymała w dłoni jakieś drobne kwiatuszki o fioletowym zabarwieniu. Kiedy ponownie znaleźli się na pokładzie Pirny i ściągnęły z głów ochronne hełmy, Alba podsunęła im kwiatki do powąchania. Miały ostry zapach.

— Ich woń przypomina mi nasze oleje — zauważył At.

Rit wycierał zroszoną potem twarz.

— Wszystko to, co zdążyliśmy zobaczyć, przypomina naszą planetę, a jednak?... Niby skala ta sama, a inna. Podobnie roślinność, ptaki, ba, nawet krajobraz znacznie odbiega od tego, do czego przywykliśmy. Mimo rozwiniętych form życia jest tutaj coś przynębiającego, coś z czym my dotychczas się nie zetknęliśmy. I być może właśnie to działa na nas deprymująco. W każdym razie odniosłem wrażenie, jakbym znajdował się pod działaniem jakiejś ukrytej siły.

— Myślę, że nieco przesadziłeś. Moim zdaniem niepokój wynika ze zwiększonej grawitacji. To ona krępuje nam siły, przytłacza.

Alba podzielała pogląd Rita.

— On ma rację — rzekła patrząc Atowi w oczy. — Ja również odniosłam złe wrażenia.

At zdawał sobie sprawę, że pesymistyczne nastroje współtowarzyszy nie sprzyjają wykonaniu zadania. Toteż usiłował przekonać Albę i Rita, że pierwsze wrażenie jest zwykle mylące.

— Lądując na nieznanym planecie byliśmy przygotowani na nieprzewidziane, zaskakują-

ce trudności. Czy rzeczywiście są one aż tak straszne? Wręcz przeciwnie. Poza grawitacją, wszystko to, co napotkaliśmy, zdaje się potwierdzać tezę, że struktura materii planety Hat jest podobna do naszej planety. Nawet otaczająca Hat mieszanka gazów nieznacznie odbiega tylko w zawartości składnikowi Mi. Są to przesłanki, które powinny nas cieszyć, a nie... — urwał.

Spojrzał na Rita zagniewanym wzrokiem.

— Nie spodziewałem się, że z ciebie taki mięczak.

Odpoczywający w fotelu Rit zerwał się.

— Co, coś ty powiedział? — wykrztusił. — Znieважаć mnie, pilota pojazdów kosmicznych, jak śmiesz!

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się nieprzyjaznym wzrokiem. W ciszy, jaka zapadła, słyhać było ich przyśpieszone oddechy i szmer urządzeń sygnalizacyjnych.

— To nie jest tak — powiedziała Alba. — Nie zrozumiałeś nas, At. Rit przekazał ci swoje odczucia, które i ja podzielam. Nie oznacza to jednak, że przeciwni jesteśmy zamierzonej akcji. Czy nie jest tak, Rit?

Ten wzruszył obojętnie ramionami. Odwrócił się od Ata i usiadł na swym miejscu.

— Jeśli nadal będziesz wygłaszał nie przemyślane opinie, to będziesz musiał zrezygnować z funkcji dowódcy statku — stwierdził spokojnym, ale i stanowczym głosem.

— Mam rozumieć, że odmawiacie mi posłuszeństwa? — wykrzyknął At.

— W tej chwili jeszcze nie. Jeśli jednak nie zmienisz się... — Rit urwał.

Spojrzał porozumiewawczo na Albę. Potwierdziła.

— On ma rację, At. Musisz zrozumieć, że twoje arbitralne postępowanie jest nie do przyjęcia.

— Dobrze. Przyjmuję wasze uwagi. Chciałbym jednak — uniósł głos — przypomnieć wam, że nie czas na jałowe dyskusje. Musimy zastanowić się, co w tych nie sprzyjających warunkach zrobić, aby osiągnąć cel.

— Proponuję, abyśmy zaopatrzyli się w pasy antygrawitacyjne — powiedział Rit. — Tylko w ten sposób zmniejszymy siłę ciężenia.

At ożywił się.

— Dobra myśl. Zakładajmy więc pasy i do roboty. Czekają nas nie lada wysiłki.

— Może jednak wprawdzie coś zjemy — zaproponowała Alba.

Ponieważ skinęli aprobując głowami, zakrzętnęła się wokół posiłku. Włączyła agregat produkujący podstawowy pokarm linto. Był to surogat białka, węglowodanów i witamin o brudnym kolorze i zapachu przyrumienionej cebuli. Rozkładając go na półmiski, Alba przy-

prawiła linto strąkami fioletowego zu i polala zawiesistym sosem piki. Jedli płaskimi łyżeczkami, popijając sokiem z owoców hi. Posiłek wpłynął dodatnio na ich samopoczucie. Rit poprosił Albę o dokładkę, a At opowiedział zabawną dykteryjkę o omyłce komputera programującego proces technologiczny. W wyniku doboru nieodpowiedniego składnika wyprodukowany pasztet miał kolor czerwony i śmierdzał zdechłą rybą. Na dodatek kontroler nie zadał sobie trudu sprawdzenia i zapakowany pasztet znalazł się na bankiecie wydanym z okazji stulecia urodzin Wielkiego Nurra.

— To jeszcze nic — wtrącił się do rozmowy Rit. — Ja znam podobną historię. Jej puenta jest nie tyle śmieszna, co tragiczna. Otóż wyobraźcie sobie...

Daleki grzmot ponurym, zwielokrotnionym echem odbił się o skaliste zbocza gór. Rit przerwał w pół zdania. Drugi huk był znacznie bliższy, potężniejszy. Zaskoczeni tajemniczym zjawiskiem spoglądali na siebie bezradnym wzrokiem.

— Co to mogło być?

Pierwszy otrząsnął się At.

— Myślę, że są to wyładowania elektryczne — powiedział niepewnie.

Zaraz też podszedł do okna. Na zewnątrz było już niemal ciemno. Wierzchołki gór przysłaniała kosmata, o ołowianym połysku chmura. Jedynie jej górna, postrzępiona część była jakby prześwietlona złotym blaskiem. Teraz cała trójka zajęła miejsca przy oknach-wziernikach, skąd można było obserwować to, co działo się ponad nimi. Ciemności pogłębiały się. Nagle przecięła je jasna błyskawica. W ułamku sekundy zobaczyli obrys stromych szczytów i grube krople deszczu. At uśmiechnął się.

— Od razu wiedziałem, że to wyładowania.

— Ale jakie straszne — szepnęła Alba, instynktownie kuląc się na dudniący odgłos grzmotu.

Burza rozszalała się na dobre, a oni nadal stali przy oknach, wpatrzeni w strugi deszczu o niespotykanej na ich planecie gwałtowności. Mimo że zjawisko opadów deszczu było im dobrze znane, nie mogli nadziwić się jego rozmiarom. Największe wrażenie zrobiły na Albie grzmoty. Waliły z taką siłą, że drżały od nich ściany rakiety. Ale już po kilkunastu minutach burza osłabła. Grzmoty oddaliły się, a deszcz przestał padać. Zza chmur wyłoniło się granatowe niebo usiane dalekimi gwiazdami.

Podczas gdy At z Hitem zajęci byli montowaniem sondy G-137, Alba podeszła do kirko i skierowała lunetę na Zi. Satelita wielkiej planety zdawał się do niej uśmiechać. W srebrzystej poświacie dostrzegła górskie łańcuchy, olbrzymie kratery dawno wygasłych wulkanów, a nawet wieżę łączności kosmicznej. Rozpoznała ją po ledwo dostrzegalnych rozbłyskach

umieszczonej na szczycie wieży latarni. Zorientowała się też, gdzie mieszczą się budynki kosmodromu. Jednakże dalszych szczegółów dostrzec nie była w stanie. Baza Oki identyfikowała się z kamiennym otoczeniem martwej planety. Zanim skierowała teleskop na rodzimą planetę, pomyślała o Ducie, o swoich trzech współpracownikach, z którymi łączyła ją serdeczna przyjaźń. Co też oni sobie o niej pomyślą? Zapewne Kis westchnie i powie:

„Po niej można było się tego spodziewać. Zawsze miała zwariowane pomysły”. Tak powie Kis, a pozostali dwaj potwierdzą jego słowa kiwnięciem głowy. I to wszystko. Alba spoglądała w dalekie konstelacje gwiazd. Jedna z nich, z gwiazdozbioru trójkąta, ogrzewa planetę Nurra. Alba pokręciła statecznik zasięgu teleskopu.

Z pyłów, jakie tworzy ogrom odległości, trudno wyłuskać małą, słabo świecąca planetę. Jednakże Alba zawsze była uparta. Z napiętą uwagą penetrowała układ planetarny Nurra. Maleńki, ledwie zaznaczony niebieskawą poświatą krążek znalazł się w siatce wizjera. Alba usiłowała przybliżyć obraz planety. Niestety. Jej kontur rozpływał się, jakby utracił swój materialny wymiar. I nie pomógł potężny teleskop. Alba wiedziała, jaka odległość dzieliła ją od planety Nurra. Wiedziała, że gdyby wysłała drogą radiową depeszę do swej matki, to na potwierdzenie jej odbioru musiałyby czekać około sześciu lat. Czy więc ma to jakiś sens? — zastanawiała się Alba wpatrzona w maleńki krążek planety. Nie mogła jednak wyzbyć się dręczących myśli, że przed ucieczką z Oki nie przekazała matce wiadomości o swym zamiarze. Tam, dzięki zastosowaniu tak zwanego korytarza pół zwrotnego sprzężenia, wiązka fal radiowych osiągała niemal podwójną prędkość. No cóż, nie skorzystała z kosztownych urządzeń technicznych, jakie cywilizacja Nurra zainstalowała dla usprawnienia łączności kosmicznej ze swoją bazą. Teraz jest już za późno. Chociaż?... Być może, gdy wystartują z Hat w dalszą podróż i będą przelatywali w pobliżu układu planetarnego gwiazdy Nu, uda jej się nawiązać kontakt z Nurra. Może wtedy za pośrednictwem stacji w Rill będzie mogła porozmawiać z matką. Rozmyślenia Alby przerwało wejście Ata.

— G-137 zmontowana. Zabierz medykamenty i preparat. Za dziesięć minut ruszamy!

Zauważyła, że At jest poruszony.

— Wiesz? Obserwowałam naszą Nurra. Dopiero tutaj uświadomiłam sobie, jak bardzo daleko od niej jesteśmy.

At zachnął się.

— Też coś! W takiej chwili nie czas na sentymenty! Doprawdy, zaczynam tracić cierpliwość.

Alba westchnęła.

— Uważasz, że to źle, jeśli za kimś tęsknimy?

— Nic nie uważam. Jestem zdania, że nie pora na jałowe dyskusje.

Gdy zajęli miejsca w niewielkiej, owalnej kabinie sondy, At jeszcze raz sprawdził wyposażenie. Aparatów i urządzeń było tak wiele, że postanowili z Ritem dokonać selekcji. Świadomość trudności związanych z wykonaniem zadania wymagała od nich maksymalnej sprawności fizycznej. Z tych względów w skład ich osobistego bagażu, oprócz butli ze sprężonym Hi, wchodziły tylko te aparaty, które znajdowały praktyczne zastosowanie. Alba przytroczyła do ramienia niewielką torbę, w której obok środków opatrunkowych znalazła się paczka z peoti. Właśnie Rit zasiadł przy urządzeniach sterowniczych i włączył silnik sondy, gdy At powstrzymał go nakazującym gestem.

— Nim wystartujemy, powinniśmy znać kierunek i zasięg lotu — stwierdził z przyganą w głosie.

Wyciągnął z torby rolkę metalicznego papieru. Był to wcześniej przygotowany, nanie-siony z mapy topograficznej szkic. At przytwierdził go do pulpitu sterowniczego.

— Będiesz leciał według tych danych, nisko, tuż nad wierzchołkami gór, z wygaszo-nymi światłami.

Rit z uwagą wpatrywał się w metalicznie połyskujący prostokąt, na którym linie, kółka i trójkąty wyznaczały trasę lotu.

— Z tym wyliczaniem odległości to chyba lekka przesada — powiedział z nutą ironii. — Pewien jesteś, że do miejsca podskalnych pomieszczeń istot z Hat jest równo sto trzydzie-ści siedem kilometrów i czterysta metrów? — dodał z nie ukrywaną kpina.

At stropił się.

— To nie mój wymysł. Wyliczenia robiłem z mapy.

— Ach tak — udawał podziw Rit. — Jaki ty jednak jesteś przewidujący — ciągnął tym samym kpiącym głosem. — Wiesz nawet do czego służy mapa.

Alba spojrzała na Ata. W jego oczach połyskiwały ogniki gniewu. Dopiero teraz uświa-domiła sobie, że między Ritem a Atem już od pierwszych godzin podróży dała się zauważyć wzajemna niechęć. Te krążące między nimi docinki, zgryźliwe, ironiczne uwagi powtarzały się coraz częściej. Niepokoiło to Albę. Przewidywała, że ta nienormalna sytuacja i narastająca wrogość mogą zakończyć się konfliktem, którego konsekwencje były trudne do przewidzenia. Toteż Alba starała się godzić zwaśnionych, tłumić ich namiętności. Zastanawiała się, skąd to wszystko się brało. Nie potrafiła znaleźć sensownego wyjaśnienia. Nie podejrzewała, aby Rita zżerała urażona ambicja. A drażliwość Ata? Skąd w jego zachowaniu nie znosząca sprzeciwu władczość? Czyżby aż tak bardzo przejął się rolą dowódcy? Alba nie potrafiła odpowiedzieć sobie na te pytania.

Nagle białe światło wypełniło wnętrze kabiny. Było ono tak silne, że Alba zacisnęła powieki. Spodziewała się tego. Z doświadczenia wiedziała, że poruszany za pomocą zmiennych pól elektromagnetycznych pojazd przy starcie zawsze wydziela energię świetlną o dużym natężeniu. Tak było i teraz. Sonda drgnęła leciutko i kiedy Alba otworzyła oczy, unosiła się ponad wierzchołkami wzgórz. Światło przygasło na tyle, że można było prowadzić obserwacje.

Lecieli nad potężnym masywem górskim. Pokrętne doliny, których dna ginęły w nieprzeniknionym mroku, potęgowały niezwykłą surowość krajobrazu. Patrząc na szare, metalicznie połyskujące granie, At poczuł niepokój. Mimo że w sondzie czuł się bezpieczny, a w dolinie czekała na niego potężna rakieta wyprodukowana przez supercywilizację Nurra, to jednak wobec grozy rozpościerającego się pod nimi krajobrazu czuł się dziwnie nieswojo. Jego instynkt potwierdzał to, co nie tak dawno wyraził Rit i co spotkało się z jego strony z ostrą reprimendą. Wtedy musiał tak zareagować. Jako dowódca przeciwdziałał objawom strachu czy niepewności. Teraz przed samym sobą musiał przyznać, że Rit miał rację. Pierwsze wrażenie, jakie po wylądowaniu odniosła cała trójka, nie było więc najlepsze. Wielka, bo dwukrotnie przewyższająca planetę Nurra swą masą, Hat kryła w sobie jakąś pobudzającą wyobraźnię tajemnicę. Co to takiego może być? — myślał At, z uwagą wpatrując się w mroczny, choć oświetlony srebrzystą poświatą satelity horyzont. Niby wszystko jest takie, jak na Nurra, a jednak? Gdzieś nad nimi przeleciał ze znaczną prędkością dziwaczny w kształcie pojazd. Zawisł nieruchomo i wygasili światła. Obserwowali przelatujący statek, wsłuchani w ponure wycie jego silników. Dopiero gdy się oddalił, kontynuowali podróż. Teraz wiedzieli, że mają nad istotami z Hat przewagę. Jeśli mieli oceniać ich cywilizację na podstawie zaobserwowanych statków, to w rozwoju techniki, a zwłaszcza technologii napędu, przewyższali Hatów o kilkaset lat. Chociaż? Czy na podstawie trzech egzemplarzy można wyciągnąć tego typu uogólniające wnioski? — myślał At. A jeśli Hatowie wiedząc, że są obserwowani, dobrze ukryli swe najnowsze osiągnięcia techniczne? Czemu Wielka Rada Nurra tak bardzo przestrzegała, aby nawet taki tani pojazd, jak sonda G-137, nie dostał się w ręce Hatów? Czy nie wynika z tego, że szefowie Ata obawiają się ujawnienia tajemnicy konstrukcji statku, a przede wszystkim sposobów otrzymywania wielkich energii? At nachylił się nad siedzącym przy pulpicie Ritem.

— Wiesz — szepnął — podzielam twój pogląd. — Hat to groźna i tajemnicza planeta. Jednakże ze względu na Albę nie chciałbym, abyśmy okazywali strach.

Rit uśmiechnął się.

— Wreszcie przemówiłeś do mnie jak przyjaciel. To dobrze.

Spojrzeni sobie w oczy wiele mówiącym wzrokiem.

— Jeśli chcemy osiągnąć cel, odnaleźć naszych i zniszczyć pojazd, musimy działać rozważnie, ale i zdecydowanie. Gdy zajdzie potrzeba, musimy bronić swego życia nie przebierając w środkach — dodał Rit tym samym ściszym głosem.

At potwierdził skinieniem głowy.

— Masz rację.

— O czym wy tak szepczecie? — wtrąciła się do rozmowy Alba. — Pewnie znowu sprzeczacie się nie wiadomo o co. Jak wam nie wstyd?

Roześmiali się niemal jednocześnie.

- Tym razem nie trafiłaś. Właśnie zawarliśmy porozumienie — wyjaśnił At.

Klepnęli się po ramionach.

Alba zamierzała właśnie wyrazić swą radość, gdy głuchy odgłos detonacji targnął pojazdem. Sonda zakołysała się gwałtownie, ale nadal leciała płynnie, z jednostajną, niewielką prędkością. Przywarli twarzami do wizjerów peryskopowych lunet.

— Tam, ponad nami, w lewo! — krzyknął Rit.

Teraz At i Alba dostrzegli rudy obłoczek powoli zmieniający swój podłużny kształt.

— Co to mogło być? — zastanawiał się głośno At.

— To był pocisk — stwierdził Rit. — Wystrzelony z powierzchni planety pocisk — dodał autorytatywnie,

— Jeśli jest, jak mówisz, to oni nas wykryli.

Jakby na potwierdzenie tych słów ponowny wybuch wstrząsnął pojazdem.

— Ostrzeliwują nas! — wykrzyknął Rit.

— Wycofajmy się w górne rejony atmosfery! — rozkazał At. — Przygaś światło, Rit!

Pilot przestawił układ pól grawitacyjnych. Sonda G-137 zatrzymała się na ułamek sekundy i nagle pomknęła pionowo z ogromną prędkością. Na wysokości trzydziestu kilometrów Rit zatrzymał pojazd. Poprzez iluminatory przedzierało się ostre światło gwiazdy Nu. W dole, gdzie wycinek powierzchni planety znajdował się w strefie cienia, płonęły ogromne, jasno oświetlone miasta. At naliczył ich siedem. Były od siebie w znacznej odległości i tak rozmieszczone, jakby tworzyły wierzchołki przylegających do siebie trójkątów. Tam, gdzie kończył się cień, wyłaniał się poszarpany, skalisty brzeg i błękitne morze. Ale Nurrów nie interesowała oświetlona strona planety. Cała trójka z uwagą penetrowała okolice lądowania, starając się wykryć miejsce, z którego nastąpił niespodziewany atak. W skupieniu spoglądali więc we wzniaki potężnych lunet. Mimo że dawały one duże zbliżenie, gęstniejące ciemności zacierły kontury skalnych bloków, głębszych rozpadlin czy nierówności. W metalicznej poświa-

cie Zi widzieli Pirnę, czarną czeluść kanionu, posępne, z rzadka pokryte kępami roślinności zbocza gór i ośnieżone czapy szczytów. Dopiero w miejscu, gdzie łańcuch górski przechodził w lekko pofałdowaną pustynię, dostrzegli coś, co bez wątpienia było tworem istot rozumnych. Była to rozległa, jakby kamienna budowla, której trzy prostokątne rozgałęzienia łączyła owalnego kształtu kopuła. Jej dach pokryty był prawdopodobnie substancją emitującą światło. Seledynowa poświata wyraźnie oznaczała kształt dziwnego obiektu. At jeszcze raz sprawdził topograficzną mapę kwadratu pięćdziesiąt pięć, czterdzieści osiem i ze zdumieniem stwierdził, że nie ma na niej tajemniczego budynku. Wszystko inne zgadzało się: góry, wielki kanion, płynąca jego dnem rzeka, pustynia i na jej skraju rozciągnięte miasto.

— Dziwna sprawa — mruknął At. — Zdjęcia, z których powstała mapa, zrobione były trzy miesiące temu. Czyżby... — urwał. Z uporem błędził po rozłożonej mapie. — Czyżby — powtórzył — Hatowie zdolni byli wybudować coś takiego w ciągu trzech miesięcy?

Rit podchwycił zdziwiony wzrok przyjaciela.

— Czemu nie? Jeśli dysponują statkami latającymi ze znaczną prędkością i pociskami samosterującymi...

— Rzeczywiście. Wszystko to świadczy o tym, że musimy być przygotowani na niespodzianki — przyznał At.

— Gdyby nasza sonda nie wytrzymała pola siły o natężeniu dwieście Rt, pocisk rozewałby pojazd i nas — stwierdził Rit.

— O tym samym pomyślałem — mruknął At. — Ale najbardziej niepokoi mnie to, że nie wiemy, skąd te pociski zostały wystrzelone.

— Prawdopodobnie wyrzutnie Hatów są gdzieś ukryte. Ale gdzie? Ja myślę, że mają je zainstalowane gdzieś poza obrębem badanego przez nas obszaru — wmieszała się do rozmowy Alba. — Nie rozumiem, dlaczego trzymacie się kurczowo tylko tego skrawka. Tymczasem wystarczy spojrzeć powyżej pasma wzgórz, aby...

— Ona ma rację! — wykrzyknął Rit. — Spójrz na ten zalesiony prostokąt jakies sto kilometrów powyżej miejsca lądowania Pirny!

At i Alba ponownie nachylili się nad peryskopem lunety.

— Rzeczywiście! — nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia At. — Widzę jakies dziwaczne konstrukcje, coś, co przypomina nasz kosmodrom.

Rit zwiększył ostrość widzenia. Mógł teraz dojrzeć poszczególne elementy konstrukcji. Ustawione w formie koła pomosty, jakies maszty, kuliste pojemniki nic mu nie mówiły.

— To nie jest kosmodrom — stwierdził. — Jakiś skład paliw, albo...

— Nie będziemy bawili się w zgadywanie — przerwał Ritowi At. — Posiadamy środki,

za pomocą których możemy zbadać wszystko, co znajduje się na powierzchni i pod powierzchnią Hat — ciągnął władcym głosem. — Jeżeli Hatowie będą próbowali nas zniszczyć, wówczas przekonają się, co znaczy cywilizacja Nurrów — dodał z pogroźką w głosie.

— Czy chcesz użyć przeciwko nim promieniowania Su?

— A dlaczego by nie? Jeśli jeszcze raz okażą wrogie wobec nas zamiary, wrócimy na Pirnę i przyjmujemy narzuconą nam walkę.

— Chcesz walczyć z istotami, których nawet nie widziałeś? — zdziwiła się Alba.

— Wystarczy, że znam ich ze zdjęć. Nasze fotografie spiroskopowe potrafią przeniknąć ich kamienne twarze...

Nie musisz nam tego tłumaczyć — uciął wywody przyjaciela Rit. — Fotografia określa fizyczne własności Hatów, ale nic potrafi zarejestrować ich mentalności. Zwłaszcza że, jak nam to powiedziałeś, ich twarze mają kamienne oblicza. — Uśmiechnął się. — Rozgadaliśmy się, At. Zamiast zbadać rzecz na miejscu, opowiadamy sobie, gubimy się w domysłach.

— Racja — przyznał At. — Tracimy cenny czas. Co więc robimy?

Alba i Rit patrzyli na niego pytającym wzrokiem. Zrozumiał, że jako dowódca powinien szybko decydować.

— Musimy zbadać oba obiekty — wskazał palcem świeżo naniesione na mapę trójkąty. — Jestem przekonany, że w jednym z nich ukryta jest nasza sonda G-137.

— Dobrze, zrobię namiar i ruszamy.

Rit manipulował chwilę przyrządami. Potem pojazd drgnął leciutko i z ogromną prędkością poszybował w dół. Upłynęło zaledwie kilka sekund, a Rit już zatrzymał sondę. Znajdowali się nad urwistym zakolem rzeki. W dole połyskiwała szeroko rozlana, leniwie płynąca woda. Dalej ginęła w mroku piaszczysta, lekko spiętrzająca się na horyzoncie pustynia. Po drugiej stronie rzeki, za skalnym rumowiskiem, wyłaniał się, jakby wyrastał z piaszczystego zbocza, kompleks budynków w kształcie gwiazdy. Zataczając koła raz i drugi oblecieli tajemniczą budowlę. Jej środek piął się w górę prostokątami rozległych tarasów. Tylko ostatni, wieńczący szczyt dziwacznej piramidy budynek miał kulistą formę i kopulasty dach. Kiedy nad nim przelatywali, Rit, obserwujący działanie przyrządów pomiarowych, wykrzyknął:

— Patrzcie!

At, a za nim Alba przypadli do pulpitu. Cała trójka ze zdumieniem wpatrywała się w kręcące się w zawrotnym tempie wskazówki. Dopiero gdy pojazd oddalił się, wskazania przyrządów zaczęły funkcjonować normalnie. Pierwszy ochłonął z wrażenia Rit.

— W kopulastym budynku znajdują się zapewne jakieś potężne generatory energii — powiedział stłumionym, drżącym z podniecenia głosem.

— Generatory albo jakieś inne źródło wywołujące anomalie magnetyczną.

— Coś podobnego! — wyraziła zdumienie Alba. — Krążymy sto metrów ponad obiektem, a mimo to...

— Irytuje mnie ta pustka — przerwał At. — Od chwili lądowania upłynęły już dwie godziny, a nie dostrzegliśmy ani jednego Hata. Czy to nie dziwne?

Pojazd zatoczył jeszcze jeden okrąg. Leciał miękko, niemal bezszelestnie, niczym wielki trzmiel. Kiedy ponownie zawisnęli nad emitującą zielonym światłem kopułą wieży, zjawisko nienormalnego zachowania się przyrządów powtórzyło się.

— Nie ma wątpliwości. Mamy do czynienia z niezwykle silnym polem magnetycznym — stwierdził At.

— No więc co? Lądujemy?

— Tak.

Rit zniżył lot sondy, włączył światła. Pojazd usiadł miękko na obszernym, wyłożonym jasnym kamieniem tarasie. Przed nimi wznosiła się potężna ściana z gładko ciosanych bloków skalnych. Zaopatrzeni w urządzenie passe, które wytwarzając pole gessowe zmniejszyło o połowę ciężenie, szli szybkim krokiem wzdłuż ściany budynku, z uwagą wypatrując wejścia. Nic jednak na nie nie wskazywało. Dopiero gdy doszli do frontonu budowli, gdzie wznosił się, podtrzymywany na potężnych kolumnach, stożkowaty portyk, dostrzegli niewielkie wgłębienie. Ciężkie, kute w białym metalu drzwi były szczelnie dopasowane do ram i zamknięte. Próby ich wyważenia spelzły na niczym. Musieli użyć wiązki promieni Su, aby rygiel wypadł z zamka. Wtedy też drzwi jakby pod działaniem jakiejś siły, otworzyły się z cichym zgrzytem. Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, którego środek wypełniały spiralne, w dół i w górę prowadzące schody. Pod ścianami tego jakby holu stały kamienne, kunsztownie wykonane rzeźby, które prawdopodobnie przedstawiały postacie mieszkańców Hat. W przyćmionym i nazbyt rozproszonym świetle, którego źródła nie potrafili ustalić, oglądali w szarym granicie wyrzeźbione istoty. Niby były do siebie podobne, a jednak różniły się budową ciała, a szczególnie rysami twarzy. Od prymitywnych, na poły zwierzęcych, do bardzo rozwiniętych, o dużych czaszkach i małych, jakby zdegenerowanych tułowiach. Trójka Nurrów z uwagą przyglądała się niezwykłym rzeźbom.

— Wygląda na to — zauważyła cicho Alba — że znajdujemy się w jakimś muzeum. Galeria wykutych w skale istot nasuwa mi wielorakie skojarzenia. Wydaje mi się, że twórcy rzeźb utrwaliли w skale biologiczny cykl własnej ewolucji. Nie sądzicie, że to świetny pomysł? — wykrzyknęła. — Te posągi są praktycznie niezniszczalne — ciągnęła podnieconym głosem — a przy tym tak pięknie wykonane, że same w sobie stanowią dzieła sztuki.

At ściągnął z ramienia kamerę fotograficzną.

— To jest naprawdę niezwykle — stwierdził.

Uniósł aparat. Wnętrze holu wypełniło różowe światło. Jednocześnie zaterkotała kamera.

— Gotowe.

Wiedziony ciekawością Rit wyprzedził przyjaciół. Gdzieś z góry usłyszeli jego podniecony okrzyk:

— Chodźcie tutaj!

Pośpieszyli na jego wezwanie. Stał w progu przedsionka, który prowadził do olbrzymiej sali. Wypełniona ona była różnymi aparatami, urządzeniami, a nawet maszynami, których przeznaczenia mogli się tylko domyślać. Pod sufitem wisiały potężne, mlecznego koloru kule, z których sączyło się szare, nie dające cienia światło. Niektóre z aparatów emanowały zielonym, fosforyzującym światłem. Zrobiło to na przybyszach duże wrażenie. At obserwując jeden z połyskujących światłem aparatów powiedział:

— Patrząc na to urządzenie mam wrażenie, jakby wyczuwało ono naszą obecność.

— Ja również mam takie wrażenie — podchwyciła Alba.

— Zdumiewa mnie fakt, że wszystko to włączone jest w czynną sieć energetyczną. Wynikałoby z tego, że gdzieś tutaj ukryte są potężne generatory. A jeśli tak...

Rit podszedł do urządzenia, które wyglądem przypominało tablicę rozdzielczą wielkiej energii. Ciekawość kazała mu przekręcić główny włącznik. Ledwie to uczynił, całe ogromne pomieszczenie wypełniło jaskrawe światło. Było ono tak białe i intensywne, że poraziło Nurrom wzrok. Stali z zaciśniętymi powiekami, sparaliżowani niebywałą lawiną światła. Starali się od niej uwolnić. Alba potknęła się o jakieś kable i tracąc równowagę, uderzyła głową o metalowy element maszyny. Uderzenie musiało być bolesne, bo krzyknęła przeraźliwie. Jej krzyk uświadomił Ritowi wywołane niebezpieczeństwo. Teraz wiedział już, że jeśli nie wyłączy jaskrawej i jakby gęstniejącej energii, która wdzierала się nie wiadomo skąd i coraz bardziej ograniczała ich ruchy, to może już nie wydostaną się z tej niesamowitej hali. Zaraz też gdzieś blisko niego dał się słyszeć rozpaczliwy okrzyk Ata:

— Alba, gdzie jesteś, co ci jest? Nie mogę ci pomóc, bo nic nie widzę, bo sam uwikłałem się... — urwał. — Rit, gdzie jesteś, Rit? Czy to ty wyzwoliłeś tę straszliwą, paraliżującą energię?

Rit coś bełkotał. W beładnych słowach usiłował usprawiedliwić swój postępek, a jednocześnie uspokoić przyjaciół, dodać im otuchy.

— To była zwykła ciekawość — mamrotał — Przekręciłem jeden z przełączników

wielkiej energii, a teraz nie mogę go odnaleźć — szepnął bezradnie.

Stał przed tą zimną i śliską w dotyku tablicą, najeżoną trzema rzędami różnego kształtu przycisków, i wodził po niej palcami. Oślepy szukał dotykiem przełącznika. Chciał wyłączyć tę straszliwą energię. Ale mimo rozpaczliwych wysiłków ciągle nie mógł odszukać właściwego przełącznika. Wtedy też, gdy jęki Alby powtórzyły się, powziął decyzję. Nie bacząc na konsekwencje, począł przekręcać wszystkie znajdujące się tam przełączniki. Robił to z desperacją, jaką stwarza poczucie ostatecznego zagrożenia. Zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób natrafi wreszcie na właściwy wyłącznik.

Nim to nastąpiło, rozległ się jeden, a potem drugi ogłuszający huk. Rit miał wrażenie, jakby potężne ściany budowli rozlatywały się, waliły się na niego. Jakiś potężny podmuch powalił go na posadzkę. Instynktownie chwycił się za podłużną, wystającą część stojącego obok urządzenia, ale płynące z niego wysokie napięcie wstrząsnęło nim tak, że aż krzyknął z bólu. Leżał rozciągnięty na podłodze, która zdawała się kołysać, i usiłował przeniknąć zapa-
dłe teraz ciemności. Przecinały je dziesiątki skaczących wysoko błyskawic. Wyglądało na to, że te złociste, złowrogo syczące struktury napięcia produkowane były przez wypełniające salę maszyny. One same jakby ożyły, jakby ogarnął je szal niszczenia. Wydawały głośnie okrzyki, przeciągłe wycia, jęki. Niektóre jakby śmiały się, inne płakały zachrypniętym z wysiłku głosem. Ponad tym wszystkim przewalał się nieustannie ponury grzmot. Jego złowrogi pomruk przenikał wszystko, wprawiał w chybotliwy ruch podłogę, na której leżał skulony, półprzytomny Rit. Niejasno zdawał sobie sprawę, że to już koniec. Co prawda udało mu się wyłączyć jaśniejącą energię, ale wyzwolił siły znacznie straszniejsze. Wraz z myślą o śmierci odczuwał coś w rodzaju zawodu. Był to żal, że oto zaledwie w kilkanaście godzin od chwili startu, na progu wielkiej kosmicznej podróży, w jakimś ponurym budynku na planecie Hat zakończy życie. Czy nie tkwiła w tym wszystkim ironia losu? Zaledwie wylądowali, nie mając jeszcze kontaktu z istotami rozumnymi, sami na siebie sprowadzili śmierć. Czy to nie głupie, a zarazem poniżające, że mieli zginąć przez maszyny będące wytworem istot o znacznie niższej cywilizacji?

Rit odczuł lodowaty powiew. Był on tak silny, że mimo ciepłego skafandra ciało Rita sztywniało. I jeszcze ta straszliwa, rozsadzająca czaszkę kakofonia dźwięków. Nie mógł od niej uciec. Zdał sobie sprawę również, że gdyby nawet nie czuł paralizującego ciała zimna, to i tak nie miałby w sobie na tyle sił, aby wymknąć się z kręgu szalejących maszyn. Wciśnięty w kąt, obserwował spod półprzymkniętych powiek, jak te niezwykle urządzenia prawdopodobnie pod wpływem tajemniczej energii rozrastają się, jak wydają dźwięki podobne do głosów istot rozumnych, jak obrzucają się ognistymi językami błyskawic. Coś takiego mógł zobaczyć

tylko na tej niezwyklej planecie. Ale wszystko to nie miało już znaczenia. Tracącego świadomość Rita dręczyła myśl, że to właśnie on był sprawcą śmierci dwojga swych najlepszych przyjaciół.

Kiedy otworzył oczy, dostrzegł twarze Hatów. Było ich dwóch. Mieli jasne, prostokątne twarze, głęboko osadzone oczy i małe spłaszczone nozdrza. Jeden z nich powiedział coś, a drugi uśmiechnął się. Wtedy Rit zauważył, że Hatowie mają białe, ostro zakończone zęby, podobne do kłów drapieżnych zwierząt. Skojarzenie to wywołało w nim mimowolny odruch strachu. Zakrył dłońmi oczy i jęknął. Usłyszał szybkie, gardłowym głosem wypowiedziane słowa i zaraz też poczuł, że jeden z pochylających się nad nim olbrzymów unosi jego głowę, a drugi wlewa mu w usta płyn. Miał gorzki, cierpki smak. Rit, chcąc nie chcąc, przełknął płyn. Nie miał innego wyboru. Leżał na czymś, co przypominało stół operacyjny. Pomieszczenie było niewielkie, ale wysokie, o jasnych ścianach, z których jakby sączyło się słabe światło. W narożniku stały dwa aparaty o nie znanym Ritowi przeznaczeniu. Po lewej stronie dostrzegł jeszcze trzy podobne stoły, a na jednym z nich rozciągniętego Ata. Chciał nawet coś do niego powiedzieć, ale właśnie wtedy ten drugi wlał mu w usta płyn. Przełknął go i — co dziwniejsze — już po chwili poczuł się znacznie lepiej. Prawdopodobnie Hatowie podali mu jakiś wzmacniający lek, po którym nie czuje się lęku. Wtedy też uświadomił sobie, że w pomieszczeniu nie ma Alby. Czyżby stało się jej coś złego? Na myśl o tym poczuł przyływ energii. Postanowił wstać, poszukać Albę. Uniósł się na rękach i usiadł. Dopiero teraz zobaczył, że nogi ma przytwierdzone do stołu pasami, że nie może nimi poruszyć. Był więc uwięziony. Jednakże teraz nie bał się już Hatów. Ściągnął brwi i powiedział zagniewanym głosem:

— Myślicie pewnie, że jeśli znaleźliście nas nieprzytomnych, to już możecie robić z nami, co wam się podoba?

Patrzył im w oczy zuchwale i wyzywająco, jakby spojrzeniem chciał podkreślić swą dla nich pogardę. Hatowie musieli odczuć niezadowolenie Rita. Porozumieli się wzrokiem. Ten wyższy, o długich, do ramion sięgających włosach, przysiadł na stojącym obok taborecie. Przyglądał się Ritowi, jakby rozważał możliwość porozumienia się z nim. Wreszcie uniósł dłoń.

— Palo — powiedział i uśmiechnął się.

Rit skinął ze zrozumieniem głową. Teraz on uniósł swą małą, wąską dłoń i powiedział:

— Tuz. — Zaraz też zacisnął dłoń w pięść. — Tuzek — dodał i uderzył się w pierś. —

Rit.

Raz jeszcze wskazując na siebie powtórzył swoje imię. Siedzący ze zrozumieniem poki-

wał głową.

Z kolei on uderzył się w piersi.

— Miritus — powiedział.

Wskazując na drugiego, dodał:

— Unitus.

Teraz Rit wskazując kolejno palcem, powtórzył:

— Miritus to ty, a Unitus to on.

Wypowiedziane przez Rita imiona w języku Hatów wywołały ich ożywioną wymianę zdań. Nie zważając na to, Rit wskazał na swoje nogi.

— Uwolnijcie mnie! — rozkazał.

Jeden z Hatów bezzwłocznie wykonał polecenie. Ucieszyło to Rita. Pomyślał, że ci dwaj nie są tak krwiożerczy, jak mu się to w pierwszej chwili wydawało. Poruszył raz i drugi nogami i podtrzymywany przez Miritusa zsunął się na podłogę. Postanowił działać. Musiał porozumieć się z Atem, odnaleźć Albę. Intuicyjnie czuł, że wobec tych białych olbrzymów musi być stanowczy i konsekwentny. Coś mu mówiło, że tylko w ten sposób spełnią jego żądanie. Aby się o tym przekonać, zatrzymał się przy śpiącym Acie i wskazując na siebie i leżącego, uniósł dłoń z wyprostowanymi dwoma palcami. Potem uniósł jeszcze jeden i gestami usiłował dać Hatom do zrozumienia, że było ich troje. Chciałby wiedzieć, gdzie ukryli Albę. Uparcie powtarzał swoje imię, Ata i Alby. Gestykulował przy tym tak długo, aż Unitus złapał jego ramię i poprowadził wąskim korytarzem na półpiętro, gdzie nad metalowymi drzwiami paliła się niebieska lampka. Weszli do jasno oświetlonej sali, pośrodku której stał stół operacyjny, a na nim leżała przykryta przezroczystym kloszem Alba. Była naga i jakby pogrążona we śnie. Rit zauważył, że głowa Alby spięta była metalową obręczą, od której biegły cienkie przewody. Łączyły się one z zawieszoną nad stołem aparaturą. Rit rozejrzał się po sali i zdumiał się. Wypełniały ją najrozmaitsze urządzenia. Jedne przypominały komory ciśnień, inne obieg krwi z rytmicznie pulsującym sercem. Były i takie, które budową przypominały skomplikowane układy obwodów scalonych. Podobne obwody używane były na jego rodzimej planecie do budowy mózgow. Wyposażano w te sztuczne mózgi subkomputery mogące wykonywać tysiące najrozmaitszych czynności. Czy tutaj też służyły one do podobnych celów — zastanawiał się Rit, zaskoczony dużą ilością nagromadzonej aparatury. Ale w tej chwili to nie było ważne. Patrząc na Albę, zdawał sobie sprawę, że poddawana jest ona jakimś medyczno-biologicznym eksperymentom. Nigdy nie był przeciwny badaniom, zwłaszcza o charakterze medycznym. Dobrze wiedział, że bez eksperymentów nie byłoby nauki, a bez nauki cywilizacji. Jednakże to, na co patrzył, nie podobało mu się. Głowa i ciało Alby oblepione były najro-

zmaitszymi katodami. Połączone one były z całym kompleksem dziwacznych aparatów, które pracując wydawały ciche, syczące dźwięki.

— Co to ma znaczyć! — krzyknął Rit. — Czy nie za wiele tego?

Patrzył bezradnie w oczy białego olbrzyma.

— Co wy chcecie przez to osiągnąć? — dodał z wyrzutem w głosie.

Ale Unitus wzruszył tylko ramionami. Zachowanie Hata wzburzyło Rita. Nie panując nad sobą podbiegł do zwoju kolorowych drucików i wrywał je z ceramicznych otworków tablicy rozdzielczej.

— Nie pozwolę, abyście traktowali nas jak zwierzęta!

Ledwie to wykrzyknął, gdy dwie pary rąk uniosły go w górę. Szarpnął ramionami raz i drugi, starając się od nich uwolnić, ale tamci trzymali go mocno. Nie wiedział nawet, kiedy Hatowie go dopadli. Zauważył jeszcze, jak Unitus wyciągał z oszklonej szafki buteleczkę i jak otwartą już podsunął mu pod nos. Poczul ostry, drażniący zapach gazu, skrzył więc w bok głowę. Nie na wiele mu to pomogło. Dusząca woń pełzła za nim, wypełniała nozdrza, uporczywie świdrowała mózg. Poczul się bezsilny. Powoli zapadał w głębokie, zewsząd oblepiające go ciemności.

Tymczasem At ciągle leżał nieruchomo na stole. Ocknął się z omdlenia, gdy tamci zajęci byli Ritem. Nie dał poznać po sobie, że wróciła mu świadomość. Leżał więc z zamkniętymi oczyma udając nieprzytomnego. Słyszał uniesiony, gniewny głos Rita. Ze słów przyjaciela zorientował się, że są uwięzieni i ten właśnie fakt nakazywał zachowanie maksymalnej ostrożności. Spod półprzymkniętych powiek obserwował ruchy i zachowanie Hatów. Miał okazję, bo te rosłe, dobrze zbudowane istoty o jasnej skórze i takimż owłosieniu nie zwracały na niego uwagi. Zajmowały się Ritem. Zauważył, że mimo masywnej budowy ciała Hatowie poruszali się szybko i sprawnie. Utwierdziło go to w przekonaniu, że walka z nimi nie będzie łatwa. Biorąc to pod uwagę, At postanowił, że pierwszą nadarzącą się okazję wykorzysta na ucieczkę. No tak — rozmyślał — gdyby chodziło tylko o niego, to na pewno jakoś poradziłby sobie. Ale co będzie z Albą i Ritem? Przecież nie zostawi ich na łasce tych dziwnych istot. At miał okazję poznać już ich potężną, a zarazem tajemniczą cywilizację. To co przeżył w sali automatów, ciągle nie znajdowało rozumowego wyjaśnienia. Wymykało się jego wiedzy i nabytemu doświadczeniu. A może ten kataklizm, jaki przeżyli, który doprowadził całą trójkę do utraty świadomości, był złudzeniem? Może te niesamowite dźwięki, walące się ściany, śmiechy to wielka, z góry zaprogramowana mistyfikacja? A jeśli tak — myślał At — to jaki cel miałoby Hatowie w urządzaniu tego typu widowiska? Jeśli wywołany przez Rita kataklizm był prawdziwy, to z całej potężnej budowli powinna pozostać kupa gruzów. Tymczasem tak

nie było. Nadal znajdowali się w tym samym, na skraju pustyni usytuowanym budynku. I jeszcze jedna, nie mniej istotna sprawa. Gdyby kataklizm wywołany trzęsieniem skorupy planety był zjawiskiem rzeczywistym, to jest rzeczą nieprawdopodobną, by nikt z całej trójki nie doznał obrażeń. Chociaż... Jeśli w stosunku do Rita był tego pewien, słyszał bowiem jego donośny głos, to nie miał tej pewności co do Alby. Kiedy więc Rit zaczął się o nią dopytywać, zamienił się w słuch. Nic jednak przez to nie osiągnął. Hatowie porozumiewali się z Ritem za pomocą gestów, a on nie mógł otworzyć oczu, w obawie, by się przed nimi nie zdradzić. Dopiero gdy Rit w towarzystwie jednego z Hatów opuścił pokój, wywnioskował, że być może udali się do pomieszczenia, w którym przebywała Alba.

Zaraz też drugi Hat zbliżył się do niego. Słyszał szelest jego kroków i głośny oddech. Musiał zrobić wysiłek, aby udawać bezwład ciała. Był ku temu czas najwyższy. Olbrzym pochylił się nad nim, złapał jego rękę i unióś ją do góry. Chwilę ścisnął przegub, tuż przy dłoni, jakby badał puls, a potem wypuścił. Opadła bezwładnie. Musiało to utwierdzić Hata w przekonaniu, że At ciągle jest nieprzytomny, bo coś do siebie powiedział i zabrał się do ściągania skafandra z ramienia Ata. Zaraz też At poczuł silne ukłucie. Było tak nieoczekiwane, że nie mógł zdusić w sobie jęku. Wywołał on zdziwienie Hata i jego natychmiastową reakcję. At poczuł, jak palce olbrzyma naciskają mu oczy i jak przesuwają się po twarzy, aż do gardła. Wtedy ogarnął go strach. Zdawał sobie sprawę, że jest bezbronny, zdany na łaskę znacznie silniejszej istoty. Nie znał jej, nie mógł więc przewidzieć jej reakcji. Z tego powodu, kiedy wielka dłoń Miritusa objęła jego szyję, stężał cały, jakby szykował się do skoku. Ale w tejże chwili gdzieś nie opodal rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Miritus puścił szyję Ata. Podeszedł do stojącego obok drzwi aparatu i zaczął szybko mówić do czegoś, co przypominało zminiaturyzowany mikrofon. At unióś się na łokciach. Pomyślał, że oto nadszedł odpowiedni moment. Zajęty przy aparacie Miritus odwrócony był do niego plecami. Okoliczność tę należało wykorzystać, zwłaszcza że ku swojej radości At dostrzegł leżącą obok swą czarną torbę. Wystarczyło zeskoczyć ze stołu i wydobyć z niej romi. Jeśli będzie miał w ręku aparat, którego działanie było jak dotąd niezawodne, wówczas będzie panem sytuacji. Unieszkodliwi Hatów i bez trudności opanuje ten olbrzymi, pełen tajemnic obiekt. Tylko czy jest to odpowiednia chwila? Słyszał głos rozmawiającego przez radiotelefon Miritusa, ale ciągle nie był zdecydowany. Dopiero gdy olbrzym wykrzyknął coś i wyłączając mikrofon opuścił pomieszczenie, postanowił działać. Nie było to łatwe. Tułów i nogi miał przytwierdzone do stołu sprężystymi pasami. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby wydostać się z więzów. Kiedy to nastąpiło, nie mógł powstrzymać się od okrzyku radości:

— Nareszcie wolny!

Zeskakując z leżanki poczuł przyływ sił. Sam się zdziwił, skąd u niego tyle siły. Pomyślał, że może przyływ energii jest wynikiem wstrzykniętego mu przez Miritusa płynu i za to był mu wdzięczny. Teraz musiał odszukać przyjaciół, którym prawdopodobnie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Drżąc z podniecenia ściągnął klamrami rozpięty na ramieniu skafander. Potem wyciągnął z torby romi i ruszył do drzwi. Chwilę szukał przycisku. Kiedy wreszcie go znalazł i wybiegł na korytarz, był czas najwyższy na ucieczkę. Z pobliskiej klatki schodowej doleciał go odgłos kroków. Były ciężkie, dudniące. Rozejrzał się szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć. Ale w pobliżu była tylko gładka ściana długiego, ginącego w półmroku korytarza. Nie miał wyboru. Zaczajony za narożnikiem muru, czekał na pojawienie się Hata z wyciągniętym w dłoni romi. Nie pragnął, śmierci istoty z planety Hat. Dotychczas trudno był wywnioskować, jakie zamiary żywili Hatowie wobec przybyszów z kosmosu. Jednakże już sam fakt ukrycia Alby budził w Acie nieufność. Podejrzewał, że samotnie sterująca budowla o emanującej światłem kopule była czymś w rodzaju wabika. Widoczna z dużych odległości przyciągała wzrok Nurrów. Musiała dostrzec ją załoga sondy G-137. Zaintrygowani niezwykłością zjawiska rodacy zapewne postanowili je zbadać. Czy wylądowali z własnej woli, czy też zmuszeni zostali do tego przez Hatów, tego At nie wiedział. Być może Hatowie ostrzelali pojazd G-137 pociskami, z których jeden przebił się przez pole siły i uszkodził bądź zasilanie, bądź układ sterowniczy. Tak czy inaczej, mieszkańcy Hat świadomi byli faktu, że ich planeta obserwowana jest przez przybyszów z kosmosu. Zapewne z tych względów postanowili zrobić wszystko, aby przechwycić pojazd, którego technika wykonania, a w szczególności technologia napędu, znacznie wyprzedzała ich poziom wiedzy. Jeśli więc wszystko to było przez nich starannie przygotowane — nie ma wątpliwości co do ich intencji. Będą tak długo tolerować Nurrów, jak długo nie wydobędą od nich potrzebnych informacji. Czy w tej sytuacji może liczyć na ich pobłażliwość lub wspaniałomyślność? Przyczajony za murem At czekał na pojawienie się Hata. Słyszał jego kroki i wiedział już, że olbrzyma pokonać mogą jedynie promienie wielkich energii.

Kiedy więc zza narożnika wyłoniła się jego postać, nacisnął romi. Snop maleńkich pomarańczowych iskerek przeciął kilkumetrową odległość. W ułamku sekundy osiągnął tył czaszki Miritusa. At dostrzegł w jego oczach zdumienie, które stopniowo zamieniało się w przerażenie. Hat chciał coś powiedzieć, ale popromienny paraliż działał szybko i skutecznie. W ostatnim geście rozpaczy Miritus wyrzucił w górę ramiona, zachwiał się i runął na kolana. At stanął nad leżącym.

Nie chciał Miritusa pozbawić życia. Dlatego poraził go minimalną ilością energii. Gdyby jego palec dłużej o ułamek sekundy zatrzymał się na spuście romi, to przewyższający go o

głowę Hat byłby już martwy. Podeszedł do leżącego i stwierdził, że jest nieprzytomny. Dopiero wtedy poczuł głęboką ulgę. Był wolny. Ale jego wolność była ciągle ograniczona labiryntem wielkiej i ponurej budowli. Gdyby jeszcze był sam. Tymczasem na jego pomoc zapewne czekają Alba i Rit. Musi odszukać i uwolnić przyjaciół. Bez nich jego dalsze działanie traci sens. Z tym postanowieniem ujął pod ramiona leżącego bezwładnie Miritusa i wyęzając siły wciągnął go do pomieszczenia, które przed chwilą opuścił. Układając na stole ciężkie ciało Hata, At był u kresu fizycznych możliwości. Z wysiłku czuł zamęt w głowie, a przed oczyma krążyły mu ciemne plamy. Dysząc przysiadł na stołku. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się inteligentnej istocie z planety Hat. Przy zachowanych proporcjach budowy ciała istota ta różniła się znacznie od Nurrów. Szczególnie głowa w porównaniu z resztą ciała wydawała się Atowi mała i jakby nazbyt prostokątna. Zarówno ręce, jak i nogi leżącego były długie i smukłe. Ale nie to w wyglądzie Hata było najważniejsze. Kiedy z uwagą przypatrywał się twarzy Miritusa, zafrapowała go jego skóra. Była jasna i jakby półprzezroczysta. Tak przezroczysta, że można było dostrzec nie tylko niebieskie żyłki, ale także inne wewnętrzne narządy. Czyżby organizm tych istot potrzebował aż tak dużo światła? — przemknęła mu nieodparcie nasuwająca się myśl.

Rozmyślania Ata przerwał ostry dźwięk dzwonka. Drgnął i odruchowo zerwał się z siedzenia. Wiedział już, że dzwonek jest sygnałem wzywającym Miritusa na rozmowę. Zdawał sobie sprawę z tego, że brak połączenia nasunie jego towarzyszowi przypuszczenie, że coś musiało się wydarzyć. W każdej chwili mógł się spodziewać pojawienia się jednego albo kilku Hatów. Raz jeszcze obrzucił wzrokiem twarz Miritusa. Zaciśnięte powieki i równy, głęboki oddech zdawały się świadczyć o tym, że Hat pogrążony jest w głębokim śnie. At wiedział, że takie objawy po działaniu promieni Su nie są groźne dla organizmu. Za dwie, trzy godziny paraliż minie, a wtedy ich ofierze wróci przytomność i siła. Ponieważ dzwonek ciągle jeszcze drażnił słuch Ata, postanowił go wyłączyć. Podeszedł do aparatu i włączył jeden z dwóch przycisków. Usłyszał czyjś podniecony głos. Nie rozumiał gardłowych, szybko wypowiedzianych i jakby przy końcówkach urywanych słów. Brzmiały tak dziwnie, że nie mógł powstrzymać śmiechu. Roześmiał się i zaraz pojął, że źle zrobił. Tamten urwał. Widocznie śmiech Ata musiał go zaskoczyć, bo chwilę milczał. Wreszcie krzyknął coś ostrym głosem. At instynktownie nacisnął guzik wyłącznika. Teraz nie miał już wątpliwości, że powinien uciekać. Stał bezradny pod drzwiami wysokiego pomieszczenia bez okien. Zastanawiał się, w jakim kierunku powinien się udać, gdzie szukać przyjaciół. Jakies bliżej nieokreślone domysły i skojarzenia utwierdzały Ata w przekonaniu, że Alba i Rit są gdzieś w pobliżu. Nie wykluczał możliwości, że znajdują się za jedną z tych kamiennych ścian. Były gładkie,

zbudowane z bloków szarego piaskowca. Kto i kiedy je budował? — zastanawiał się At idąc wąskim, słabo oświetlonym korytarzem, którego koniec ginął gdzieś w mroku.

Od chwili wylądowania Pirny minęło zaledwie kilka godzin, a on ku swemu zaskoczeniu niemal co krok stykał się ze zjawiskami, których istoty nie potrafił wyjaśnić. Coś podobnego! On, członek społeczności szczącą się wysoko rozwiniętą cywilizacją techniczną, nie potrafił określić, skąd brało się w zamkniętym kamiennymi ścianami budynku to szare, jakby przenikające przez skalne bloki ścian, światło. Czyżby w piaskowcu, z którego zbudowany był obiekt, znajdowała się jakaś nie znana mu substancja promieniotwórcza? A czym w istocie było prawdopodobnie sztucznie wywołane trzęsienie, które o mało nie pozbawiło ich życia? Jeśli było zaprogramowanym widowiskiem dźwiękowym, to jak wytłumaczyć aż nadto odczuwalne kołysanie się podłogi? To ono rzuciło go w kąt ogromnej sali. Słyszał rozpaczliwe krzyki Alby i wołanie Rita. Chciał biec. Chciał pomóc Albie, ale jakaś siła wciskała go w płyty podłogi. Usiłował przezwyciężyć tę siłę. Zrywał się, czołgał na kolanach, ale wszędzie jego wyciągnięte dłonie natrafiały na korpusy maszyn. Wionął od nich przeraźliwy chłód. Pod wpływem nasilającego się strumienia zimnego gazu czuł, jak ciało mu drętwieje, jak staje się bezwładny. Wtedy pomyślał, że to już koniec. Żał mu było umierać. Nie mógł pogodzić się z myślą, że wszystko stało się tak nagle, że już na początku wielkiej kosmicznej podróży musi rozstać się z życiem, nie osiągnąwszy zamierzonego celu. Nie mógł sobie wybaczyć, że tak łatwo dał się wciągnąć w zastawioną przez Hatów pułapkę. I to było wszystko. Stracił świadomość, a gdy ją odzyskał, leżał na czymś, co przypominało stół chirurgiczny. Otworzył oczy, ale zaraz je zamknął. Jedno spojrzenie uświadomiło mu, że zarówno on, jak i Rit znajdują się w rękach Hatów. Przysłuchując się próbie nawiązania kontaktu przyjaciela z Hatami, zorientował się, że odnoszą się oni do niego z pobłażliwą wyrozumiałością. Ata drażnił prędkie, gardłowy sposób mówienia Miritusa i Unitusa, przerywany piskliwym chichotem. Wydawało mu się, że Hatowie kpią sobie z Rita, że traktują przybyszy z kosmosu jako istoty zupełnie im nie zagrażające. Urażona duma sprawiła, że At postanowił przechrzcić tych zadufanych w swą władzę olbrzymów. Nadarzyła się okazja, gdy Miritus opuścił na chwilę salę, a on mógł zabrać romi. Wykorzystał tę groźną broń, ale nie chciał zabijać. Zresztą Hatowie nie dawali ku temu powodów. A może w stosunku do Nurrów mieli czyste intencje?

Pogrążony w myślach At szedł długim, mrocznym korytarzem. W prawej dłoni ścisnął niewielki, ale dość ciężki aparat o krótkiej, jakby uciętej lufie. Aparat ten użyty przeciwko skale, kruszył ją, a sztabę metalu zamieniał w parę. Czy jednak mając romi mógł At przeciwstawić się potędze Hatów? Gdyby chociaż wiedział, jaką techniką dysponują. Jednakże jak dotąd wszystko było ukryte przed wzrokiem Nurrów. Czyżby mieszkańcy planety Hat byli tak

bardzo przezorni i nieufni? Czyżby ich dotychczasowe działania były dobrze przemyślaną, wyrafinowaną grą? Na te i podobne pytania At nie znajdował odpowiedzi. Wszystko ginęło w mroku tajemnicy, która otaczała planetę Hat. Czy uda mu się ją rozwikłać? Czy uda mu się wymknąć spod kontroli Hatów i wystartować? A jeśli jasnoskórzy olbrzymi opanowali już Pirnę? Na samą o tym myśl poczuł dreszcz przerażenia.

— Tutaj wszystko jest możliwe — wyszeptał drżącymi wargami.

Teraz At żałował swej nierozważnej decyzji. W rakiemie powinien pozostać ktoś, kto w razie próby opanowania Pirny wystartowałby. Strażnikiem rakiety mogłaby z powodzeniem zostać Alba. Strzegłaby nie tylko pojazdu, ale i sama byłaby bezpieczna. Dopiero gdy w pełni uświadomił sobie, jak wielki popełnił błąd, ogarnęła go panika. Począł biec, wykrzykując ile sił w piersi imiona przyjaciół. Ale na jego krzyk odpowiedziało tylko zniekształcone, szyderczo chichoczące echo. Właśnie kiedy zrozpaczony bezskutecznie rozglądał się za jakimiś drzwiami lub schodami, rozwarła się ściana i w jaskrawo oświetlonym prostokącie zobaczył istotę odzianą w metalicznie połyskujący skafander. Była w czarnej masce i w metalowym hełmie. Miała przerażające oczy. W czarnej oprawie żarzyły się słabym, czerwonym blaskiem. Mimo woli At wzdrygnął się. Zanim w odruchu widocznego zagrożenia zdołał skierować na dziwną istotę ramię, poczuł na swym ramieniu miażdżący ucisk. Na nic zdały się rozpaczliwe próby uwolnienia. Istota o niesamowitych oczach chwyciła go za ramiona i uniosła w górę. Nim zorientował się, gdzie się znajduje, druga, identycznie ubrana i wyglądająca istota naciągnęła mu na głowę i twarz hełm i maskę.

Potem wypadki potoczyły się tak szybko, że At nie był w pełni świadom tego, co się z nim działo. Pamiętał, że umieszczono go w jakiejś podłużnej klatce, którą zepchnięto w cześć tunelu. Leciał w nim głową do dołu. Tunel był okrągły i z dołu szedł ku górze nieustanny ciepły podmuch. Wypełniające tunel gazy były sprężone w tak dziwny sposób, że lecący w dół z dużą prędkością At poczuł nagle, że szybkość klatki malała, tak jakby znalazła się ona w cieczy o znacznej gęstości. I być może dlatego pojazd z Atem w środku opadł na dno tunelu bez odczuwalnego wstrząsu. Zaraz też usłyszał zgrzyt automatycznych drzwiczek i znowu załało go jaskrawe światło. Porażony nim At odruchowo zacisnął powieki. Kiedy wreszcie przyzwyczał oczy do wylewającej się z góry jasności, oniemiał z wrażenia. Znajdował się w ogromnej sali, której okrągłe, łukowato wznoszące się sklepienie zdawało się łączyć z kopułą nieboskłonu. Być może było to tylko złudzenie. W najwyższe, graniczące z łękiem zdumienie wprawilo Ata inne zjawisko. Wokół niego wznosiły się strzeliste maszty, wzajemnie powiązane przewodami, obwieszane wielkimi kulami. Nie byłoby w tym wszystkim nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że wydzielające niezwykle światło srebrzyste kule co jakiś czas ginęły z

pola widzenia, tak jakby rozplywały się w powietrzu. At spostrzegł, że gdy jedna z kul zniknęła, maksimum intensywności świecenia nabierała druga. W ten sposób, gigantyczne kule, rozmieszczone podobnie do siatki strukturalnej kryształu, wprawiały to ogromne pomieszczenie w ruch obrotowy. Było to oczywiste złudzenie, wystarczyło spojrzeć w dół, na wyłożoną piaskowcem podłogę, by się o tym przekonać. Wszystko wokół wydawało się wprawdzie Atowi dziwne, ale technicznie i konstrukcyjnie zrozumiałe. Przekonany był, że znajduje się w laboratorium wielkich energii. Jedyne owe dematerializujące się kule nie znajdowały racjonalnego uzasadnienia. At, prowadzony przez dwóch osobników o identycznym wyglądzie, raz po raz spoglądał w górę starając się dostrzec coś, co pomogłoby mu zrozumieć zjawisko zanikania kul. Ale strażnicy mu przeszkadzali. Z konieczności musiał przenieść wzrok na najbliższe otoczenie.

Szli między rzędami różnorodnych aparatów, przy których kręciły się istoty o tych samych, niesamowicie połyskujących oczach. At dopiero teraz zauważył brak płynności w ich ruchach. Fakt ten wzbudził w nim podejrzenie, że zatrudnieni w laboratorium osobnicy to prawdopodobnie wspaniałe imitacje żywych biologicznie istot rozumnych. Wystarczyłoby pozbawić roboty zasilającej je energii, a przestaną być zuchwałe i groźne. Chcąc potwierdzić słuszność swej tezy, chwycił za dłoń jednego z prowadzących go strażników. Z niemałym zdziwieniem przekonał się, że dłoń była wiotka i ciepła jak żywe ciało. Zaraz też strażnik nachylił się nad nim, a jego ciemną czerwienią połyskujące oczy spotkały się ze wzrokiem Ata. Spojrzenie strażnika było tak niesamowite, że At poczuł się nieswojo. Pierwsze wrażenie było mylne. Zaraz bowiem At dostrzegł w oczach strażnika wesołe, jakby przyjacielskie ogniki. Tak go to poruszyło, że nie mógł się powstrzymać, aby nie zapytać:

— Powiedz mi, przyjacielu, jak się nazywasz i kim ty jesteś?

Zapytany spojrział na swego towarzysza i powiedział coś, co zabrzmiało jak dźwięczący pomruk. Dziwna mowa — przemknęło przez myśl Atowi — zupełnie niepodobna do tej, jaką posługują się przejrzystoskórzy Hatowie. — Skonstruowane przez Nurrów superkomputery również odpowiadały na pytania. Cóż więc w tym dziwnego, że i te z planety Hat porozumiewają się za pomocą zaprogramowanych słów? Strażnicy przystanęli i gestykulując wskazywali w górę, śmieli się przy tym i wydawali z siebie głośne dźwięki. At nadal nie wiedział, czy ma przed sobą żywe istoty rozumne, czy też wspaniałe wykonane i świetnie zaprogramowane roboty. Z ich gestów zorientował się, że chcą mu dać do zrozumienia, iż wiedzą, że przybył z kosmosu. Uśmiechnął się i potakując głową powiedział:

— Tak, przyleciałem do was z planety Nurra. To bardzo daleko — dodał wyjaśniająco.

Nagle stropił się. Uświadomił bowiem sobie, że oni i tak nic z tego nie rozumieją. Zaraz

też dał temu wyraz, pytając za pomocą gestów.

— A skąd wy o tym wiecie?

Wtedy strażnicy spojrzeli na siebie, potem na niego i bezradnie pokiwali głowami. At zrozumiał, że pytanie było zbyt trudne. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo oto gdzieś nad nimi zawyła syrena. Na jej dźwięk strażnicy znieruchomieli. Trwało to nie więcej niż kilkanaście sekund, podczas których At ze zdumieniem stwierdził, że obaj jego opiekunowie stoją wyprężeni, jakby zamarli. Już chciał ich chwilowy bezruch wykorzystać na ucieczkę, gdy ponownie rozległ się niski, buczący dźwięk sygnału. Strażnicy na nowo ożyli. Ujęli go za ręce i jakby czymś ponaglani ruszyli śpiesznym krokiem. Po chwili At zorientował się, że prowadzą go ku środkowej sali. Ledwie minęli ostatni szereg aparatów, a każdy przypominał mu maszynę pamięci, gdy oczom Ata ukazał się niezwykle widok.

Na kilkumetrowym podwyższeniu wykonanym z czarnego marmuru spoczywała ogromna szklana kula. Dolna jej część leżała w marmurowej nieszczęście, górna połączona była niezliczoną ilością przewodów z rozwieszoną wysoko w górze konstrukcją. Pozorna płatanina srebrzyście połyskujących przewodów zrobiła na Acie niezwykle wrażenie. Mimo młodego wieku At widział niemal wszystko to, co na jego planecie stworzyła cywilizacja Nurrów. Widział wielkie hale, gdzie montowano rakiety i sondy. Widział olbrzymie eketory, w których pod wielkim ciśnieniem następowała synteza ciężkich jąder niezbędnych do produkcji paliwa rakietowego irt. Znał wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia kosmodromy, ale to, na co w tej chwili patrzył, zbulwersowało go. Środek szklanej kuli wypełniało coś trudnego do określenia. Była to półprzezroczysta galaretowata substancja, przypominająca wyglądem mózg. Masa tego nieustannie drgającego tworzywa była tak wielka, że At poczuł nagle strach. Sam nie wiedział dlaczego, ale wyczuwał, że od tego nieokreślonego bliżej stworu, którego kształt zmieniał się ustawicznie, zależy może życie jego i przyjaciół. Intuicja nie zawiodła go. Od pierwszego wejrzenia tajemnicza, emanująca niebieskawą poświatą substancja zawładnęła jego wyobraźnią. Narzuciła mu swą niewyjaśnioną moc. Próbował skupić rozpierzchłe, jakby zagubione myśli. Chciał mieć własną wolę, własny osąd. Daremnie.

Stał na marmurowym podeście w odległości kilkunastu metrów od szklanej kuli, w otoczeniu strażników, i niejasno zdawał sobie sprawę, że teraz, kiedy może jeszcze samodzielnie myśleć, powinien zaatakować. Jeśli nie zrobi tego zaraz, jeśli nie zniszczy przezroczystej kuli z dziwnym stworem wewnątrz, to stwór zniszczy jego. Próbował wyciągnąć ukrytą pod skafandrem broń, ale było już za późno. Poczuł, że głowa, ramiona, całe ciało ciąży mu niepomiaralnie. Zdziwił się nawet, że ten zniewalający go ciężar pozwala mu stać o własnych siłach. Zamierzał podejść do wznoszących się przed nim kamiennych schodów i usiąść na

jednym z nich, odpocząć. Niestety, nie był już zdolny do żadnego wysiłku. Jakaś przemożna siła krępowała mu ruchy, pozbawiała mocy, mąciła myśli. Był półprzytomny. Wtedy zdał sobie sprawę, że zapada w sen. Miał otwarte oczy, a nic już nie widział. Usłyszał jeszcze brzęczyk sygnału i poczuł, jak strażnicy sadowią go na czymś, co po bokach miało metalowe pręty. Wydawało mu się, że do hełmu na jego głowie przyłączają jakieś przewody. Zmożony zapadł w sen. Dziwny był to sen. Widział w nim gigantyczną konstrukcję, zanikające kule i tę niesamowitą szklaną banię z pływającym w niej w gazowych oparach stworem. Ale w tym śnie wszystko nabrało zminiaturyzowanych wymiarów, tak jakby patrzył z dużych wysokości. Naraz usłyszał głęboki, schrypnięty nieco głos.

— Stoisz przed Wielkim Rozumem planety Hat - zabrzmiały w uszach Ata słowa wypowiedziane w jego języku. — Pokłoń się!

W głosie Wielkiego Rozumu była tak wielka siła nakazująca, że At, mimo że nigdy nikomu się nie kłaniał, wypełnił polecenie.

— Dobrze zrobiłeś, chłopcze — ciągnął głos z nutą zadowolenia. — Przyjmując nasze nad tobą zwierzchnictwo, staniesz się naszym sługą. My zaś zapewnimy ci naszą ochronę i wsparcie. Będziesz mógł żyć tak długo, jak długo twój mózg będzie nam służył ustawiczną pracą. Potem przejdziesz do krainy wielkiego cienia, a twoje nie obumarłe jeszcze komórki zasilą Wielki Rozum. Dostąpisz przez to niebywałego zaszczytu. Żadna istota rozumna bytująca tam, gdzieś w nieograniczonych przestworzach kosmosu, nie dostąpiła takiego wyróżnienia. Częstka ciebie trwać będzie wiecznie. Wybrane komórki twego mózgu zasilą egzystujący od ponad piętnastu wieków Wielki Rozum.

At próbował protestować.

— Nie chcę takiego zaszczytu! — krzyczał. — Nie chcę umierać tylko po to, aby komuś przeszczepiono mój mózg!

Atowi wydawało się tylko, że krzyczy donośnym głosem. W rzeczywistości był to zduszony, słaby szept. Jednakże Wielki Rozum słyszał i doskonale rozumiał protesty Ata. Zasmucił się i dał temu wyraz mówiąc:

— Twój pogląd na sprawy, o których mówiłem z niezwykłą jasnością i logiką, świadczy o niebywalej wprost ignorancji. Gdyby nie fakt, że przybyłeś z przyjaciółmi z odległego układu gwiazdy Nu, jeszcze dzisiaj kazałbym twój mózg odpowiednio spreparować. Nie zrobię tego, ponieważ jesteście mi potrzebni. Wiem, że to wy, istoty cywilizacji Nurra, znacie tajemnicę wywoływania energii praezitycznej. Jeśli więc przekażecie nam technologię jej produkcji, wówczas wasza świadomość umieszczona zostanie na honorowym miejscu Wielkiego Rozumu. Jeśli zaś nie spełnicie naszych żądań — w głosie Wielkiego Rozumu zabrzmiała

groźba — wówczas czeka was powolne, długotrwałe konanie.

O jakiej energii wspomniał ten straszny stwór? Energia praezityczna? At nie znał takiego pojęcia. Może Wielki Rozum miał na myśli paliwo irt? Tak czy inaczej — gorączkowo rozmyślał At — pewne jest, że dopóki potrzebni są temu makabrycznemu prawdopodobnie z miliardów komórek mózgowych spreparowanemu stworowi, nic im na tej dziwacznej planecie nie grozi. Zaraz też At doszedł do wniosku, że dla dobra sprawy musi przynajmniej wobec Wielkiego Rozumu udawać, że wie, o jaką energię chodzi i, co ważniejsze, zna technologię jej produkcji. Powinien więc grać na zwłokę. Musi tej szklanej kuli dać do zrozumienia, że istoty z Nurra posiadają tak rozwiniętą technikę, że jeśli jemu albo jego towarzyszom przydarzy się coś złego, wówczas Wielka Rada planety Nurra zastosuje prawo odwetu. Wyśle na Hat eskadrę wielkich pojazdów kosmicznych. Pojazdy te wyposażone są w tak wielką siłę niszczycielską, że wystarczy pięciogodzinna operacja, aby planeta Hat zamieniona została w jedną wielką pustynię. Zafascynowała Ata potęga Nurrów tak bardzo, że przerywając wywód Wielkiego Rozumu, zawołał:

— Nie boję się ciebie! Jesteś nędznym zlepkiem wegetującej sztucznie materii, którą zniszczyć można byle czym. A gdybyś ważył się wyrządzić nam, Nurrom, krzywdę, wówczas nasze pojazdy inwazyjne zniszczą nie tylko ciebie, ale wszystko, co znajduje się na powierzchni planety Hat.

Wielki Rozum zaśmiał się. Atowi wydawało się, że jego szyderczy chichot wypełnia całą salę, że drgają od niego mury, a wraz z nimi i on. Instynktownie złapał się za głowę, taki ten śmiech był bolesny.

— Zuchwała jesteś, istoto z Nurra. Grozisz mi inwazją? Widocznie sam już zapomniałeś, że jesteś zbiegiem, i że twoi rodacy poszukują cię. Myślisz, że nie wiem, co wydarzyło się na Oki? Od początku założenia bazy na Zi z uwagą śledzę wszystkie wasze poczynania. W tym celu pod moim kierownictwem skonstruowano specjalne urządzenie optyczno-indacyjne. Dzięki niemu, jak sam to możesz potwierdzić, nauczyłem się waszej mowy. Ale nie tylko mowy. Poznałem wasze zwyczaje, a nawet plany. Przechwyciłem jedną z waszych sond...

— Gdzie oni są? — wykrzyknął At nie ukrywając wzburzenia. — Co zrobiliście z załogą sondy?

— Za dużo chciałbyś wiedzieć — syknął Wielki Rozum. Unosząc głos, dodał: — Ponieważ jesteś hardy i zadufany w potęgę swej cywilizacji, ponieważ obraziłeś mnie rzucając na mnie obelgi, będziesz ukarany. Spędzisz kilka godzin w tunelu mroku i ciszy. Wiem, że dla was, istot przybyłych z kosmosu, nie jest to kara nadzwyczajna. Przywykliście do pustki i wielkiej ciszy przestrzeni międzygwiazdnych. Jeśli jednak po pierwszej próbie nie okażesz

skruchy, wówczas czekają cię dalsze, bardziej wyrafinowane.

At nie mógł powstrzymać się, aby nie krzyknąć:

— Jesteś potworem, zdegenerowanym karłem, któremu pozostał jeden, jedyny narząd — mózg! Ale ja, Nurra nazwiskiem At, zniszczę cię...

Chciał jeszcze powiedzieć, że od tej chwili on oraz jego przyjaciele podejmują z Wielkim Rozumem walkę, ale spostrzegł, że połączenie jest przerwane. Zobaczył, że wszystko nabrało znowu właściwych proporcji i wymiarów. Co to było? Zapadł w jakiś chwilowy sen, w coś, co było syntezą letargu i odrealnionej rzeczywistości.

Wrócił do rzeczywistości jakby z innego świata. Zauważył, że pilnujący go strażnicy stoją nieruchomo, jak bez czucia. Postanowił to wykorzystać. Cofnął się i zaczął biec co sił w nogach. Jednakże ledwo zagłębił się między nieustannie pracujące maszyny, pojawiło się kilku strażników zagrażających mu drogę. Był osaczony. Próbował jeszcze rzucić się w bok, skryć za ramieniem jakiejś maszyny, ale nie na wiele się to zdało. Pochwycili go. Pomyślał jeszcze, że mógłby użyć romi i nawet uczynił gest, aby wydobyć ukrytą broń. W ostatniej chwili zrezygnował. Nie miał żadnych szans. Przeciwników było zbyt wielu. A najważniejsze, że gdyby ujawnił romi, mógłby utracić aparat na zawsze.

Strażnicy wyprowadzili go z ogromnej sali, w której królował Wielki Rozum. Dopiero teraz At zorientował się, że w tych pozornie gładkich ścianach korytarzy ukryte były ruchome bloki-przejscia. Przez jeden taki odmykający się blok weszli do niewielkiego pomieszczenia, którego środek wypełniała stożkowata pokrywa. Na ścianach pomieszczenia wisiały skafandry i maski, jakie nosili strażnicy. Jeden z nich bezceremonialnie naciągnął Atowi na twarz maskę. At spostrzegł, że zamiast otworu na usta było metalowe pudełko przypominające pochłaniacz. Tymczasem drugi strażnik nałożył mu powyżej bioder szeroki pas. Wykonany on był z nie znanego Atowi materiału o elastycznych właściwościach. W środek pasa wmontowany był metalowy hak, do którego strażnicy przytwierdzili linkę. Bezszelestnie odskoczyła stożkowata pokrywa i At z przerażeniem stwierdził, że stoi nad opadającym pionowo w dół tunelem. Z jego mrocznego wnętrza wydobywał się kłębiasty, biały opar. Nim At zdążył zastanowić się nad sytuacją, już leciał w głąb tajemniczej studni. Pomyślał, że to już koniec, że za ułamek sekundy roztrzaska się o kamienne dno. W tej samej chwili poczuł silne szarpnięcie. Czyżby raz jeszcze miał wymknąć się śmierci? I to było wszystko. Oszołomiony silnym wstrząsem, stracił przytomność.

Jak długo trwał w nieświadomości, nie wiedział. Mogło to trwać kilkanaście minut, a mogło i kilka godzin. W tej chwili nie było to istotne. Ważne, że żył. Jednak mała iskierka nadziei zgasła wraz ze wzmagającym się bólem głowy. Wisiał na linie głową w dół. Czuł w

skroniach wzmożony łomot krwi i przenikliwy, rozchodzący się od karku ból. Pomyślał, że pewnie piekący ból przywrócił mu świadomość. Na jak długo? Jak długo można wisieć w wypełnionym smrodliwymi oparami tunelu, głową do dołu? — zastanawiał się. Czuł, że za chwilę znowu utraci świadomość. Nie miał czym oddychać, zerwał więc z ust metalowe pudełko. Zaraz jej jednak z powrotem założył. Zakrztusił się ciężkim, gryzącym gazem. Nie miał już wątpliwości. Metalowa nakładka była filtrem zatrzymującym niewątpliwie trujący opar. W pełni uświadomił sobie tragizm położenia. Był głodny, wycieńczony nadmiernym wysiłkiem i na dodatek zamknięty w czymś, co pozbawiało go jakiejkolwiek szansy ucieczki. W obolałej głowie tłukła się przepojona goryczą myśl, że aby poznać torturę umierania, musiał pokonać miliony kilometrów. Czy w fakcie tym nie tkwiła perfidna ironia losu? Jakież to wszystko było dziwne i niepojęte zarazem. Z jednej strony istoty o półprzezroczystej skórze, z drugiej inni, ukrywający własne oblicza pod czarnymi maskami — półroboty, półżywe istoty. I wreszcie ten straszliwy stwór dysponujący ogromną energią. Czyżby Wielki Rozum rządził tą wielką i piękną planetą? — zastanawiał się mimo nieznośnego bólu At. Despotyczny, o znamionach szaleńca mózg rozrastał się poprzez wieki dzięki nieustannym przeszczepom. Z tego, co mówił Wielki Rozum, można wnioskować, że z mózgów istot inteligentnych pobierano tylko te komórki, które odznaczały się szczególną witalnością, a zarazem były najbardziej intelektualnie rozwinięte. W ten sposób narastał z czasem gigantyczny supermózg. Co jest powodem, że komórki mózgu nie obumierają, tego At nie wiedział. Wiedział natomiast, że podobne przeszczepy robione były i na jego rodzimej planecie, ale bez powodzenia. Czyżby w dziedzinie badań medycznych cywilizacja Hat mogła poszczycić się jakimiś nadzwyczajnymi osiągnięciami?

Przypływ bólu zmusił Ata do działania. Prężąc ramiona wyrzucał je raz do przodu, to znów do tyłu, aż wprowadził ciało w ruch wahadłowy. Kiedy rozhuśtał się dostatecznie mocno, dźwignął ciało do przodu tak, że uchwycił dłońmi linkę, na której był zawieszony. Aż zawył z radości, gdy wreszcie mógł okręcić ciało linką i wrócić do normalnej pozycji. Ogłuszające pulsowanie krwi w skroniach i tępy ból karku powoli ustępowały. Wraz ze zmianą pozycji powróciła nadzieja. A może jednak zdarzy się coś nieoczekiwanego, co pozwoli mu na wydostanie się z tej straszliwej studni? Może Wielki Rozum... No tak, jeśli rzeczywiście galaretowaty stwór ma rozum, to nie powinien skazywać Ata na śmierć wcześniej, zanim nie uzyska od niego interesujących go informacji. W rozmowie z Atem sam to dwukrotnie podkreślał. Może za godzinę lub dwie Wielki Rozum rozmyśli się i wezwie go na rozmowę?

Oczywiście po tym wszystkim, co go spotkało, będzie musiał zmienić taktykę postępo-

wania. Wobec wszechwiedzącego stwora, który włada ogromną energią i ma w dyspozycji nieokreśloną bliżej liczbę ślepo posłusznych mu asystentów, należy być przebiegłym.

Kiedy tak zastanawiał się nad swym niepewnym losem, usłyszał słaby jęk. Wzdrygnął się nasłuchując. Czyżby miał halucynacje? Jakby na potwierdzenie, że tak nie jest, gdzieś z głębi ponowił się jęk. Był teraz wyraźniejszy i brzmiał jak żalosna skarga. At nie miał już wątpliwości. Gdzieś, trzy, może pięć metrów pod nim, wisiała jeszcze jedna ofiara. W tym strasznym, liczącym być może kilkadziesiąt metrów tunelu nie był sam. Wzdrygnął się. Oczywiście wyobraźni widział już niezliczoną ilość linek o różnych długościach, a na nich kołyszące się ciała tych, którzy w jakiś sposób narazili się Wielkiemu Rozumowi. Świadomość, że nie jest sam, dodała mu otuchy. Zastanawiał się, jak nawiązać kontakt, skoro ma zakneblowane ochroniaczem usta? Mógł co najwyżej wydawać pomruki, jak tamten. Nie namyślając się wydał długi, gardłowy okrzyk. Odpowiedziało mu słabe jak echo, dwukrotne zawołanie. Odpowiedział na nie w podobny sposób. Wymiana nieokreślonych dźwięków urwała się po chwili. Zarówno At, jak i ten drugi, zdawali sobie sprawę, że nie potrafią się porozumieć. Wtedy przypomniała mu się rozmowa z Wielkim Rozumem. Stwór biegle posługiwał się językiem Nurrów, co wzbudziło u Ata podziw. Już to świadczyło o niezwykłej inteligencji Wielkiego Rozumu. Gdyby więc ta niewątpliwa potęga umysłowa skierowana została ku pożytkowi istot planety Hat, to być może żyliby oni w znacznym dobrobycie.

Tymczasem... No cóż, At miał mimo wszystko zbyt mało danych, aby orzec, do czego zmierzał Wielki Rozum. Gdyby znał plany osobliwego władcy, być może udałoby mu się przeciwdziałać z lepszym skutkiem.

Czy wszystko to ma w tej chwili jakieś znaczenie? Jeszcze godzinę, może dłużej, będzie tak wisieć, aż nadejdzie chwila, gdy w nasiąkniętym trującymi oparami mózgu nastąpią trwałe zmiany, wówczas zapadnie w sen, z którego nawet Wielki Rozum nie będzie w stanie go obudzić.

Zdrętwiały i półprzytomny z wyczerpania, zrezygnowany czekał na śmierć, gdy wysoko w górze zamajaczyła jasna, okrągła plama. Był to sygnał, że coś zaczyna się dziać. Ale At był zbyt wyczerpany, aby mógł reagować. Jak przez mgłę widział pochylające się nad nim postacie. Pewien był, że znowu zawloką go do olbrzymiej sali i postawią przed przezroczystą kulą. W tej chwili było mu już wszystko jedno. Ożywił się dopiero, gdy na twarzy poczuł chłodny powiew wiatru. Otworzył oczy i zdumiał się. Nad sobą widział ciemne, gwiazdziste niebo, a obok wysoki mur, pod którym skradającym się krokiem szli dwaj rośli Hatowie. Dopiero gdy pierwsze oszołomienie minęło, pojął, że leży na noszach i że ci dwaj go niosą. Ogarnęła go radość. Nieoczekiwanie znalazł się poza murami straszliwej budowli. Czy oznaczało to, że

jest już wolny? Nie mógł powstrzymać się, aby nie zapytać:

— Słuchajcie, dobrzy Hatowie, czy jestem wolny?

Przystanęli. Ten w przodzie odwrócił się i syknął:

— Tsss.

Powiedział coś jeszcze, czego At nie rozumiał, a tylko z szeptu tamtego mógł się domyślać, że jego wybawcom zależy na ciszy.

Po stromym zboczcu zsunęli się na niski brzeg rzeki i wówczas At zrozumiał, że ci nie znani mu Hatowie o wysokich czołach i szarej jak ciemna stal skórze po prostu go wykradli. Jaki mieli w tym cel? — zastanawiał się At. Był jednak zbyt oszołomiony, aby myśleć, co będzie z nim dalej. Raz po raz zapadał w krótkie omdlenia. Były one wynikiem krańcowego wyczerpania fizycznego. At zdawał sobie sprawę, że nie jest zdolny do żadnego wysiłku. Chciało mu się jeść. Marzyły mu się chrupiące placki z konfiturą ponze. Tęsknił za szklanką narodowego napoju Nurrów — leos. Pragnął także spokojnego snu. Słyszał plusk wody, monotonny szum silnika i to wszystko.

Dopiero po godzinie jazdy, gdy pojazd zatrzymał się przy niewielkiej półce skalnej, zrozumiał, że znajduje się w głębokim kanionie, gdzieś w pobliżu miejsca lądowania Pirny. Wzbudziło to w nim niepokój. Czy nie był to jakiś podstęp ze strony Wielkiego Rozumu? — zastanawiał się. Instynktownie sięgnął po ukrytą za paskiem skafandra broń. Uspokoił się nieco, gdy wyczuł płaskie pudełko z romi. Jeśli Hatowie zamierzają opanować jego raketę, nie przyjdzie im to łatwo.

Tymczasem wyniesiono go na skalisty cypel, a stamtąd wąską, wijącą się wśród skalnych rozpadlin ścieżką do obszernej pieczary. W świetle reflektorów At zobaczył kilku krzątających się Hatów. Dopiero teraz zorientował się, że wraz z nim przetransportowano tutaj dwóch innych Hatów. Podobnie jak on leżeli na noszach. Stan ich zdrowia był ciężki. Ciągłe byli nieprzytomni. Majaczyli w gorączce, zrywali się próbując ucieczki. Ich widok utwierdził Ata w przekonaniu, że przybyli z zewnątrz Hatowie zorganizowali ucieczkę, której celem było wydobycie z tunelu ciszy dwóch rodaków. Dzięki przypadkowi uwolniono i Ata. O tym, że tak było, świadczyło ogromne zainteresowanie uwięzionymi. Przeniesiono ich w głąb jaskini, gdzie stał składany stół operacyjny. Stały tam też przenośne aparaty, do których podłączono nieprzytomnych nieszczęśników.

Na Ata, który mógł już poruszać się o własnych siłach, nikt nie zwracał uwagi. Jakiś czas wałęsał się po jaskini, badając budowę skał. Z niemałym zdziwieniem stwierdził, że w ich strukturze przeważają tlenki krzemu i żelaza, a więc skład pierwiastków w około osiemdziesięciu procentach pokrywał się ze składem skał jego rodzimej planety. Potem zaintrygo-

wały Ata zwisające ze stropu pieczary długie, niczym sople lodu, nacieki wapienne. W świetle reflektorów zdawały się płonąć różowym, ciepłym blaskiem. Coś takiego oglądał At po raz pierwszy. Mimo zmęczenia postanowił zbadać to niezwykle zjawisko. Usiłował wdrapać się po ścianie pod sklepienie. Ledwie jednak zdołał wciągnąć się na dwa metry, gdy stopa ześlizgnęła się i At zsunął się w dół, kalecząc boleśnie dłonie. Padając krzyknął głośno. Jego krzyk zwrócił uwagę zajętych przy operacyjnym stole Hatów. Dwóch z nich podeszło do leżącego. Pochyleni przypatrywali się Atowi z rosnącym zdumieniem. Widocznie dopiero teraz zdali sobie sprawę, że mają przed sobą osobnika znacznie odbiegającego wyglądem od istot zamieszkujących ich planetę. Opatrywali mu okaleczone dłonie, poili kwaskowym płynem. Sytuacja zmieniła się. Tylko jeden z Hatów pozostał przy wyczerpanych torturą współplemieńcach. Pozostali zwartym kołem otoczyli tajemniczego przybysza z kosmosu. Cieszyli się. Częstowali Ata zielonymi owocami, pieczywem i zadawali mu pytania, których nie rozumiał. Brali w swe dłonie ręce Ata, gładzili go po twarzy, zaglądali pod srebrzysty skafander, ciekawi jego ciała. Robili to delikatnie, śmiejąc się i kręcąc z niedowierzaniem głowami. At również się uśmiechał. Intuicyjnie wyczuwał, że istoty te są do niego usposobione życzliwie, że wreszcie spotkał przyjaciół.

Na podanym mu papierze wyrysował układ planetarny Nu i zaznaczył planetę Nurra, a wówczas zdumienie ciemnoszarych Hatów sięgnęło zenitu. Z zainteresowaniem oglądali rysunek i dyskutowali nad nim zawzięcie. Chcieli wiedzieć, jaką odległość przebył At, lecz on nie mógł im tego wytłumaczyć, bo jednostki miary Nurrów znacznie odbiegały od tych, jakimi posługiwali się Hatowie. Chcieli również wiedzieć, gdzie At pozostawił swój kosmiczny statek. Nie chcąc zdradzić miejsca lądowania, At długo i zawile coś szkicował. Celowo wymyślił fragment zalesionego płaskowyżu, gdzie rzekomo miała być polana, a na niej pojazd. Hatowie analizowali szkic, ale określić miejsca nie potrafili, kręcili tylko głowami, jakby z niedowierzaniem. Dłuższą chwilę naradzali się, gestykulowali przy tym zawzięcie. Dopiero gdy dwaj ranni Hatowie odzyskali przytomność, zaprzestali sporu. W pośpiechu załadowali znajdujący się w jaskini sprzęt i rannych do zakotwiczonej łodzi. Kiedy zaprosili do niej Ata, ten spokojnie, ale stanowczo odmówił. Gestami próbowali go przekonać, że przy nich jest bezpieczny, ale nie przyniosło to skutku. At wtulony w naturalne zagłębienie skalne uporczywie odmawiał. W skalnej rozpadlinie wyglądał jak małe, zaszczute zwierzątko. Hatowie nie ukrywając żalu czynili starania, aby poznać motywy zaskakującej decyzji Ata. Wreszcie jeden z nich zrozumiał uporczywe gesty Ata. Przekazał swoim współziomkom, że kosmita nie może z nimi jechać, ponieważ Wielki Rozum nadal więzi dwójkę jego towarzyszy.

Chcąc sprawdzić, czy jego przypuszczenia są słuszne, raz jeszcze powtórzył gesty Ata.

Kiedy ten skwapliwie je potwierdził, Hatowie znowu zaczęli gorączkowo się naradzać. Atowi wydawało się, że rozumieją jego sytuację i szczerze mu współczują. Jednakże nie byli na to wszystko przygotowani. Wreszcie postanowili, że jeden z nich pozostanie z Atem w roli opiekuna. Pozostali mieli powrócić po odwiezieniu w bezpieczne miejsce byłych więźniów Wielkiego Rozumu. Tak zrozumiał gesty swych nowych przyjaciół At. Z Atem pozostał wysoki, młody Hat o imieniu Kusz. Ledwie tamci odpłynęli, Kusz zabrał się do przyrządzania kolacji. Wkrótce też smakowita woń smażonych ryb wypełniła wnętrze pieczary. Spożywali posiłek pokazując sobie różne przedmioty i powtarzając ich nazwy. Ta swoista nauka języków prowadzona była w wesołym, przerywanym wybuchami śmiechu nastroju. Ata rozśmieszały krótkie, gardłowe dźwięki mowy Hatów. Natomiast Kusz nie mógł pojąć, jak można tworzyć słowa bez samogłosek. W nauce języków szybko robili postępy. Zaśmiewali się przy tym z własnej nieporadności i klepali się poufale po ramionach. Była już północ, gdy w najlepszej komitywie położyli się spać na hamakach rozwieszonych w wąskim przejściu korytarza.

Alba rozchyliła powieki. Zewsząd otaczała ją różowa, półprzezroczysta mgła. Jakby z głębi tej nasyconej wilgotnym ciepłem zasłony dobiegały ją rytmicznie powtarzające się dźwięki. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że były to szeptem powtarzane słowa. Temu nieustannemu potokowi niezrozumiałych słów towarzyszył nieokreślony szelest mechanicznego urządzenia. Alba odnosiła wrażenie, że te mechaniczne szelesty nieustannie drażnią jej mózg, powodując wzmożoną potrzebę snu. Od kilku już godzin pogrążona była we śnie. Dziwny to był sen. Niby na ogromnej, nie mającej końca taśmie filmowej w wyobraźni Alby przesuwały się realistyczne obrazy ukazujące historię cywilizacji Hat. Od żyjących w dzikości plemion przez krwawe, wyniszczające wojny trwał nieustanny pochód rozumnych istot ku nowym zdobyczom cywilizacyjnym. Był to pochód tragiczny, a jednocześnie zwycięski. Hatowie walczyli z żywiołem przyrody, z plagami chorób, między sobą. Ginęli, odradzali się w nieustannym dążeniu do nie w pełni uświadomionej wielkości. W tym niestrudzo- nym pochodzie pokoleń tworzyli dobra materialne coraz to piękniejsze i doskonalsze. Budując wielkie miasta-twierdze odgradzili się od przyrody wysokimi murami. Chcieli osiągnąć nieśmiertelność, stworzyć Wielki Rozum. Potrzebne im było coś, co wyręczałoby ich w myśleniu. Uważali, że jeden genialny umysł rozwiąże wszystkie ich problemy. Przekonaniu, że Wielki Rozum stworzy im szczęśliwe życie, podporządkowali wszystko, chcąc zamysł swój wykonać.

I tak dziesięć wieków temu powstał osobliwy stwór. Z początku mały i nieporadny, w miarę upływu lat rozrastał się, żądny władzy, despotyczny, okrutny. Alba widziała, jak grupa

fanatycznych wyznawców Wielkiego Rozumu nieustannie dokonywała przeszczepów, jak cieszyła się ze swych sukcesów. I oto pewnego dnia, gdy Wielki Rozum liczył trzysta piętnaście lat, postanowił podporządkować sobie najwyższą władzę planety. Udało mu się to nie bez pewnych trudności. Oto liczny i dumny lud szaroskórych Tuków, zamieszkujących rozległy kontynent południowej półkuli, odmówił mu posłuszeństwa. Rozgniewany Wielki Rozum postanowił srogo ich za to ukarać. Obmyślił okrutny plan zagłady kontynentu południowego. Znajac strukturę geologiczną planety doskonale wiedział, że kontynent południowy można zniszczyć wielkim wybuchem. Umieszczony w odpowiednim miejscu ładunek energetyczny dużej mocy mógł poprzez wybuch wywołać trzęsienie ziemi całego kontynentu. Wielki Rozum mógł swój plan zrealizować, ponieważ w jego dyspozycji znajdowały się największe zasoby energetyczne planety Hat. Zadufany w swą potęgę stwór przystąpił do wykonania planu. Zacietrzewiony w gniewie, nie przewidział jednak, że wywołany wybuchem rezonans może zagrozić kontynentowi północnemu podobną katastrofą.

I tak też się stało. Spowodowane wybuchem trzęsienie pogrzyło kontynent w falach oceanu Para. Z kataklizmu uratowała się tylko nieliczna grupa Tuków. Osiedlili się oni w trudno dostępnych górach archipelagu Banasy. Jedyne tam mogli czuć się bezpieczni. Tukowie mimo totalnej klęski mieli pewną satysfakcję. Zagładzie kontynentu południowego towarzyszyła fala wezbranych wód oceanu, która pogrzyła połączenie kontynentu północnego. Wybuchy dużej liczby wulkanów, które się wtedy pojawiły, zasypały popiołem miasta i żyzne doliny. Wielki Rozum z garstką ślepo mu posłusznych asystentów w popłochu opuścił swoje chwiejące się w posadach królestwo. Uciekł przed kataklizmem w rejony zachodnie, gdzie dziki łańcuch gór oparł się postępującej zagładzie. Po kataklizmie trzęsienia huragany zamieniły kontynent północny w pustynię.

Pozostali przy życiu Hatowie postanowili zniszczyć sprawcę straszliwych nieszczęść, Wielki Rozum. Nim jednak ich zmotoryzowane oddziały dotarły do miasta-twierdzy, Wielki Rozum użył przeciwko nim nowo odkrytej energii. Ogromny wybuch tajemniczej substancji zniszczył nadciągające oddziały. Na miejsce eksplozji wybrano wylot kanionu śmierci. Skaliste ściany wąwozu zwielokrotniły siłę wybuchu, niszcząc ofensywne oddziały przeciwników Wielkiego Rozumu.

Od tego czasu nie podejmowano już żadnych akcji odwetowych. Ci, którym udało się przeżyć wielki wybuch, nękani straszną, bo nieuleczalną chorobą, rozproszyli się po całym kontynencie. Wielki Rozum triumfował. Ale był to triumf połowiczny, a zarazem żaloszny. Wielki Rozum doskonale o tym wiedział. Wiedział, że jego władza ograniczała się do jednego miasta-twierdzy, w którym schronił się wraz z oddziałem wiernych mu asystentów. Kataklizm

zdzięsiętkował ludność planety Hat. Niemal wszyscy opuścili kontynent zionący wulkanicznymi popiołami. Osiedlili się na dalekim kontynencie wschodnim. Woleli twarde życie w pierwotnych dżunglach niż dobrobyt pod zwierzchnictwem nieobliczalnego i zadufanego stwora. Wielki Rozum wiedział, że jego ogromne niegdyś imperium rozpadło się. Ktokolwiek jednak ośmielił się głośno o tym powiedzieć, natychmiast był karany. W miniaturowym państewku wzmagął się terror. Nawet najzagorzalsi zwolennicy Wielkiego Rozumu sarkali po kątach. Mnożyły się wypadki indywidualnych, a często i zbiorowych ucieczek. Przeciwdziałać im było niezmiernie trudno. Na wieści o ucieczkach Wielki Rozum wpadał niejednokrotnie we wściekłość. Wypuszczał wtedy ogromne chmury energii. Skondensowana w cząsteczkach gazu energia pełzła na niewielkiej wysokości niszcząc wszystko co żywe. Ponieważ zasięg pełzającej chmury był ograniczony, uciekinierzy kpili sobie z szaleńczych poczynań Wielkiego Rozumu. I o tym również wiedział usadowiony w szklanej kuli stwór. Za wszelką cenę pragnął odzyskać swój dawny prestiż.

Chyba dlatego Wielki Rozum postanowił przyspieszyć swój dalekosiężny plan podboju kosmosu. Co to był za plan? Z tego, co Alba zobaczyła w swym dziwnym śnie, można było wywnioskować, że Wielki Rozum postanowił zamienić trzeciego satelitę planety Hat w pojazd kosmiczny. Ale trwające od ponad stu lat prace nad nowym, udoskonalonym paliwem nie spełniały oczekiwań. Potrzeba osiągnięcia ogromnych zasobów wysoko sprawnej energii, która byłaby w stanie wytrącić olbrzymią masę satelity ze strefy wzajemnego oddziaływania gwiazda — planeta sprawiła, że Wielki Rozum ustawicznie pracował nad rozwiązaniem tego problemu. Ale mimo jego niewątpliwej genialności, końcowe wyniki spalania ciężkich monatarów nie potwierdziły teoretycznych obliczeń. Może Wielki Rozum pogodziłby się z własną klęską i powrócił do przerwanych prac nad działaniem pola grawitacji wtórnej, gdyby nie fakt, że w zasięgu grawitacyjnego oddziaływania planety Hat pojawiły się pojazdy kosmitów. Ich obecność sprawiła, że ożyły nadzieje Wielkiego Rozumu. Sądził on, że zdoła przechwycić pojazd przybyszy z kosmosu i wydrzeć im tajemnicę napędu statku.

Wszystkie te wydarzenia na planecie Hat przesuwwały się w uśpionej wyobraźni Alby w niezliczonych obrazach. Były one tak sugestywne, że Alba odnosiła wrażenie, jakby w tym wszystkim uczestniczyła, była członkinią społeczności Hatów, zaprzysiężoną córą z legionu strażników Wielkiego Rozumu. W przekonaniu tym utwierdzały ją płynące nie wiadomo skąd słowa. Powtarzane w kółko, z dziwnym uporem, sączyły się do jej półuśpionej świadomości.

Kiedy otworzyła oczy, nie bardzo już wiedziała, kim właściwie jest. To co oglądała przez kilka godzin, skutecznie wypierało z pamięci Alby prawdziwy jej rodowód. Niepewność co do własnej osobowości napawała ją przerażeniem. Niejasno czuła, że nie jest prze-

cięż istotą z planety Hat. Gdzieś w zakamarkach mózgu tliło się przekonanie, że przybyła tutaj z dalekiej planety, gdzie została jej matka, siostry... Usiłowała nawet przypomnieć sobie, jak one wyglądają. Ale to przekraczało już jej możliwości.

Nie mogła też uświadomić sobie, w jakich okolicznościach znalazła się w pomieszczeniu wypełnionym różową poświatą. Nadal czuła przemożną potrzebę snu, ale siłą woli broniła się przed nim. Nie chciała dłużej oglądać makabrycznych scen. Wszystko co widziała w majaczeniach sennych, było niezrozumiałe i obce. Mimo to gdzieś w podświadomości z coraz większą siłą dochodziło do głosu przekonanie, że właściwie kiedyś już to przeżywała, że w wydarzeniach tych uczestniczyła...

Sama już nie wiedziała, jak to jest z nią naprawdę. Od tego myślenia rozboleła ją głowa. Uczyniła raz i drugi wysiłek, aby podnieść się, w jakiś sposób uwolnić się od niepewności. Ale wysiłki Alby okazały się bezowocne. Leżała na białym, jakby operacyjnym stole, a jej ręce, nogi i głowa przytwierdzone były za pomocą niezliczonej ilości kolorowych przewodów do stojących wzdłuż stołu aparatów. Zdała sobie z tego sprawę, gdy wciskając się ze wszystkich stron mgła zniknęła nagle i gdy zobaczyła, że miejsce, w którym się znajduje, do złudzenia przypomina laboratorium medyczne. Świadoma otaczającej ją rzeczywistości, nadal nie wiedziała jednak, w jaki sposób znalazła się tutaj. Nade wszystko gnębiło ją ustalenie własnej tożsamości. Znowu usłyszała uparcie, aż do obłądu powtarzające się słowa: „Jesteś córą wielkiego narodu Hatów. Wychowano cię, abyś zawsze i wszędzie wiernie służyła Wielkiemu Rozumowi. Tylko niezachwiana wiara w Wielki Rozum da ci wieczność i wiekuiste szczęście”. Po tych słowach następowała kilkusekundowa przerwa i znowu ten głos powtarzał te same słowa. Zastanawiała się, skąd on się bierze i w jaki sposób do niej dociera. Wykluczyła narząd słuchu. Tajemnicze słowa jakby rodziły się same, jakby wytworem ich był mózg Alby. W rozpaczy wyprężyła ciało, aż w jej nogach dał się słyszeć metaliczny trzask. Odgłos czegoś, co krępowało jej ciało, ucieszył Albę. Jeszcze raz ponowiła wysiłek. Tym razem nie mogła powstrzymać okrzyku bólu. Ból był ostry, przenikliwy. Zaprzestała szamotania. Leżała tuląc twarz do jasnej, puszystej gąbki, na której spoczywała jej głowa. Próbowwała zebrać myśli. Za wszelką cenę chciała znać prawdę. Ale myśli nadal się plątały. Były dziwaczne i jakby narzucone. Jęknęła raz i drugi. Bezsilna rozpacz wycisnęła z oczu Alby łzy. Znowu poczuła przypływ senności i zaraz też usłyszała te same, w kółko powtarzane słowa: „Jesteś córką...” Nie chciała, nie mogła tego słuchać. Podświadomie czuła, że jest to kłamstwo, że to te wstrętne, otaczające ją zewsząd maszyny chcą jej to wmówić. Cóż, kiedy była wobec nich bezsilna. I gdy w swym wielkim osamotnieniu ponownie zapadała w senne majaczenia, usłyszała dobrze znany głos. Był cichy, brzmiał łagodnie i jakby prosząco.

— Ciągłe jeszcze śpisz, Alba? Ja również zapadłem w ten dziwny, wymuszony sen. Wydaje mi się, że celem tego eksperymentu jest...

Alba odniosła wrażenie, że mówiącemu zabrakło sił. Żal jej było istoty, której głos znała bardzo dobrze. Nie mogła tylko bliżej określić, po prostu wyobrazić sobie fizycznie właściciela głosu. Pełna współczucia dla tego, kto znajdował się w podobnej jak i ona sytuacji, spytała:

— Kim jesteś?

— To ja, Rit, przyjaciel twój i Ata.

I jakby chcąc bliżej podkreślić swą tożsamość dodał:

— Zaledwie kilkanaście godzin temu, jak wylądowaliśmy na planecie Hat. Nie pamiętasz?

— Coś sobie przypominam. Ale — szepnęła Alba niepewnym głosem — jeśli jesteś moim przyjacielem, to czemu mnie nie uwolnisz? Jak możesz pozwolić, aby mój umysł nękanym był ustawicznie scenami pełnymi okrucieństwa i śmierci?

W głosie Alby brzmiała nuta bezradnej skargi. Słuchając Alby, Rit nie miał już wątpliwości. Jego przyjaciółka poddana została zabiegowi „przeistoczenia”. Zabieg ten polegał na zastosowaniu specjalnych prądów bioelektrycznych na korę mózgową. Rit znał ich ogólne działanie. Wiedział, że podobne badania prowadzone były przez Zespół Zitona w laboratoriach medycznych Nurra. Ponieważ w kilku wypadkach doprowadziły one do nieodwracalnej zmiany osobowości osobników poddanych eksperymentowi, rodziny „przeistoczonych” wniosły skargę do Trybunału. Sprawa nabrała rozgłosu do tego stopnia, że problemem zajęła się Wielka Rada. Jej werdykt był jednoznaczny: zabraniał pod karą śmierci dokonywania tego typu eksperymentów. Tak to wyglądało na rodzimej planecie Rita, a tutaj? Zarówno on, jak i Alba poddani zostali temu samemu zabiegowi. Prawdopodobnie Hatowie zamierzali zmienić osobowość przybyszów z dalekiej planety Nurra. W wypadku Alby już im się to w pewnym stopniu udało. Jeśli Alba nie wie, kim jest, jeśli nie pamięta nazwiska Rita, to fakty te są najlepszym dowodem, że działanie aparatury Hatów jest skuteczne. Prawdopodobnie z Ritem byłoby podobnie, gdyby nie przypadek wyłączenia się jednego z obwodów pulsacyjnych. Zaraz na początku eksperymentu, gdy obsługujący go Hatowie opuścili pomieszczenie, Ritowi udało się zerwać kilka przewodów łączących nałożony mu na głowę metalowy pierścień z aparatami. Nawet nie zdawał sobie w pełni sprawy, że ten na pozór drobny fakt zadecydował o negatywnym wyniku zabiegu. Mimo sennych widziadeł Rit, który nie słyszał uparcie wmaiwanych słów, trwale nawarstwiających się w pamięci, był w pełni świadom zachodzących w eksperymencie procesów. Nie potrafił jedynie wyzwolić się z przemożnego działania snu. Ale

to, co w nim oglądał, nie miało wpływu na zmianę świadomości Rita. Sytuacja i jego, i Alby utwierdzała go jedynie w przekonaniu, że aby zachować życie i godność, musi podjąć bezkompromisową walkę. Rit nie mógł sobie darować, że dał się tak głupio podejść. Ale od pierwszej chwili, gdy zobaczył roslých, silnie zbudowanych Hatów, poczuł się wobec nich dziwnie bezbronny. Zamiast podjąć walkę, czekał na szczęśliwy przypadek. Źle zrobił. Hatowie obezwładnili go gazem, a następnie przytwierdzili do doświadczalnego stołu. Jak się stąd uwolnić? Kilkakrotnie usiłował wyciągnąć dłonie z krępujących go więzów, ale bezskutecznie. Za każdym szarpnięciem w okolicach nadgarstka czuł przenikliwy ból. Jakby mu wbijano drzazgi. I to było powodem, że unosząc głowę na tyle, na ile pozwalały mu więzy, powiedział z rezygnacją:

— Chciałbym ci pomóc i zrobię to, jeśli uwolnię się z więzów.

— Z więzów — podchwyciła Alba. — To jednak jesteśmy uwięzieni. A dlaczego, Rit? — wykrzyknęła nie kryjąc zdumienia. — Czy popełniliśmy jakieś przestępstwo? — pytała naiwnie.

— Czy ty, Alba, naprawdę zapomniałaś, kim jesteś? Przecież ja, ty i At jesteśmy Nurrami. Przybyliśmy na nie znaną nam planetę Hat w celu odszukania naszej sondy G-137. Czy to nic ci nie mówi? — tłumaczył Rit gorączkowo.

— Coś pamiętam — przyznała Alba. — Ale to było bardzo dawno.

— Dawno? — nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. — Przecież od wylądowania na Hat minęło zaledwie kilka godzin.

— Kilka godzin, mówisz — powtórzyła Alba jak echo. — A ja byłam pewna, że to było na początku dwudziestego drugiego wieku.

Odpowiedź Alby utwierdziła Rita w przekonaniu, że z jego rodaczką i współtowarzyszką podróży jest gorzej niż przypuszczał. Jeśli tak dalej pójdzie — myślał Rit — to proces przeobrażeń psychicznych u Alby może zajść tak daleko, że wszelkie próby powrotu do stanu wyjściowego mogą okazać się bezskuteczne. Jedynie natychmiastowe przerwanie doświadczenia... — Myśląc o tym Rit westchnął zrezygnowany. Raz jeszcze ponowił próbę uwolnienia rąk. Czuł, jak z otartej skóry nadgarstka spływa mu krew, jak wzmagają się bóle. Mimo to nie dawał za wygraną. Z determinacją pocierał krępujące dłonie więzy o ostrą krawędź metalowej konstrukcji. I kiedy węzeł rozluźnił się nieco, usłyszał szelest otwieranych drzwi. Leżał nieruchomo z zaciśniętymi powiekami. Nie miał innego wyboru. Potem udawał, że jest pogrążony w głębokim śnie, że nawiedzają go straszliwe majaki. Jęczał, a jednocześnie szarpał się, jak ktoś, kogo trawi gorączka. Słyszał kroki zbliżającego się Hata. Czuł jego bliskość. Słyszał głęboki oddech przybysza i czuł dotyk jego dłoni. Potem usłyszał jeszcze cichy

okrzyk i jakieś słowa. Pokaleczone, powalane krwią dłonie Rita musiały na przybyszu zrobić duże wrażenie, skoro natychmiast przeciął więzy i niezwłocznie zabrał się do zakładania opatrunku. Rit ciągle jęczał. Wtedy opiekun, jakby zaniepokojony stanem jego zdrowia, ściągnął mu z głowy metalową obręcz. Ritowi sprawiło to znaczną ulgę. Przestał jęczeć, ale nadal udawał, że jest pogrążony w głębokim śnie. Po szeleście kroków orientował się, że Hat krąży w pobliżu. Prawdopodobnie sprawdzał działanie aparatów, a być może obserwował zachowanie Alby. Widocznie uznał, że wszystko przebiega normalnie, skoro po chwili opuścił pomieszczenie. Jeszcze przez chwilę Rit leżał nieruchomo łowiąc uchem najdrobniejsze szelesty. Ale oprócz oddechu śpiącej Alby i jednostajnego szmeru aparatury nic nie wskazywało na obecność opiekuna. Nie czekał dłużej. Ostrożnie uniósł ręce. Owinięte były cienką, półprzezroczystą tkaniną. Poruszył palcami i ucieszył się. Były sprawne. Nie zwlekając uwolnił przytwierdzony pasami do stołu tułów i nogi. Chwilę stał rozluźniając napięte mięśnie. Potem naciągnął skafander i podszedł do Alby. Leżała naga, pokryta wszczepionymi w ciało igłami spełniającymi rolę elektrod. Rit ostrożnie wyciągał je z ciała dziewczyny. Gdy wyłączył dopływ energii, Alba otworzyła oczy. Chwilę przyglądała się Ritowi półprzytomnym wzrokiem.

— To ty jesteś Rit?

Przypadł do niej i w przypiływie czułości pocałował Albę.

— Czy ty naprawdę mnie nie poznajesz? I tam, na Oki, i tutaj zawsze byłem i pozostanę twoim przyjacielem.

Wzruszenie Rita udzieliło się Albie.

— To dobrze, że jesteś moim przyjacielem.

Chwilę gładziła dłonią jego twarz.

— Mieć prawdziwego przyjaciela to wielka rzecz — dodała z powagą w głosie. — Trzeba sobie na to zasłużyć, prawda?

— Prawda — przytaknął skwapliwie.

Pomyślał ze smutkiem, że to już nie jest ta sama Alba, z którą pracował w bazie i z którą wylądował na tej dziwacznej planecie. Ta, której patrzył w oczy, zachowywała się i mówiła jak dziecko. Zaraz też pomyślał, że nie ma czasu na rozczulanie się.

— Musimy uciekać — szepnął cichym, konspiracyjnym głosem. — Nadarzyła się ku temu okazja, która może się już nie powtórzyć.

Pomógł Albie wstać i ubrać się. Dziewczyna jakby opadła z sił. Chwiała się na nogach, wpatrywała się w nieokreślony bliżej punkt bezmyślnym wzrokiem, i, co Rita najbardziej niepokoiło, co jakiś czas wybuchała głośnym, pusto brzmiącym śmiechem. Bał się, że śmiech Alby może zniweczyć ucieczkę. Aby się przed nim zabezpieczyć, wyciągnął z kieszeni

skafandra flakon z różowymi drażetkami. Dwie z nich podał Albie. Już po chwili można było zaobserwować dodatnie działanie leku. Alba przestała się śmiać. Rit dostrzegł w jej wzroku skupienie i powagę. Sposobiąc się do opuszczenia laboratorium pouczał Albę, jak ma się zachowywać podczas ucieczki. Zdawała się rozumieć, co do niej mówił, a nawet doradzała Ritowi, aby unieszkodliwił dozorcę i przebrał się w jego ubiór.

— W ten sposób — przekonywała — nikt z asystentów Wielkiego Rozumu nie rozpozna w nas przybyszy z zewnątrz.

Słowa Alby o Wielkim Rozumie utwierdziły Rita w przekonaniu, że coś jednak w głowie Alby musiało się pomieszać. Toteż gdy mówiła, kiwał tylko potwierdzająco głową. Nim wyszli z pomieszczenia, Rit włączył aparaturę. Z doświadczenia wiedział, że prawdopodobnie działanie aparatów było kontrolowane przez jakiś inny, nie znany mu system elektroniczny, który niewątpliwie wykryłby awarię i wszczął alarm. Zabezpieczywszy się przed tego typu ewentualnością, otworzył drzwi i uzbrojony w romi, ruszył mrocznym korytarzem. Za nim krok w krok posuwała się skulona, przyczajona Alba. Musiała zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, bo zachowywała się cicho. Dopiero gdy idąc krętymi schodami, natknęli się na półkolistą wnękę, wydała okrzyk grozy. Z jej cienia wyłaniał się odziany w jasny kombinezon szkielet. Również Rit, który na okrzyk Alby skierował na czającą się jakby postać snop jasnego światła latarki, stanął jak wryty. Z kaptura kombinezonu wychylały się białe, połyskliwe kości czaszki. Ale nie rozchylone w grymasie konania szczęki zrobiły na nim największe wrażenie, lecz to, że oczodoły szkieletu nie były puste. Połyskiwały w nich ciemną czerwienią oczy. Źrenice jakby tliły się słabym, ciepłym blaskiem. I właśnie ten blask dodał Ritowi odwagi.

— Nie bój się, Alba, to tylko szkielet istoty z Hat.

Powiedział to nieco drżącym głosem i zarazem roześmiał się, jakby w ten sposób usiłować wykazać odwagę.

— Ale te jego oczy — szepnęła dziewczyna z przejęciem. — Nigdy nie widziałam, aby kościotrup miał oczy.

Aby Albę ośmielić, Rit podszedł z wyciągniętą dłonią i dotknął nią czaszki. Zaraz ją jednak cofnął, wydając ściszony syk.

— Naelektryzowane — mruknął. — Spodziewałem się tego. Teraz wiem, czemu sztuczne oczy szkieletu świecą.

Rozejrzał się bezradnie. Schody kończyły się na półkolistej wnęcie. W głębi niej stał pochylony nieco szkielet. Jego wyciągnięta ręka jakby zapraszała, jakby wskazywała kierunek. Rit nie miał wyboru. Ruszył w stronę, gdzie obmurowaniem zaznaczone były drzwi. Za nim

niby cię szła Alba. Otwierając drzwi za pomocą umieszczonego obok mechanizmu, Rit miał nadzieję, że dotrze wreszcie do wyjścia. Zdecydowanym ruchem nacisnął metalową gałkę dźwigni. Usłyszeli podobny do kłaśnięcia szelest. Przed nimi majaczył ciemny, prostokątny otwór wejścia, dalej jakieś schodki i poczuli ostry, przenikliwy zapach jakiejś substancji. Czyżby to było wszystko? W miarę jak zagłębiali się w dziwny, w formie labiryntu wybudowany korytarz, zrozumieli, że znajdują się w miejscu wiecznego spoczynku Hatów. Po obu stronach korytarza umieszczone były nisze. W każdej z nich siedzieli wygodnie, odziani w codzienne stroje Hatowie — a ściślej, ich szkielety. Odrzucone do tyłu czaszki, wyciągnięte dłonie, na których leżały podłużne kawałki nie znanego Ritowi minerału, świadczyły o głębokiej zadumie zmarłych. Patrząc w połyskujące ciemną czerwienią oczy szkieletów, Rit nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ci, którzy przychodzą złożyć swe ciała w miejscu wiecznego wytchnienia, są z tym pogodzeni, a nawet zadowoleni. Wrażenie to było tak silne, że Rit nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. Zaraz przypadła do niego Alba.

— Czy coś się stało?

W szeroko rozwartych oczach dziewczyny Rit dostrzegł niepewność i strach.

— Nie, nic się nie stało — łagodnym głosem próbował ją uspokoić.

Patrząc na szkielety usiłował wyobrazić sobie ceremoniał śmierci. Prawdopodobnie istoty z Hat musiały znać godzinę śmierci. Kiedy się zbliżała, przychodzili z kawałkiem minerału w dłoni i zajmowali jedną z pustych wnęk. Ten srebrzysty kamień o wyraźnej siatce krystalicznej musiał przedstawiać dla nich znaczną wartość, skoro umierali wpatrując się w niego. Hatowie umierali z uśmiechem na twarzy. Oni jakby wyprzedzali śmierć. O czym rozmyślali siadając na wyżłobionym w skale łożu śmierci, pełni swobody w oczekiwaniu? Może w taki właśnie sposób realizowali odwieczną tęsknotę za nieśmiertelnością? Prawdopodobnie pod wpływem wypełniającej pomieszczenie energii ciała ich zamieniały się w pył. Dziwny zwyczaj chowania zmarłych zrobił na Ricie duże wrażenie. Również Alba błędziła po tym nie kończącym się labiryncie z wyrazem zdumienia i strachu w oczach.

— Wracajmy, Rit — jęknęła. — Czuję, że jeśli zagłębimy się w labirynt, to i my zginemy.

— Może jednak jest tu jakieś inne wyjście — mruknął niepewnym głosem Rit.

Przemierzając wnęki, uporczywie szukał drzwi. Pewien, że gdzieś musi być wyjście na zewnątrz, zagłębiał się coraz dalej w to ponure cmentarzysko. Jasny snop światła z latarki dokładnie penetrował każde załamanie muru. Nic jednak nie wskazywało, że z tych rozlicznych, krzyżujących się korytarzy, jest jakieś wyjście. Zdezorientowany Rit w pewnej chwili uświadomił sobie, że stracił kierunek i nie znajdzie drogi powrotnej. Lęk, że cmentarz Hatów może

stać się również dla niego i Alby miejscem ostatecznego spoczynku, sprawił, że stracił panowanie. Biegł między wnękami grobów, starając się natrafić na ślad drogi, którą przyszedł. Nie było to łatwe. Wszystko tutaj było do siebie podobne. Rit zdał sobie z tego sprawę, gdy po raz drugi wrócił w to samo miejsce. Z najwyższym trudem opanował ogarniającą go panikę.

— Rzeczywiście — przyznał zwracając się do Alby — miałaś rację. Trudno w tym wszystkim zachować orientację.

Przystanął nie wiedząc, co począć dalej.

— A może — rozważał głośno — może ten straszliwy labirynt zbudowano celowo? Może ci, którzy przekroczyli bramy miejsca wiecznego spoczynku, bali się śmierci? Może ten kto znalazł się w labiryncie, dość szybko nabierał przekonania, że stąd nie wraca się do świata żywych? I ta pewność, to przekonanie o nieuchronności własnego losu sprawiały, że strach przed śmiercią zamieniał się w łagodną, pełną mądrości rezygnację.

Rit usłyszał pytanie Alby, ale nie zrozumiał treści słów. Poczł ogarniającą go złość. Teraz, gdy wpadł w pułapkę, gdy krążyło już nad nim widmo śmierci, zaczynał zastanawiać się nad filozoficznymi przesłankami śmierci Hatów. Czy nie jest to śmieszne, godne pożałowania? Chcąc zrzucić z siebie przytłaczającą go bezsilność, powiedział z naciskiem:

— Musimy utrzymać jeden, stały kierunek. Inaczej zginiemy. — Powiedział tak, aby usprawiedliwić się nie tyle przed Albą, co przed samym sobą. Dziewczyna podchwyciła jego ostatnie słowa.

— Myślisz, że zginiemy? No tak — zwiesiła ze smutkiem głowę. — To wszystko jest za sprawą Wielkiego Rozumu. On jest bezwzględny i okrutny zarazem. Gdybyś wiedział...

Rit nie mógł powstrzymać gniewu.

— O kim ty mówisz? Wielki Rozum, też coś!

Alba zdziwiła się.

— Jak to? To ty nie wiesz, że planetą Hat rządzi Wielki Rozum?

Co miał na to odpowiedzieć? Wcześniejsze przypuszczenia raz jeszcze utwierdziły Rita w przekonaniu, że dokonane na Albie eksperymenty pozostawiły w jej psychice trwałe ślady. Świadomość tego ucinała wszelką dyskusję. Toteż wziął Albę pod rękę i odpowiedział:

— Słyszałem coś niecoś o Wielkim Rozumie, ale w naszej sytuacji nie ma to znaczenia. Dla nas ważne jest, abyśmy się stąd wydostali.

— To samo mówiłam — szepnęła z wyrzutem — ale nic chciałeś mnie słuchać. — Pociągnęła Rita w przeciwnym kierunku. — Chodź za mną. Ja cię wyprowadzę.

— Ależ Alba! — próbował oponować. — Jeśli...

Nie słuchała Rita. Wiedziona kobiecą intuicją ruszyła korytarzem, z którego przed

chwilą wyszli. Co miał począć? Nie mógł przecież zostawić jej samej. Rad nierad, ruszył za przyjaciółką. Intuicja nie zawiodła Alby. Ledwie uszli kilkanaście metrów, gdy z prawej strony, ponad wnękami grobów, Rit dostrzegł zwisającą ze sklepienia konstrukcję. Niezwłocznie skierował na nią światło latarki. Aż mu zaparło oddech z wrażenia. Nad nim w formie spirali wisiało coś, co wyglądało na schodki. Prowadziły one do okrągłych, ukrytych w suficie drzwiczek. Radośnie podniecony Rit podał Albie latarkę.

— Będziesz oświetlała. O tak!

Wyciągnął rękę i krążek światła zatrzymał na obrysie drzwiczek. Alba ożywiła się.

— Widzisz! To jednak ja znalazłam wyjście! Co ty byś beze mnie zrobił — paplała uszczęśliwiona.

Rit przyznał Albie rację. Chwalił jej intuicję, ale myślał o czekającym go zadaniu. Czy zdoła unieść te prawdopodobnie masywne drzwi? Z nieodłącznym romi w kieszeni wspiał się po metalowych szczeblach drabiny. Jego przypuszczenia potwierdziły się. Blok szarego piaskowca wmontowany był w metalową obręcz, która szczelnie przylegała do podobnej, tworzącej otwór. Nic ponadto. Żadnych mechanizmów. Wyężając siły próbował ramieniem unieść klapę. Nawet nie drgnęła. Ponowił próbę. Z wysokości trzech metrów spojrzął na Albę. W jaskrawym świetle nie widział ukrytej w półmroku jej twarzy. Czy powinien powiedzieć Albie prawdę? Zburzyć radosny nastrój dziewczyny, która przekonana jest, że stoi u progu wolności. Rit uświadomił sobie w tej chwili, co dla istot rozumnych oznacza wolność. Zwłaszcza on, pilot kosmicznych szlaków, nawykły do pokonywania ogromnych przestrzeni, nie mógł pogodzić się z myślą, że przyjdzie mu umrzeć w ciemnej, ukrytej między skałami mogile. Nie, Rit nie mógł i nie chciał umierać. Nie mógł, bo miał przy sobie Albę, bo sam z własnej woli wybrał drogę do gigantycznego grobowca. I to było najgorsze. Zaraz jednak otrząsnął się z ponurych myśli. Miał przecież aparat romi! Czy jednak ta ostatnia nadzieja nie okaże się zwodnicza? Czy niezawodnemu jak dotąd aparatowi wystarczy energii? Należało działać. Rit zszedł spod klapy. Wyciągnął romi i jego promień skierował na metalową obręcz. Smuga Su wolno przesuwiała się po obwodzie klapy. Słyszał słabe trzaski pękającej stali. Ogromna energia promieni Su kruszyła strukturę metalu, zamieniając go w żużel. Rit obserwował proces rozpadu. Zdążył odciągnąć Albę, gdy klapa o metrowej średnicy z hukiem zwała się na podłogę korytarza. Poprzez tumany pyłu dostrzegli wciskającą się przez otwór jasność. Alba wydała okrzyk radości. Byli wolni. Czy rzeczywiście?

At obudził się i odruchowo spojrzął na czasomierz. Wskazywał siedemdziesiąt trzy na dwadzieścia siedem. Zdziwił się. Według czasu obowiązującego na rodzimej planecie spał

niepełne cztery godziny, a mimo to czuł się wyspany, rześki. Chwilę leżał nieruchomo, zastanawiając się nad własnym i przyjaciół losem.

To, że wy dostał się z miasta-twierdzy, zawdzięczał przypadkowi. Stało się to dlatego, że grupa Tuków zamieszkujących archipelag Banasy, postanowiła wykraść uwięzionego przez Wielki Rozum członka swej Rady Ustawodawczej, Mino. Mino, który był już w podeszłym wieku, podróżował ze swym asystentem po odległych krainach kontynentu północnego w sprawach dyplomatycznych. Tak się złożyło, że przelatując pojazdem dalekiego zasięgu nad pasmem gór Antrarta, został dostrzeżony przez stacje nawigacyjne Wielkiego Rozumu. Ten jakby tylko czekał na taką okazję. Rozkazał strącić statek powietrzny. Rannego Mino i jego asystenta pojмали strażnicy Wielkiego Rozumu, a uszkodzony pojazd wraz z pilotem wysadzono w powietrze. Wielki Rozum od wieków płonął nienawiścią do społeczności Tuków, ponieważ oni pierwsi wystąpili przeciwko władzy absolutnej znieawidzonego stwora. Podburzyli także inne ludy kontynentu południowego. Za to spotkała ich kara. Zamieszkane przez nich obszary dotknięte zostały w pierwszej kolejności kataklizmem sztucznego trzęsienia. Ale zgotowana Tukom przez Wielki Rozum kara nie załamała ich. Rozproszeni po wyspach archipelagu, nadal tworzyli silne, administracyjnie sprawnie działające państwo o bogatej kulturze. Wielki Rozum, wściekły, że nie udało mu się pokonać Tuków, mścił się na każdym z nich. Kiedy więc strażnicy przywlekli rannych, z miejsca kazał zamknąć ich w tunelu, który cynicznie nazywał miejscem wypoczynku i absolutnej ciszy. Tymczasem przyjaciele Mino postanowili uwolnić członka swej Rady Ustawodawczej. Specjalnie przygotowany oddział wtargnął do twierdzy Wielkiego Rozumu i wykonał zadanie. Dzięki akcji Tuków i At uzyskał wolność.

O tym wszystkim dowiedział się od Kusza. Po kilku godzinach wspólnego przebywania potrafili na tyle porozumieć się z sobą, że At na podstawie gestów Kusza zrekonstruował dość niezwykłą historię ludu Tuków.

To, co zaintrygowało Ata w relacji Kusza najbardziej, to nie sprawa dziwnego stwora określającego się mianem Wielkiego Rozumu, lecz stosunek do niego mieszkańców planety Hat, a zwłaszcza Tuków. Nie mógł zrozumieć, czemu liczny, o wysokiej cywilizacji technicznej naród nic zrobił prawie nic, aby uwolnić się spod władzy okrutnika.

Zafrapowany tym zjawiskiem At na próżno usiłował nakłonić Kusza do wyjaśnień. Jego nowy przyjaciel milczał uparcie. Jaka jest prawda? — zastanawiał się At. Czyżby Tuków od zniszczenia stworzonego przez nich samego Wielkiego Rozumu powstrzymywały jakieś inne, pozaracjonalne względy? Gdyby znał język Hatów, może rozwiązałby dręczącą go tajemnicę.

At przewrócił się na drugi bok. Towarzyszyło temu lekkie kołysanie zawieszono pod

sklepieniem jaskini hamaka. At przestał zajmować się tajemnicami Hatów. Zaczął natomiast intensywnie myśleć, co powinien zrobić, aby uwolnić Albę i Rita. Gdyby nie oni, użyłby Pirny i zniszczył miasto-twierdzę wraz z jego władcą. Ciągle nie potrafił wyobrazić sobie, jak mogło dojść do sytuacji, w której sztuczny, bo spreparowany z mózgow istot myślących, stwór zawładnął wielką, o bogatej faunie i florze, planetą. W warunkach cywilizacji Nurra byłoby to nie do pomyślenia. A jednak? Na własne oczy widział gigantycznych rozmiarów mózg, który był czynny, żyjący. Posiadał ogromną, niepodzielną władzę. At chwilami odnosił wrażenie, jakby znajdował się w koszmarnym śnie lub w krainie baśni. Pamiętał, że w dzieciństwie matka opowiadała mu różne nieprawdopodobne historie. Miały one wpływać na rozwój jego dziecinnej wyobraźni. Świat dziwacznych stworów przestał go interesować, gdy osiągnął piąty rok życia i stał się uczniem technicznej szkoły wstępnej. Tymczasem teraz ten wymyślony świat jego dzieciństwa nabrał realnych kształtów, wcielając się w postać żyjącej świadomości.

At rozmyślał nad sposobem uwolnienia siebie i przyjaciół, gdy nieoczekiwanie zaświtała mu pewna myśl. Gdyby mógł rozszyfrować istotę działania Wielkiego Rozumu, poznać technologię wytwarzania i akumulowania wielkich energii, to niewątpliwie stałby się kimś znaczącym na swojej planecie. Wybaczone by mu nie tylko ucieczkę z Oki, ale jeszcze uhonorowano. Mógłby więc zaryzykować i porwać Wielki Rozum. Na rodzimej planecie Ata nie byłby on władcą, nie byłby czczony jak bóstwo. Spełniałby rolę obiektu eksperymentalnego. Otrzymywałyby do rozwiązania szczególnie trudne układy i byłby z niego lepszy pożytek niż z najdoskonalszego superkomputera. Ale najważniejsze to to, że Wielki Rozum dysponował energią. Dla dalszego rozwoju cywilizacji Nurrów problem energii był sprawą zasadniczą. Wielka Rada łożąc ogromne sumy na rozwój techniki lotów kosmicznych sądziła, że poprzez penetrację okolicznych układów gwiazdnych uda się odkryć nowe źródła energii. W grę wchodziły paliwa o niezwykle wysokim stopniu energotwórczości, a więc takie, które uzyskuje się bądź przy rozpadzie, bądź przy syntezie cząstek elementarnych. Wyprawy kosmiczne nie przyniosły jednak spodziewanych efektów. Odkryte na martwej planecie pokłady eretu były w takim stanie rozpadu, że w zetknięciu z tlenem ruda rozsypywała się w bezwartościowy proszek. Ale wielki Ferri nie tracił nadziei, wierzył we własne obliczenia, z których wynikało, że każde ciało niebieskie posiada określony potencjał energetyczny. W jakiej formie jest on skumulowany, na to pytanie miały odpowiedzieć załogi międzyplanetarnych statków kosmicznych.

I właśnie na penetrowanej od pewnego czasu planecie Hat At znalazł ogromne źródło samoistnej energii. To, czym w tym zakresie dysponował Wielki Rozum, wybiegało daleko

poza ramy znanych Atowi praw budowy i właściwości materii. Wielki Rozum dysponował energią, która nie była wytwarzana ani przetwarzana, a więc? Uświadomienie tego faktu było dla Ata nie tylko zagadką, ale i wstrząsem. Zastanawiał się, czy aby na planecie Hat nie działa jakieś nowe, nie znane dotąd nauce Nurrów prawo? I to był drugi istotny powód, dla którego At zaryzykowałby porwanie ogromnej szklanej kuli, której wewnątrz wypełniał tajemniczy stwór. Czy jednak takie przedsięwzięcie byłoby możliwe do wykonania? Gdyby nawet zwoził jedną z największych ładowni Pirny, to czy można by umieścić w jej wnętrzu kulę, której średnica jest większa od średnicy rakiety? Nierealność planowanego zamierzenia zaraz zrodziła wątpliwości. Pogłębiło je przekonanie, że egzystencja Wielkiego Rozumu związana jest z działaniem tych potężnych urządzeń energetycznych, które oglądał podczas rozmowy ze stworem. A jeśli tak, to jego pomysł traci swój sens. Zresztą, właściwie nie miał zamiaru wracać na rodzimą planetę. Chociaż?... Jeśli Albie lub Ritowi, lub też im obojgu przydarzyło się coś złego, to czy jego podróż w dalekie rejony kosmosu nie stanie pod znakiem zapytania? At, mimo że z natury był odważny, wzdrygnął się na myśl o samotnym rejsie.

Z opowiadań pilotów kosmicznych wiedział, że długotrwałe przebywanie w przestrzeni, nawet w wypadku statku załogowego, wywoływało schorzenie zwane obłędem wielkiej ciszy. Wiadomo było również, że nie ma na to lekarstwa. Czy zatem warto było narażać życie dla czegoś, co być może nie istnieje? Czy istnienie kosmicznego wiatru, owych wolnych cząstek pramaterii poruszających się z ogromną prędkością w polu magnetycznym osi wszechświata, to tylko błędna hipoteza? A jeśli tak, to jaki sens miałyby zaplanowana przez Ata podróż?

At uniósł się z posłania. Był zły na siebie, że te rozważania przeszkodziły mu w koncentracji myśli nad opracowaniem planu uwolnienia przyjaciół. Kiedy zeskoczył na skaliste podłoże pieczary z zamiarem udania się do Pirny, usłyszał wołanie Kusza. Jego przyjaciel właśnie się obudził. Spoglądał na niego zdziwionym wzrokiem. Uśmiechając się mówił coś, czego At nie rozumiał.

— Idę do swojej rakiety — powiedział i wzruszył ramionami, przekonany, że Kusz i tak jego słów nie zrozumiał.

Ledwie jednak opuścił jaskinię, zatrzymał się niezdecydowany. Stał na wąskiej ścieżce wijącej się między wysokimi głazami. Wysoko na tle bladego błękitu ostro rysowały się szczyty gór. Nad nimi wychylała się promieniejąca jasnym blaskiem gwiazda Nu. W dzień otaczający krajobraz wydawał się surowy, ale nie tak martwy jak nocą. Na przeciwległym, niezbyt stromym zboczu At dostrzegł stadko pasących się zwierząt. Wyglądem przypominały kozice Gu. W górze ponad doliną krążyło kilka ptaków. Były to te same wielkie ptaki, które

jako pierwsze żywe stworzenia powitały ich, gdy stanęli na skalistym gruncie planety. At już wtedy zwrócił uwagę, że ptaki nie bały się ich i jakby znając swoją siłę, ignorowały przybyśców.

Nagle w szczelinie między głazami coś zaszeleściło. At zatrzymał się. Instynktownie spojrzął w stronę, skąd dochodził szmer i znieruchomiał z wrażenia. Z porośniętego mchem otworu wзираł płaski i długi łeb jakiegoś gada. Jego wypukłe oczy połyskiwały zielonym, fosforyzującym blaskiem, a uzbrojona w ostre kły paszcza rozchyłała się klapiąc złowrogo szczękami. Wiele zwierząt żyło na planecie Nurra. At oglądał je w specjalnych ogrodach zwanych kuko. Ale to, na co w tej chwili patrzył, było tak niezwykle, że mimo woli poczuł dreszcz strachu. Ślepią gada zdawały się działać hipnotyzująco. Była w nich jakaś niezwykła moc, paraliżująca wolę. A może to nie oczy, a szkaradny wygląd pokrytego guzami łba gada sprawił, że At stał jak porażony, nie mógł wykonać żadnego ruchu. Zapomniał nawet o romi. Dopiero gdy połyskująca czerwonymi łuskami długa i elastyczna szyja gada wyciągnęła się błyskawicznie w jego kierunku, krzyknął i instynktownie cofnął się. Gad, jakby rozumiejąc, że Atowi należy przeciąć drogę ucieczki, szybkim ruchem sprężystego cielska zmienił pozycję. Jego trójkątna, wydłużona paszcza zawisała tuż nad głową Ata. Ten dopiero wtedy poczuł, że miał za plecami gładką, pionowo wznoszącą się skałę. Pomyślał z rozpaczą, że musi podjąć walkę, że nie ma wyboru. Z tą myślą uniośł ramiona przyjmując pozycję obronną. Raz jeszcze spojrzął w zielone oczy potwora. Nie miał wątpliwości, że jego szanse były znikome. Gdyby udało mu się chwycić gada za szyję, tuż przy łbie, to może wówczas mógłby próbować z nim walczyć. Tymczasem gad wysunął zielonkawy, rozdwojony język i przekrzywił łeb. Atowi wydawało się, że bestia uśmiecha się złośliwie, mrużąc okrągłe, wylupiaste oczy. W chwili gdy jego szyja wyprężyła się i At zrozumiał, że nastąpi atak, w powietrzu coś błysnęło i zaraz rozległ się huk. Krótki, suchy trzask zwielokrotniło odbite echo. Gad trafiony pociskiem wyrzucił w górę pysk, a jego cielsko skręcone drgawkami potoczyło się pod nogi Ata. Ten stał ciągle nieruchomo, oszołomiony tym, co zaszło.

At jeszcze nie ochłonął z wrażenia, gdy zza skały wysunął się Kusz. Trzymał w dłoni niewielki metalowy przedmiot. Z niego padł strzał. Kusz podbiegł do trafionego zwierza. Chwilę patrzył w jego dogorywające ślepią, a następnie podszedł do Ata. Musiał dostrzec we wzroku kosmity strach, gdyż klepnął go dłonią po ramieniu i potrząsnął nim. Dopiero wówczas At ocknął się z odrętwienia. Kusz pokazując martwego już gada, tłumaczył mu coś, czego on nie rozumiał. Jednakże kiedy Kusz rozwarł pysk gada i naciskając szczęki wydobyl z jego gruczołów lepki, zielony wyciek, At pojął, że gad przy ukąszeniu wydzielal trujący jad. Wzruszony okazaną mu pomocą, z wylewną serdecznością uściskał Kusza. Zaraz też chciał

ruszyć w dalszą drogę, ale zdecydowanie przeciwstawił się temu Kusz. Usilna gestykulacja Hata przekonała go, że sam nic nie zrobi. Na planecie czeka na niego zbyt wiele niebezpieczeństw. Tak At zrozumiał argumentację dźwiękowo-gestową przyjaciela. Musiał się z nią pogodzić. Rzeczywiście, wyszedł na poszukiwanie swego pojazdu nie wiedząc, w którym miejscu on się znajduje. To, że wylądował nad brzegiem rzeki, było jedyną wskazówką, ale, jak się okazało, niewystarczającą. Jednocześnie At zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien zwlekać, gdyż być może Alba i Rit potrzebują natychmiastowej pomocy. Toteż gdy tylko wrócili do jaskini, zaczął ponownie przekonywać o tym Kusza. Hat zrozumiał zniecierpliwienie gościa z innej planety i niezwłocznie uruchomił przenośny radiotelefon. Przez dłuższą chwilę zdawał relację, a potem unosząc nieco głos, począł kogoś przekonywać, wreszcie prosić. Widocznie rozmówca Kusza zaaprobował zgłoszone przez niego propozycje, bo twarz Kusza rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia. Spojrzał na swój zegarek i wskazując na jego tarczę począł Atowi tłumaczyć, że prawdopodobnie nie potrwa to długo. Zaraz też zaczął pakować rozłożony w jaskini sprzęt.

Po śniadaniu obaj kontynuowali przerwana nocnym wypoczynkiem naukę języków. Przy tej interesującej wymianie słów czas mijał nadszpiewanie szybko. Nagle usłyszeli narastający warkot silnika. Wybiegli przed jaskinię. Zza szczytu góry wyłonił się pojazd kształtem przypominający opasłego bąka. Zataczając kręgi maszyna opadała wolno wzdłuż górskiego stoku. Odnosiło się wrażenie, że pilot usilnie wypatruje miejsca na lądowisko. Dopiero gdy pojazd zagłębił się w kanion, Kusz wyciągnął rakiетnicę i wystrzelił. Pocisk rozrywając się na wysokości dwustu metrów sychnął seledynowym ogniem. Pilot pojazdu dostrzegł błysk. Zmienił kurs lecąc wprost na oczekujących. Jakies dwadzieścia metrów nad ich głowami zatrzymał się w miejscu. Widocznie pilot bał się rozrzuconych skał. Kusz ułatwił mu zadanie wskazując na płaską i gładką półkę skalną. Pojazd pionowo obniżył lot i osiadł miękko na wybranym przez Kusza miejscu. Podczas gdy Kusz z pilotem ładowali bagaże, At z zaciekawieniem oglądał maleńki pojazd. Był to silnikowy aerostat, podobny do używanych na Nurra dwieście lat temu taksówek powietrznych. Wnętrze kabiny wyposażone było w niezbędne urządzenia nawigacyjne. Zaopatrzony w dwa silniki ciągu pionowego i poziomego robił wrażenie lekkiej, ale i prymitywnej konstrukcji o niewielkim zasięgu lotu. W warunkach górzystego, pociętego głębokimi dolinami terenu był niewątpliwie jedynym skutecznym pojazdem. Dla Ata miało to istotne znaczenie, gdyż z góry można było łatwo odszukać Pirnę.

Po wszystkim, co Hatowie dla niego zrobili, At wyzbył się wobec nich wszelkich uprzedzeń. Wiedział, że może im zaufać, pewien był, że chcą mu pomóc, że ich poczynania są szczerze i bezinteresowne. Brał również pod uwagę i to, że w walce z Wielkim Rozumem musi

zyskać sprzymierzeńców. Kiedy więc po załadowaniu bagaży cała trójka zaczęła się zastanawiać nad planem dalszego działania, At za pomocą gestów dał Tukom do zrozumienia, że jeśli tylko znajdą raketę, sam poradzi sobie z potęgą Wielkiego Rozumu. Wówczas Tukowie z wyrazem dezaprobaty złapali się dłońmi za głowy dając do zrozumienia, że to niczego nie rozwiąże, a jedynie może narazić Ata na śmiertelne niebezpieczeństwo. At przedstawił im swoje zamierzenia. Wystartuje na Pirnie na wysokość stu kilometrów i stamtąd zaatakuje miasto-twierdzę. Wystarczy jeden pocisk, aby siedziba Wielkiego Rozumu zamieniła się w kupkę gruzu. Propozycja Ata zupełnie nie przekonała Hatów. Przeciwnie. Z ich gwałtownej reakcji At wnioskował, że zniszczenie siedziby Wielkiego Rozumu w ogóle nie wchodzi w rachubę. W wielkim podnieceniu tłumaczyli Atowi, że tego typu eksplozja mogłaby spowodować nieobliczalne w skutkach konsekwencje dla życia w ogóle. At chciał wiedzieć, jakie to konsekwencje. Nie umieli wyjaśnić. I na tym dyskusja urwała się. Hatowie nie chcieli albo nie potrafili przekazać swoich argumentów. Z uporem twierdzili, że sprawę uwolnienia jego przyjaciół biorą na siebie. Al poczuł się bezradny. Nie mógł zrozumieć, czemu Hatowie z plemienia Tuków, a więc najzagorzalsi wrogowie sztucznego stwora, nie godzili się z jego propozycją. Czyżby chodziło im o coś zupełnie innego? A może obawiali się, że wybuch pocisku nuklearnego wywoła w ich atmosferze trwałe zmiany? Spowoduje jakieś poważniejsze pęknięcia w skorupie planety? Przecież kiedyś przeżyli już kataklizm sztucznie wywołanego trzęsienia. Może pozostał po nim dziedziczony z pokolenia na pokolenie uraz psychiczny? A może ich obawy wynikały z faktu, że struktura geologiczna skał planety Hat ma właściwości rezonansu setycznego?

At znał przypadki materii posiadającej właściwość „rozsypywania się”. Wynikała ona z asymetrycznej budowy siatek krystalizujących bądź cząsteczek tworzących strukturę materii. W czasie wybuchu słabo polaryzujące aniony pobierały energię i dążąc do zachowania symetrii rozlatywały się lawinowo. At wiedział, że powstrzymanie tego typu reakcji jest praktycznie niemożliwe. Czyżby więc materia, z jakiej zbudowana była planeta Hat, miała tę właściwość? Gdyby tak było, to wcześniejsze badania gruntu planety przez sondy rozpoznawcze wykryłyby tę straszliwą anomalię i w porę ostrzegły pracowników bazy Oki. Jednakże z biuletynów informacyjnych, jakie At otrzymywał, nic takiego nie wynikało. Chociaż? At przypomniał sobie notatkę Zespołu 3. Mówiła ona o wykryciu źródła niezwykle silnego pola elektrycznego. Miejsce to określone było współrzędnymi oraz uwagą, że wymagane jest przeprowadzenie tam specjalistycznych badań. Jeśli miejscem tym było miasto-twierdza, a co do tego At nie miał wątpliwości, to czemu nie zrobiono zdjęcia obiektu? Przecież silne pole elektromagnetyczne wskazywało na istnienie skupiska jakiejś energii. Tym bardziej że zada-

niem wszystkich zespołów penetrujących nieznaną planetę było przede wszystkim wykrywanie nowych ich źródeł. Może więc załoga zaginionej sondy G-137 próbowała tego dokonać? Nieświadoma czekającego niebezpieczeństwa, zawisała nad tajemniczym obiektem, wyłączając dla zrobienia pomiarów pole siły. Wtedy to dosięgnął ją pocisk ze starannie zamaskowanej wyrzutni. Wybuch rozerwał zapewne kabinę sondy i jeśli nie uśmiercił, to zapewne ciężko ranił znajdujących się na niej członków załogi. Taki los spotkałby zapewne Ata i jego przyjaciół, gdyby podczas lotu rozpoznawczego Rit wyłączył pole siły. Rozmyślenia Ata przerwał nakazujący gest Kusza. At zrozumiał, że jego przyjaciel niecierpliwił się, przynaglał do odjazdu. Nie zwlekając, zajął miejsce w maleńkiej kabinie. Wystartowali.

Lecieli głębokim kanionem między stokami skalistych wzgórz. W dole przelewały się w wartkim nurcie fale rzeki. At zaproponował pilotowi, aby wzbił się wyżej, ale ten odmówił. Siedzący obok Ata Kusz dał mu do zrozumienia, że jedynie osłona gór stwarza gwarancję pełnego bezpieczeństwa. To potwierdziło wcześniejsze przypuszczenie Ata, że Wielki Rozum dysponował sprawnie działającymi aparatami radiolokacji. I to być może było powodem, że Kusz nie chciał się zgodzić, aby At zaatakował miasto-twierdzą z powietrza. Czy można się temu dziwić? Przecież nie widział Pirny. Nie miał pojęcia, w co jest wyposażona i czym dysponuje rakietą dalekiego zasięgu. Może zmieni zdanie, gdy ją zobaczy?

Łoskot wodospadu zwrócił uwagę Ata. Chwilę obserwował kilkunastometrową kataraktę. Szum spadającej wody zagłuszał warkot silnika. W pewnej chwili At dał pilotowi znak, aby leciał wzdłuż lewego brzegu rzeki. Tym razem zmysł orientacji nie zawiódł go. Zza potężnej, pionowo unoszącej się nad kanionem skały wyłoniły się płaskie i jakby rozrzucone półki skalne. Na jednej z nich dostrzegli połyskującą w promieniach gwiazdy Nu Pirnę. Hatowie niemal jednocześnie wydali okrzyki, w których brzmiała nuta podziwu. At nie ukrywał dumy. Z uśmiechem obserwował malujące się na twarzach Tuków zdumienie. Widok potężnej rakiety był dla nich całkowitym zaskoczeniem. Krzyczeli prześcigając się nawzajem w wyrażaniu opinii. Wymachiwali przy tym rękami i poszturchiwali się, co wyglądało tak zabawnie, że At nie mógł powstrzymać śmiechu. Wreszcie zaczęli wypytywać Ata prawdopodobnie o różne szczegóły techniczne, bo ciągle wskazywali na stojącą w dole Pirnę. Na ich pytania At bezradnie rozkładał ręce. Uspokoili się, gdy pilot sprowadził maszynę do lądowania. Nie było to trudne. Aerostat odznaczał się doskonałą zwrotnością i statycznością. Toteż bez trudności wylądowali kilka zaledwie metrów od Pirny.

At pierwszy wbiegł na schodki, za nim Hatowie. Kiedy zaczął manipulować przy mechanizmie otwierającym drzwi do kabiny, ręce drżały mu z wrażenia. Dopiero teraz naprawdę zrozumiał, czym była dla niego Pirna. Wielki, a zarazem piękny w kształcie statek

kosmiczny był teraz jego domem, częścią cywilizacji, która go zrodziła i z którą poczuł się głęboko związany. Dotychczas nie zdawał sobie dobrze sprawy z bliskości swych związków z rodzimą planetą, z kulturą, obyczajowością czy sposobem myślenia jej mieszkańców. Od kilku już lat ustawicznie wmawiał w siebie, że jest nieco inną niż jego koledzy istotą. Jako pracownik Zarządu Przestrzeni Kosmicznej uważał siebie za kogoś, kto należy do tej przestrzeni, a więc różni się od zamieszkujących planetę Nurra śmiertelników. Potem, gdy plan ucieczki w dalekie rejony kosmosu zawładnął jego wyobraźnią, At coraz częściej widział siebie w roli obywatela wszechświata. Wyobrażał siebie jako wiecznego podróżnika bez ojczyzny. Marzyła mu się, chociaż jak dotąd nie zwierzył się z tego nikomu, organizacja społeczności składającej się z podobnych mu istot, wiecznych podróżników. Czy nie były to tylko mrzonki? Życ w ustawicznej podróży? Stać się pyłkiem niezmiernych przestrzeni. Nie ma i nie może być takiego życia. Nawet gdyby jego pojazd czerpał energię z gwiazd, gdyby przeobraził się w jeden z licznych ułamków materii, które sobie tylko znanymi ścieżkami przemierzały z wielką prędkością odległą przestrzeń. Kilkanaście godzin pobytu na planecie Hat uświadomiło mu, że żywy organizm może egzystować wyłącznie wśród podobnych mu organizmów. Ta oczywista prawda dotarła do Ata, gdy w towarzystwie Hatów znalazł się we wnętrzu Pirny. Dopiero tutaj poczuł się w pełni bezpieczny. Zaraz przyrządził swą ulubioną potrawę. Jednakże Tukowie, zafascynowani pojazdem, nie chcieli jeść. Z uwagą oglądali każde urządzenie, każdy drobny nawet przedmiot. Zachwyty wzbudził w nich przyrząd określający położenie pojazdu w przestrzeni. Nie mogli też wyjść z podziwu oglądając komputer Teo, urządzenia nawigacyjne czy wreszcie mini-wyrzutnie pocisków nuklearnych. Chcieli także poznać system napędu i rodzaj paliwa. Ale te elementy ukryte były starannie w dolnej, osobnej części pojazdu. Bez włączenia głównego silnika nie można było uruchomić mechanizmów dźwigniowych, a tym samym odsłonić pancierz ochraniający komory napędu. Z tych i innych względów At pominął milczeniem pytania Kusza na ten temat.

Kusz pojawił się właśnie w towarzystwie pilota w drzwiach kabiny-salonu, gdzie rozpoczęty w fotelu At kończył jedzenie. Wszyscy trzej znajdowali się w wyśmienitych humorach. Hatowie byli oszołomieni po obejrzeniu wytworu dalekiej, nie znanej im cywilizacji, wyprzedzającego swą doskonałością ich zdobycze techniczne o trzysta, a nawet pięćset lat. Podnieceni przekazywali swoje wrażenia Atowi przekrzykując się wzajemnie. Rozweseliło Ata ich gadanie, z którego niewiele rozumiał. Ubawiony podszedł do metalowej szafy, gdzie przechowywane były produkty żywnościowe i gdzie znajdowały się butle z napojem lolo. Był to napój specjalny, przeznaczony wyłącznie na użytek kosmitów. Zalecano używać go w chwilach szczególnych napięć psychicznych, także w obliczu znacznego zagrożenia. Napój łagodził

skutki ewentualnej śmierci poprzez znieczulenie bólu. Był to lek niezwykle drogi. Niemniej At uznał, że okoliczności są wyjątkowe, a okazja szczególna. Gościł bowiem na statku inteligentne istoty z nowo odkrytej cywilizacji. Istoty te okazały mu wiele serca i życzliwości. Napełnił więc kieliszki i z tacką w ręku podszedł do gości. Zapraszającym gestem wręczył im kieliszki. Przyjęli je, ale nie wypili. Aby ich zachęcić, At wypił pierwszy. To poskutkowało. Pilot, a za nim Kusz jednym haustem opróżnili kieliszki. Chwilę jakby smakowali wypity płyn, potem poprosili o drugą porcję. Uszczęśliwiony At chciał spełnić życzenie przyjaciół, gdy narastający warkot zwrócił jego uwagę. Gestem nakazał ciszę. Na moment cała trójka znieruchomiała. Pierwszy pojął niebezpieczeństwo Kusz. Krzyknął coś do swego ziomka i podbiegł do okienka. Ale widok z niego ograniczało pionowe ustawienie Pirny. At pociągnął Kusza do jednej z teleskopowych lunet. Sam zajął miejsce przy drugiej. Nawet nie potrzebował nastawiać ostrości. Okular wypełniały dwie lecące jedna nad drugą maszyny. Były duże. Kształtem przypominały wydłużone trójkąty. Leciąły z północnego wschodu na wysokości siedem tysięcy dwieście metrów. Wszystko to odczytał At z przyrządów pomiarowych.

Tymczasem Kusz z pilotem naradzali się nad czymś gorączkowo. At zauważył, że są przerażeni i że nie mogą dojść do porozumienia. Tymczasem połyskujące ciemnym metalem aparaty latające przeleciały nad szczytami i kiedy osiągnęły dolinę rzeki, lotem nurkowym obniżyły pułap lotu. Teraz potężny warkot ich silników wypełniał wnętrze Pirny, wywołując rezonans czułych instrumentów. Obserwując przez teleskop pilotów, At zobaczył na twarzy jednego z nich zdumienie. Widocznie dostrzegł niezwykle obiekt, bo krzyżąc coś do nadajnika zatoczył łuk i wziął kurs wprost na Pirnę. Wtedy Kusz wydał zdławiony okrzyk. Chwył At za ramię i pociągnął go w stronę wyjścia. Było już za późno. Obie maszyny jedna za drugą zaatakowały pojazd Ata. Trzy następujące po sobie wybuchy targnęły powietrzem. Silny podmuch detonacji zakołysał lekko rakieta. Usłyszeli też głuchy łomot walących w ściany Pirny odłamków skał. Wszyscy trzej instynktownie skurczyli się, przysiedli. Nie ulegało wątpliwości, że był to atak zmierzający do zniszczenia pojazdu. At nie zastanawiał się dłużej. Kiedy ponownie nad rakieta rozerwały się dwa pociski, był już w kabinie pilota i przy mechanizmie wyrzutni. Wsunął w otwór najmniejszy ładunek i czekał, aż nurkująca maszyna zataczając łuk odleci nieco i nabierze wysokości. Miał ją już w krzyżu celownika, którego samoczynne urządzenie nieustannie naprowadzało na cel. Wystarczyło nacisnąć przycisk odpalenia, ale z tym At jeszcze czekał. Dopiero gdy maszyna ustawiła się do kolejnego ataku, nacisnął dźwignię. Szarpnięcie poruszyło potężnymi amortyzatorami rakiety. Pirna zakołysała się leciutko. I to było wszystko. Dopiero po upływie dwóch sekund pojaśniał bładny błękit i krótki, ale jak błyskawica potężny wybuch przysłonił swą jaskrawością światło gwiazdy Nu.

Potem poszedł z góry grzmot. Groźny pomruk uświadomił Hatom, że istota z kosmosu dysponuje straszliwą, zdolną zniszczyć wszystko energią.

W miejscu, gdzie znajdował się jeden z latających aparatów należących do floty Wielkiego Rozumu, unosił się teraz świecący czerwienią obłoczek. Nic więcej.

Tymczasem drugi aparat latający pchnięty siłą wybuchu, próżno usiłował odzyskać stateczność. Koziółkując runął w przepaść skalistego zbocza. Upadkowi towarzyszyła eksplozja paliwa i prawdopodobnie wybuch pocisków, które maszyna miała na swym pokładzie. Kłęby czarnego dymu pokryły zbocze. Wzdłuż doliny przeleciały spłoszone wybuchem ptaki. Miały wyciągnięte szyje i nastroszone, jakby opalone pióra.

At pierwszy oderwał wzrok od teleskopu. Hatowie nadal patrzyli. W tym, co przed chwilą oglądali, było coś fascynującego, co przeczyło ich dotychczasowym wyobrażeniom o materii. Na ich oczach duży, masywnie zbudowany aerowid, należący do flotyli pojazdów Wielkiego Rozumu, zmienił się w obłoczek różowej pary. Drugiego, który w chwili wybuchu znajdował się w znacznej odległości, zmiotła fala eksplozji. Jego roztrzaskane szczątki dopalały się. Hatowie nie mogli otrząsnąć się z wrażenia, milcząc patrzyli sobie w oczy, po czym podeszli do Ata i stanęli przed nim pokornie schylając głowy. Stali tak nieporuszeni, oddając hołd dalekiej i potężnej cywilizacji, której przedstawicielem był At. Widocznie dopiero teraz Hatowie uświadomili sobie w pełni, co potrafi i czym dysponuje istota z kosmosu. Nie przestając bić pokłonów, zaczęli mówić coś płacziwym głosem. Nagły zwrot w ich zachowaniu zdumiał Ata. Z tonu ich głosu wnioskował, że proszą go o coś, a jego osoba budzi w nich lęk. Sądząc, że jest to ze strony Tuków żart, roześmiał się i poklepał ich po ramionach. Jednakże i ten przyjacielski gest nie zmienił ich postawy. Mimo że nie bili już przed nim pokłonów, nadal stali w postawach pokornego wyczekiwania.

At poczuł się nieswojo. Co oznaczała ta zmiana? Aby to wyjaśnić, poprosił Tuków, by usiedli. Wówczas powrócił do swej koncepcji uwolnienia z miasta-twierdzy przyjaciół. Za pomocą gestów i słów, które Kusz już rozumiał, przedstawił swój plan. Akcja uwolnienia srowadzać się miała do zbrojnego wtargnięcia i opanowania pomieszczenia, w którym zainstalowany był Wielki Rozum. At posiadał urządzenie, za pomocą którego można zniszczyć każdy żywy organizm w przeciągu ułamka sekundy. Pod groźbą użycia romi Wielki Rozum zmuszony będzie uwolnić Albę i Rita. Hatowie wysłuchali argumentów Ata z należytą powagą, ale potem pokręcili z powątpiewaniem głowami. Chwilę rozmawiali między sobą, jakby naradzali się, czy przyjąć propozycję Ata. Wreszcie Kusz używając znanych mu słów i gestów oznajmił, że jego plan, niestety, ale nie ma szans powodzenia. Tłumaczył Atowi, że Wielki Rozum nie da się sterroryzować. W zasięgu jego bezpośredniego działania znajdują się bowiem ma-

gazyny z ogromną ilością energii podobnej do tej, jakiej użył At niszcząc aerowidy. Wystarczy, że Wielki Rozum wyśle odpowiedni impuls, a składowiska z materiałem rozszczepialnym wybuchną. Czy At zdaje sobie sprawę ze skutków takiego wybuchu? Kataklizm wielkiego trzęsienia zniszczyłby lądy, a powstały z rozpadu Ulum pas radiacji uniemożliwiłby wegetację najbardziej nawet prymitywnej roślinności. Planeta Hat stałaby się jedną wielką pustynią, a zniszczenie atmosfery na długo, a być może na zawsze, zamieniłoby ją w martwą, skalistą bryłę. Oni, Tukowie, nie chcą kataklizmu. Chcą, by ich planeta była jeszcze piękniejsza. Kochają otaczającą ich przyrodę. Czy wobec tego mogliby samych siebie i wszystko unicestwić?

Kusz mówił i gestykulował gorączkowo, wykrzywił przy tym twarz w grymasie rozpaczy. Chciał zapewne, by kosmita zrozumiał wszystko, co jego i lud Tuków trapi. Patrzył Atowi w oczy z upartą, napiętą do granic wytrzymałości uwagą, jakby wzrokiem chciał oddać cały ogrom czekającej planetę tragedii. To co przekazał Kusz, zaskoczyło Ata. Nie przypuszczał, że na Hat znajdowały się zapasy energii jądrowej. O tym, że Wielki Rozum dysponował znacznym potencjałem energii, mógł się przekonać naocznie, ale że była to również energia nuklearna, nie wiedział. Jeśli tak było, to czemu Wielki Rozum nie wykorzystywał tej energii do napędu pojazdów? Czemu swój szalony pomysł przystosowania ogromnego satelity do roli rakiety kosmicznej chciał zrealizować za pomocą paliwa stosowanego w Pirnie? Czyżby Wielki Rozum nie potrafił znaleźć sposobu na zastosowanie energii jądrowej do napędu pojazdów latających? Te, które At oglądał, miały napęd silnikowy i jego zdaniem nie nadawały się do lotów w stratosferze. Czyżby w cywilizacji Hatów technika syntezy jądrowej wyprzedziła technikę budowy raket?

Coś w tym wszystkim nie zgadzało się. Chociaż? At widział w swym życiu wiele dziwnych zjawisk. Zaraz też uświadomił sobie, że do wyprodukowania energii jądrowej potrzebne są ogromne zakłady.

— Gdzie znajdują się zakłady produkujące energię nuklearną?

Z tym pytaniem zwrócił się do Kusza. Ten zastanawiał się chwilę, jakby nie bardzo wiedział, w jaki sposób ma to wyjaśnić. Wreszcie wyciągnął samopis i na foliowej kartce narysował plan miasta-twierdzy, a pod nim głęboko w skalistym gruncie coś, co wyglądało na reaktory.

— A więc to tak! — wykrzyknął At. — Pod tą gigantyczną budowlą ukryte są zakłady atomowe. Trzeba być szaleńcem, żeby to tak zaplanować! — wykrzyknął. — Przecież w razie awarii całe miasto wyleci w powietrze — ciągnął w najwyższym zdumieniu. — Zdajecie sobie z tego sprawę i godzicie się na to?

Hatowie niewiele rozumieli, co At do nich mówi. Uśmiechali się i poddańczo potakiwali głowami, co jeszcze bardziej zdenerwowało Ata.

— Nie ma się z czego śmiać, trzeba raczej płakać — dodał nie ukrywając złości.

Zaraz się jednak zreflektował. Przystąpił do tłumaczenia za pomocą gestów. Trwało to dość długo. At zaczął już tracić cierpliwość.

Kiedy wreszcie skończył, pewien, że zrozumieli, Kusz ze spokojem stwierdził, że powinnością planety jest, aby rządził nią Wielki Rozum. On jeden trwa i będzie trwał wiecznie. Wszystko na planecie Hat jest przemijające, tylko on, Wielki Rozum, istnieje w wymiarze ponadczasowym. Czy można zniszczyć coś tak niezwykłego? At powinien wiedzieć, że nad stworzeniem Wielkiego Rozumu Hatowie pracowali setki lat. Stworzyli czysty rozum, będący tylko i wyłącznie żywą świadomością, czyż istnieje wzniolejsza i piękniejsza rzecz? Z tych względów nie wolno im zniszczyć idei Wielkiego Rozumu.

At niby rozumiał zawile tłumaczenie Kusza, ale nic z tego nie trafiało mu do przekonania. W tym, co mówił Tuk, były same sprzeczności. Z opowieści Kusza wiedział, że to właśnie Tukowie trzysta lat temu zbuntowali się przeciwko władzy Wielkiego Rozumu. Od tej pory prowadzili z okrutnym i bezwzględny stworem, który chciał zniszczyć ich naród, nieustanną walkę. Gdy zaś At postanowił im pomóc, uwolnić ich od zwyrodniałej świadomości, nie chcieli się na to zgodzić. Dziwaczny, niczym nie uzasadniony paradoks. W ostatecznym rozrachunku wyglądało na to, że ofiary tyrana brały go w obronę, nie chciały dopuścić do jego unicestwienia. Tego At nie mógł zrozumieć.

Zamyślił się nad niezwykłością psychiki Hatów i aby nie poddać się ogarniającej go bezradności, powiedział:

— Dobrze, jeśli uważacie, że mimo wszystko Wielki Rozum powinien nadal istnieć, to wasza sprawa. Ale ja chcę i muszę uwolnić Albę i Rita, a wy powinniście mi w tym pomóc.

Ledwie to jakoś przetłumaczył, gdy Kusz zaczął Ata zapewniać, że życzenie jego będzie spełnione. Oni, Tukowie, mają w otoczeniu Wielkiego Rozumu swoich, godnych zaufania ludzi. Już wczoraj drogą radiową zlecono im, aby uwolnili Nurrów. Możliwe, że już w tej chwili Alba i Rit są na wolności. W górach jest pełno kryjówek. Prawdopodobnie z jednej z nich otrzymają umówiony sygnał. Należy tylko cierpliwie czekać.

— Cierpliwie czekać — westchnął At i machnął z rezygnacją ręką. — Jeszcze nigdy z czekania nie wyniknęło nic dobrego — mruknął sam do siebie.

Jakby na potwierdzenie jego słów gdzieś poniżej skalnej półki eksplodował pocisk. Na odgłos wybuchu cała trójka zerwała się z miejsc. Jeden za drugim wybiegli na pomost rakiety. Wystarczyło spojrzeć w górę, aby przekonać się, że sytuacja jest krytyczna.

W powietrzu ponad szczytami znajdowało się wiele pojazdów. Były to małe aerostaty, podobne do tego, jakim posługiwał się Kusz. Ata zaskoczyła niezwykle cicha praca silników. Gdyby nie eksplozja pocisku, nie wiedzieliby nawet, że są otoczeni. Aerostaty nadlatywały w kolistych szykach i At naliczył sześć kręgów. Wreszcie maszyny zatrzymały się, jakby piloci wypatrywali dogodnego miejsca do lądowania. At nie czekał dłużej. Postanowił wystartować, zdając sobie sprawę, że takiej ilości atakujących nie pokona. Tukowie oszołomieni niespodziewaną inwazją, jakby potracili głowy. Naradzali się nad czymś gorączkowo. Widocznie uznali, że mogą wymknąć się jedynie rzeką, bo w pośpiechu wyciągnęli z bagażnika pojazdu składany ponton.

Próżno At usiłował ich przekonać, że będą bezpieczniejsi, jeśli pozostaną w Pirnie. Sytuacja stawała się groźna, bowiem z góry zaczęły padać pociski. Na szczęście miały one niewielką siłę wybuchu, a co najważniejsze, nie były celne. Toteż Kusz z pilotem szczęśliwie dotarli do rzeki. Wtedy At, który obserwował ich zmagania przy schodzeniu, włączył główny silnik raketowy. Czas ku temu był najwyższy, gdyż pierwsze pojazdy już lądowały. Grzmot startującej rakiety był tak potężny, że niektóre aerostaty poczęły umykać w popłochu. Kiedy narastająca siła ciągu osiągnęła maksimum, At włączył dźwignię startu. Pirna drgnęła na moment, jakby zbierała jeszcze swą moc, by nagle, znacząc swój ślad seledynowym płomieniem, pomknąć w błękitne niebo.

Po trzech sekundach, gdy rakieta osiągnęła dwieście dziesięć kilometrów, At wyłączył silniki. Aby przyjąć pozycję orbitującą, włączył komputer. Teo zamrugał i uśmiechnął się przyjaźnie. Zaraz też na jego tarczy pojawiły się zielone cyfry. Teo obliczył, po uwzględnieniu masy planety Hat i ciężaru Pirny, że najlepszą pozycją dla orbitującej rakiety będzie odległość pięćset trzydzieści kilometrów. At włączył odpowiednie silniki. Pirna łagodnym łukiem zmieniła pozycję z pionowej na poziomą. Gdy moment bezwładności osiągnął dziesięć, pilot wiedział, że jego rakieta będzie już wirowała wokół planety, stając się jej satelitą. Podeszedł do teleskopu. Przez kilka minut, zanim horyzont planety nie przesunął się, mógł obserwować, co dzieje się w wielkim kanionie. Jednakże poza błyskami wybuchów nic więcej nie mógł dostrzec. Eksplozje świadczyły o tym, że strażnicy Wielkiego Rozumu swą złość z nieudanej akcji przechwycenia Pirny skierowali na rodaków. At zasepił się. Czy Kuszowi i pilotowi udało się umknąć?

At dostrzegł strzaskany pojazd Kusza i kilka aerostatów przeciwnika. Ale już po chwili widok zmienił się. Znikło pasmo wzgórz, a z nim rdzawa pustynia z emanującą tajemniczym blaskiem kopułą miasta-twierdzy. Pirna weszła w wielki cień drugiej półkuli. At nie odrywał oczu od okularów teleskopu. Widział setki rozrzuconych światełek ciągnących się wzdłuż

poszarpanych wybrzeży oceanu. Potem z jego fal wynurzyły się wyspy, które niby skręcony łańcuch oplatały południową półkulę.

At zorientował się, że był to archipelag zamieszkały przez plemię Tuków, o którym opowiadał mu Kusz. Ata ciekawiło życie tych pokojowo usposobionych, łagodnych istot o szarej, niby ciemna stal skórze. Gdyby nie konieczność uwolnienia Alby i Rita, chętnie wylądowałyby na jednej z tych porośniętych bujną roślinnością wysp.

Jednakże sytuacja nadal była napięta i Ata ogarniała złe przeczucia co do losu przyjaciół. Jeśli okrutny stwór zechce wziąć odwet za doznaną porażkę, to życiu ich zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. A gdyby i Kuszowi przytrafiło się coś złego, to szansa wydostania się Alby i Rita z miasta-twierdzy stawiała pod znakiem zapytania. At zdawał sobie sprawę z własnych możliwości. Ponowne lądowanie Pirną w okolicy miasta-twierdzy byłoby czystym szaleństwem. Jedyny bezpieczny środek lokomocji, sonda G-135, prawdopodobnie dostał się w ręce strażników. Na co mógł liczyć? Na prymitywne aerostaty Tuków? Zamyślił się. Mógłby nawet z tej wysokości zaatakować skutecznie siedzibę Wielkiego Rozumu. Tylko co by to dało? W gruzach zniszczonego miasta znalazłoby niechybnie śmierć dwoje jego najbliższych przyjaciół. Czuł się bezsilny wobec przeciwników, mimo to myśl o zniszczeniu straszliwego miasta go nie opuszczała.

Ponieważ ciemności nie pozwalały na prowadzenie obserwacji, At przeszedł do kabiny pilota. Powitało go przyjazne mruganie okrągłych, jarzących się zielonym światłem oczu komputera. Teo wydawał się być zadowolony, że znowu może służyć istocie, która go stworzyła. Tak właśnie odczytał At ciepłe błyski Tea. Uśmiechnął się także do swego wiernego przyjaciela.

— Ty jeden nie przejmujesz się tym wszystkim. Ale przecież Alba i Rit to również twoi przyjaciele. No powiedz, Teo, co o tym myślisz?

At włączył mikrofon. W głośniku rozległ się cichy gwizd, a potem dał się słyszeć rechotliwy śmiech.

— Trudna sytuacja. Trudna sytuacja — powtórzył Teo i zaraz dodał: — Trzeba na miasto-twierdzę zrzucić pojemnik z gazem-Ixi. To dobry gaz, bo nie zabija, a paraliżuje. Alba i Rit są uodpornieni na jego działanie.

Teo wypowiedział swoje zdanie i ponownie zamrugął porozumiewawczo okiem.

— A może, Teo, masz rację? Może trzeba będzie podejść jak do lądowania i zrzucić pojemnik Ixi? Gaz jest ciężki, przeniknie w każdą szczelinę. A na dodatek jest bezbarwny i bez zapachu. Kiedy asystenci czy też strażnicy Wielkiego Rozumu zorientują się, że coś jest nie w porządku, będzie za późno. Każdy z nich na sześć godzin pozbawiony zostanie zdolno-

ści jakiegokolwiek ruchu. Jest to okres dostatecznie długi, aby Rit z Albą zdołali wydostać się nawet z zamkniętego pomieszczenia. Tak. Tego pomysłu nie powinno się zlekceważyć. Tylko czy rzeczywiście Ixi wypełni wszystkie pomieszczenia tego gigantycznego, wielopoziomowego budynku?

Leżeli w naturalnej wnęce wyrobiska. Oboje znajdowali się u kresu fizycznych możliwości. Szczególnie mocno ostatnie godziny ucieczki przeżywała Alba. Kiedy po wydostaniu się z olbrzymiego grobowca zobaczyli nad sobą gęstą sieć gigantycznych rur i kabli, Rit pewien był, że doprowadzą ich one do upragnionej wolności. Tymczasem już po przejściu kilkudziesięciu metrów ciasnym, pełnym niebezpiecznych uskoków kanałem przekonał się, że nadzieje jego okazały się płonne. Kanał kończył się salą laboratoryjną czy też magazynem, po którym przesuwali się równymi, drobnymi kroczkami roboty. Dopiero gdy przemknęli między krążącymi nieustannie wózkami na drugi koniec sali, Hit stwierdził, że znajduje się tam wylot sztolni. Z jej głębi wylaniały się pojemniki z rozkruszoną rudą metalu. Miała ona połyskliwe, brunatne zabarwienie i gruboziarnistą strukturę. Roboty ładowały urobek na wózki, a następnie dowoziły go do taśmociągu. Ten przenosił rudę wysoko i zsypywał ją w otwór ogromnego, nieustannie wirującego bębna. Dalej były już tylko zwoje ołowianych rur i kabli. Mechanizmy pracowały cicho i bez zakłóceń.

Rita zastanowił nagły piekący ból w piersiach. Objawy osłabienia i zaburzeń wzrokowych wystąpiły również u Alby. Zauważył je, gdy tracąc w pewnym momencie równowagę, uderzyła ona głową w metalowy korpus robota. Krzyknęła i upadłaby, gdyby Rit nie pomógł jej w porę.

— Co to jest? Co się ze mną dzieje? Wydaje mi się, że tracę wzrok, że mam zaburzenia zmysłu równowagi — skarżyła się uczipiona ramienia Rita.

Wtedy Rit skojarzył, że objawy u Alby i piekący ból, przeszkadzający mu w oddychaniu, mają jedno źródło. Była nim transportowana z głębi kopalni ruda. Przypuszczenie, że rdzawo połyskujące grudki rudy nie znanego mu metalu mają własności promieniotwórcze, nasunął mu widok ołowianych płyt, którymi wyłożony był sufit i ściany pomieszczenia.

— Substytut rudy ma silne właściwości promienne — powiedział zdławionym głosem. — Musimy uciekać stąd i to natychmiast.

Drżącymi z podniecenia dłońmi wy dobył z torby licznik Ulta. W dwudziestostopniowej skali wskazywał cyfrę piętnaście. Teraz pewien był, że znajdują się w samym sercu zakładu produkującego energię jądrową. Zdawał sobie sprawę, że każda sekunda w pomieszczeniu o tak silnym natężeniu radioaktywnego promieniowania nieuchronnie przybliży ich śmierć.

Starając się zachować spokój, począł badać ściany i podłogę w poszukiwaniu wyjścia. Na szczęście znalazł je w przeciwległym rogu.

Owalne drzwi wykonane były z ołowianej płyty i zaciśnięte metalową sztabą. Rit z niemałym trudem odchylił sztabę. Drzwi ustąpiły. Podtrzymując słaniającą się ze zmęczenia Albę, Rit włókł się słabo oświetlonym korytarzem. Jedna z jego ścian była tak nagrzana, że przy dotknięciu dłonią parzyła. Gorące, duszne powietrze wypełniało korytarz. Mieli trudności z oddychaniem. Gdzieś zza ściany dobiegały różnorodne dźwięki. Niskie, monotonicznie dudniące, to znów wysokie, gwizdzące. Co to było? Jakie urządzenia pracowały za rozgrzanym murem? Czyżby mieścił się tam reaktor jądrowy? — zastanawiał się Rit. Czy miało to jednak jakieś znaczenie w sytuacji, kiedy niósł półprzytomną Albę i był u kresu fizycznych możliwości? Przystanął dysząc ciężko.

Alba mamrotała coś, wyrzucała z zapiekłej gorączką krtani słowa bez związku. Żal mu było swego i Alby życia. Nie mógł sobie darować, że ledwie rozpoczął wielką i piękną podróż w przestrzeń kosmiczną, ledwie dotknął stopami obcej planety, już musi zginąć. Przejdzie jeszcze dziesięć, dwadzieścia kroków tym nie kończącym się korytarzem, w pewnym momencie upadnie i nie podniesie się więcej. Przygarnie do siebie ramieniem Albę i tak przytuleni zapadną w wieczysty sen. Przez pewien czas będzie śnił jeszcze o swym nie spełnionym marzeniu, o wielkiej miłości do umierającej obok dziewczyny. W ostatniej chwili życia będzie miał przynajmniej świadomość, że ta, którą kochał gorąco i skrycie, pozostanie przy jego boku. Rozpacz, jaka towarzyszyła tej ponurej myśli, wyzwoliła w nim nową energię. Ani on, ani Alba nie mogą zginąć w głupi, przypadkowy sposób. Musi raz jeszcze wykrzesać z siebie odrobinę siły, niezbędnej do wydostania się z tego ponurego budynku. On, Rit, musi raz jeszcze przezwyciężyć własną słabość i podjąć próbę wydostania się z matni. Pochodzi przecież z planety Nurra, jest istotą należącą do cywilizacji, która przewyższa wszystko, co zastał na Hat. Chociażby z tego względu powinien do ostatniej chwili zachować godność członka wielkiej cywilizacji.

Z tym postanowieniem zarzucił znów na ramiona bezwładne ciało Alby i chwiejąc się na nogach ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że gdzieś wreszcie korytarz musi się kończyć. Wysiłek opłacił się. Zaledwie przeszedł kilkanaście kroków, gdy natrafił na rodzaj holu. W jego głębi pomiędzy kamiennymi filarami dostrzegł metalowe wrota. Były uchylone. Rit pamiętał jeszcze, że kiedy wszedł do środka, gdzieś z sufitu błysnęło światło. Poraziło go. Niemal po omacku zrobił dwa, trzy kroki, potknął się o coś i upadł. Słyszał jeszcze miarowy stukot zbliżających się kroków. W zanikającej świadomości ich dudnienie wdzierało się do mózgu złowrogim, ponurym echem. Instynktownie skurczył się i dłonią zakrył twarz, jakby w

obawie przed ciosem. Potem stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, ze zdumieniem stwierdził, że leży na czymś w rodzaju ruchomego stołu. Nad nim unosiło się urządzenie przypominające magnetyczny pierścień. Być może, że to ów pierścień, a nie stół przesuwał się jednostajnym ruchem tam i z powrotem. W pierwszym odruchu Rit usiłował podnieść się i uciekać. Okazało się jednak, że nie jest w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu. Po dwukrotnych, usilnych próbach, doszedł do wniosku, że albo przesuwany pierścień ma obezwładniającą moc, albo też wstrzyknięto mu, gdy był nieprzytomny, jakiś środek paraliżujący mięśnie.

Właściwie Rit niczemu już się nie dziwił. Wiedział, że dla Hatów stanowili rzadkie, niezwykle ciekawe obiekty doświadczalne. Na przykładzie Alby wiedział, że celem tych eksperymentów jest zmiana osobowości przybyszów z Nurra. Czy nadal zamierzali stosować swe nieczne praktyki? Z uwagą wpatrywał się w olbrzymi, z wielu najróżniejszych elementów zbudowany pierścień. Jego konstrukcja przywołała mu na myśl greziowatron sferoidalny. Chociaż? Czyżby jeden z podstawowych elementów służących do wytwarzania pola siły mógł być znany Hatom? Przecież urządzenia, pojazdy czy maszyny, które Rit miał możliwość obejrzeć, świadczyły o tym, że technika istot tworzących cywilizację Hat była znacznie niższa od tej, jaką reprezentowali Nurrowie. W tym momencie przypomniał sobie rudę o właściwościach promieniotwórczych. Wszystko wskazywało na to, że używano jej do produkcji energii jądrowej. Jeśli tak było w istocie, to jego wyobrażenia o wiedzy technicznej Hatów były znacznie uproszczone. Jak to właściwie jest? Z jednej strony prymitywne pojazdy silnikowe, a z drugiej reaktor i coś, co przypomina szczyt osiągnięć techniki Nurrów, czyli greziowatron sferoidalny.

Rit z niemałym wysiłkiem przekręcił głowę na drugi bok. Własna bezsilność budziła w nim nie tyle lęk, co zubożenie. Intuicyjnie wyczuł, że nie jest już zdolny wydostać się z murów miasta-twierdzy i dlatego zarówno on, jak i Alba zdani są na łaskę Hatów. Jeszcze do niedawna liczył na Ata. Sądził, że właśnie jemu udała się ucieczka i że At pośpieszy im z pomocą. Ale jak dotąd nic na to nie wskazywało.

Rozmyślenia Rita przerwały odgłosy zbliżających się kroków. Zacisnął powieki. Gdy je otworzył, stwierdził z niemałym zdziwieniem, że dwaj Hatowie uśmiechają się do niego. Odziani w srebrzyste kombinezony, na głowach mieli podłużne, opadające aż na ramiona hełmy. Rozmawiali z sobą gestykułując przy tym zawzięcie. Dopiero po chwili Rit zrozumiał, że chcą mu przekazać ważną informację. Z niemałym wysiłkiem uniósł nieco głowę i wskazując wzrokiem na bezwładne ręce dawał im do zrozumienia, że jest bezsilny. Wówczas starszy z nich obszedł urządzenie z potężnym wysięgiem ramion, w które wmontowany był

pierścień, i wyłączył maszynę. Tymczasem drugi Hat z niewielkim przyrządem w dłoni nachylił się nad Ritem. Dotykał nim czoła, piersi i nóg leżącego. Badanie musiało wypaść pomyślnie, skoro dał znak, aby Rit się podniósł. Ale on, mimo że bezwład minął, nie miał jeszcze siły. Hatowie pomogli mu i usadowili go na niskim stołku. Jeden obnażył mu ramię, drugi nieustannie powtarzał kilka słów, których treść usiłował zilustrować gestami. Po kilku próbach Rit wreszcie zrozumiał. Starszy Hat tłumaczył mu, że on i jego towarzysze są jego przyjaciółmi. Szukają jego i Alby od kilku godzin. Chcą im pomóc w ucieczce. Podobno z opuszczeniem miasta-twierdzy są pewne trudności. Jakże? Tego już Rit nie mógł zrozumieć.

Podczas gdy jeden z Hatów przekonywał Rita o swych przyjacielskich intencjach, drugi wbił mu w obnażone ciało igłę. Rit zachnął się. Stracił z ramienia dłoń tamtego, ale Hat nie przerwał zastrzyku. Drugi przytrzymał mu rękę. Kiedy Rit spojrzał mu w oczy zagniewanym wzrokiem, pokręcił głową z dezaprobatą. Niespodziewany zabieg wzbudził nieufność Rita. Nie panując nad sobą wykrzyknął:

— Co wy robicie! Jak można bez wcześniejszych prób wstrzykiwać coś do innego niż wasz organizm? Przecież nie wiecie, jak mój organizm na to zareaguje!

Pytanie zostało bez odpowiedzi. Niezadowolonemu Ritowi starszy Hat znowu zaczął coś tłumaczyć, ale właśnie wtedy, gdzieś z głębi, jakby zza muru, rozległ się ostry, buczący dźwięk syreny. Niemal jednocześnie w pomieszczeniu przygasło światło. Hatowie chwilę naradzali się gorączkowo, prawdopodobnie zaskoczeni sygnałem. Potem młodszy z nich dał znak Ritowi, aby szedł za nim. Ale Nurra ciągle jeszcze był osłabiony. Ledwie zrobił trzy kroki, a byłby upadł. Widząc to Hat przyklęknął i wziął go na ramiona. Tymczasem z pomieszczenia obok wrócił drugi Hat. Miał na barkach bezwładnie zwisające ciało Alby. Hatowie najwyraźniej spieszyli się.

Rit pamiętał, że niesiono go korytarzem, który był podobny do opadającego w dół chodnika kopalni. Słyszał cichy plusk sączących się ze ścian kropli wody i przyspieszony z wysiłku oddech niosącego. Teraz nie miał już wątpliwości co do przyjaznych zamiarów Hatów. Upewnił się w tym, widząc, jak obaj Hatowie zamarli w bezruchu, gdy usłyszeli gdzieś w górnych pomieszczeniach tupot biegnących strażników i ich gardłowe, wściekłe okrzyki. Usiłowali ustalić kierunek pościgu. Potem znowu przyspieszyli kroku. Wyczerpani dopadli wreszcie drzwiczek do dawno nie używanej windy górniczej. Ułożyli w niej ciągle jeszcze nieprzytomną Albę i Rita. Starszy Hat zaczął mu znowu tłumaczyć coś szybko i niecierpliwie. Z jego gestów kosmita zrozumiał tylko tyle, że oboje zostaną ukryci i muszą czekać cierpliwie, aż po nich przyjdą. Rit niemal bezwiednie skinął głową. Starszy Hat zawrócił, a młodszy uruchomił windę. Zjechali w dół. W miarę, jak zjeżdżali w głąb planety, Rit czuł ogarniający

go wilgotny chłód. Widocznie organizm jego potrzebował wilgoci i chłodu, bo poczuł się lepiej. Podobnie było z Albą, która ocknęła się z omdlenia. Kiedy więc winda zatrzymała się, mogła już, opierając się na ramieniu Rita, ruszyć o własnych siłach. Zagłębili się w ciemny labirynt wykutych w skale sztolni. W przodzie z latarką w ręku szedł Hat. Światło latarki omiało podłozę, ściany i strop. Korytarz sztolni ciągnął się zygzakiem, a jego ściany zwężały się, to znowu rozszerzały w licznych uskokach i nawisach szarej, połyskującej w świetle skały. Podobny był do łożyska wyschniętego strumienia. Kiedy minęli kolejny zakręt, Hat zatrzymał się przy głębokiej jamie. Zapraszającym gestem dał Ritowi do zrozumienia, że właśnie tutaj będzie jego i Alby kryjówka. Rit ulokował w niej przyjaciółkę, a sam z czasem w ręku usiłował ustalić ze swym przewodnikiem, kiedy należy spodziewać się jego powrotu. Ale ten, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi, uparcie kreślił palcem na dłoni Rita kółko. Dla Rita okrąg miał wieloznaczną wymowę. Mógł oznaczać równie dobrze godzinę, jak i dobę. Co w tej sytuacji mógł poczuć? Ruszyć z Albą w mroczny labirynt sztolni, nieczynnej być może od dziesiątków lat kopalni — lub czekać. Nauczony smutnym doświadczeniem, wybrał to drugie.

Po ostatnich wydarzeniach Rit był już przeświadczony, że bez pomocy osoby obeznannej z planem tej ogromnej budowli, sami nigdy się z niej nie wydostaną. Czy jednak ci, którzy w krytycznej chwili podali im rękę, zasługują na zaufanie? Czy ich troskliwość, życzliwość nie jest wybiegiem? Z zachowania Hatów wynikało, że są oni przeciwnikami ustalonego w mieście-twierdzy porządku. Czyżby więc na planecie Hat było więcej podobnych, rywalizujących z sobą miast-twierdz? A jeśli tak, to czy ci dwaj Hatowie nie chcą wykraść ich, by przeprowadzić na nich eksperymenty w innym mieście? Tak czy inaczej, Rit postanowił czekać. Wślizgnął się do jamy i w pozycji pólężącej ułożył się obok Alby. Obserwując w świetle latarki jej twarz, odniósł wrażenie, że Alba pogrążona jest w niespokojnym śnie. Kiedy jednak delikatnie pogładził dłonią jej ramię, dziewczyna otworzyła oczy.

— Gdzie jesteśmy, Rit? — jęknęła.

W oczach jej mieszało się zwątpienie i strach.

— Mam wrażenie, że nigdy już nie uda nam się wydostać z tego ponurego domu śmierci — dodała miękko, nabrzmiętym od żalu głosem.

Rit uśmiechnął się. Próbował ją pocieszyć.

— I ja tak myślałem. Było to wtedy, kiedy znaleźliśmy się w pomieszczeniu z promieniotwórczą rudą. Wtedy to pomyślałem... — urwał.

Olśniony nagłą myślą gorączkowo szukał w torbie licznika. Znalazł. Z bijącym sercem przyłożył czułki licznika do piersi. Wskazówka drgnęła lekko i przesunęła się o cztery

kreseczki. Przesunął licznik do nóg. To samo. Uniesiony radością przesunął czułkami po ciele Alby. Wskazówka wychyliła się zaledwie o trzy kreseczki. Rit wybuchnął radosnym śmiechem.

— Nie do wiary, a jednak przyrząd nie kłamie! — wołał szczerze wzruszony. — Jesteśmy uratowani. Czy ty, Alba, wiesz, że nasze ciała jeszcze dwie godziny temu wykazywały napromieniowanie wynoszące piętnaście kin? A teraz? Patrz! — Jeszcze raz dotknął przewodem swych piersi. Jednocześnie podsunął Albie przed oczy główkę licznika.

— Widzisz?

Alba ożywiła się.

— Rzeczywiście — szepnęła zdumiona. — Licznik wykazuje zaledwie cztery dziesiąte kin, a to jest znacznie poniżej normy.

— Właśnie — podchwycił Rit. — To znaczy, że ci dwaj Hatowie umieścili nas w urządzeniach mających właściwości odkażające. Teraz już wiem, jaką funkcję spełniał magnetyczny pierścień pola siły. Był to neutralizator ciężkich massino.

Rit schował licznik. Objął Albę ramieniem, a ona, jakby złakniona ciepła i bezpieczeństwa, przytuliła głowę do jego piersi.

— Jak dobrze mieć przy sobie kogoś bliskiego — westchnęła. — Czuć ciepło jego ciała, słuchać słów przywracających nadzieję. Tak mi tego brakowało, Rit — odruchowo ścisnęła jego ramię. — Już nie wiedziałam jak i gdzie ja żyję.

Rita wzruszyło wyznanie Alby. Pomyślał, że At źle zrobił zabierając dziewczynę w kosmiczną podróż. Jego własne obserwacje potwierdzały starą tezę, że kobiety z planety Nurra nie mają tej odporności psychicznej co mężczyźni. Powiedział z troską w głosie:

— Wiem, że bardzo przeżyłaś eksperyment, któremu cię poddano. Ja dzięki przypadkowi go uniknąłem. Ale — ciągnął tym samym, miękkim, uspokajającym głosem — ja wierzę tym dwóm Hatom. Oni są dobrzy. Myślę, Alba — dodał po chwili — że podobnie jak na naszej planecie jedni są dobrzy, inni źli. I myślę jeszcze, że tak jest wszędzie, gdzie rozwinęły się istoty rozumne.

— Być może, że tak jest — ożywiła się Alba. — Wiadomo przecież, że w żadnym gatunku materii żywej nie ma identyczności. Jeśli drzewa, a nawet kwiaty tego samego gatunku różnią się wyglądem, to tym większe zróżnicowanie powinno występować wśród organizmów zorganizowanych. Nie sądzisz?

— Myślę, że tak właśnie jest — przytaknął skwapliwie.

Rit cieszył się, że Alba nie mówi już od rzeczy, że myśli logicznie. W tej chwili nie miało to znaczenia, że wypowiedane przez nią sądy były naiwne. Istotne było, że potrafiła

kojarzyć pewne fakty i wyciągać z nich wnioski. Napawało to Rita otuchą. Teraz był już pewien, że zaburzenia umysłowe u Alby nie były aż tak groźne. Wprawdzie ciągle jeszcze nie wiedziała, kim właściwie jest, ale nie opowiadała już bzdurnych historii o Wielkim Rozumie. Chociaż? Coś w tym musiało być, skoro Hatowie w rozmowie z nim starali się wielokrotnie dać mu do zrozumienia, że władzę na planecie Hat sprawuje ktoś, kto ma wielki mózg. Jednakże Rit sądził, że jest to tylko jakieś uogólnienie pojęcia mądrości. Jak naprawdę układały się na Hat stosunki społeczne i kto rządził planetą, tego nie wiedział. Ostatecznie nie było to już dla niego ważne. Marzeniem Rita było osiągnięcie Pirny i jak najszybszy start. Nie chciał dłużej przebywać wśród istot, które przybyszów z innej planety potraktowały jako ciekawe, nadające się do eksperymentów przypadki. Ich pokojowe intencje zostały przez Hatów źle albo w ogóle nie zrozumiane. Od chwili wylądowania na Hat byli śledzeni z ukrycia, nikt nie wyszedł im na spotkanie, natomiast zostali ostrzelani.

Swoboda ruchów Nurrów była pozorna. Jakieś dobrze ukryte oczy śledziły każdy ich ruch. Jeśli jego rozumowanie jest prawidłowe, to jaką może mieć pewność, że owe wszytkowidzące oczy nie wysledziły ich i tym razem? Na tę myśl Rit poczuł zimny dreszcz. Instyktownie przywarł do Alby. Również ona, broniąc się przed chłodem, przywarła do niego skulona, dygocąca. Ponura, przedłużająca się w niepewności sytuacja ciążyła Ritowi. Próbuując się przed nią bronić zaczął opowiadać Albie, jak kiedyś, gdy był jeszcze pilotem pojazdów transportowych bliskiego zasięgu, leciał nad biegunem. Wszystko zdawało się przebiegać normalnie. Praca silników, kurs, wysokość, stan paliwa, nic nie zapowiadało awarii silnika. Właśnie gdy Rit w doskonałym humorze zasiadł do drugiego śniadania, drugi pilot dostrzegł snop iskier. Ponieważ zjawisko nie powtórzyło się, pilot zlekceważył je sądząc, że był to chwilowy defekt, powstały podczas spalania się mieszanki. Wynik błędnej oceny nie dał na siebie długo czekać. Rit kończył jedzenie, gdy ciężka maszyna tracąc statyczność runęła w dół. W narastającym wirze korkociągu Rit stracił nadzieję na wyprowadzenie maszyny z niebezpieczeństwa. Jednak do końca walczył o życie. Upór opłacił się. Na wysokości trzech tysięcy metrów, gdy wierzchołki gór lodowych zdawały się wyciągać po ofiary swe ostre ramiona, Ritowi udało się wyprowadzić pojazd z karkołomnego lotu. Lądowanie odbyło się na zaśnieżonej przełęczy i mimo złych warunków przebiegało na tyle szczęśliwie, że obaj piloci wyszli z niego bez ran. Pojazd uległ częściowemu rozbiciu. Rit obawiając się pożaru w ostatniej chwili wyłączył pozostałe silniki. Potem, gdy w oczekiwaniu na pomoc leżeli w pół-rozbitej kabinie, tak jak teraz kulili się z zimna. Pomoc nie nadchodziła, ciała ich sztywniały, postanowili więc spalić ładunek. I ten prosty pomysł uratował im życie. Ogrzali zmarznięte ciała, ale, co najważniejsze, dopiero błyski ognia pozwoliły poszukującym ich w szalejącej

zamieci śnieżnej sondom zlokalizować rozbity transportowiec.

Rozmarzył się Rit na wspomnienie o ciepłe ogniska. Rozejrzał się czy gdzieś nie ma łatwopalnego materiału. Alba odgadła jego zamiar.

— Chciałbyś pewnie rozpaść ogień? — zagadnęła.

Rit skinął głową.

— Od czasu katastrofy transportowca nie widziałem ogniska.

— Ja również — przyznała.

Teraz wybuchnęła śmiechem.

— O czym my mówimy? O ogniu? Przecież nasza cywilizacja nie używa ognia jako energii od ponad tysiąca lat.

— Wiem. A jednak przydałby się nawet nikły płomyk.

Zapewne — przytaknęła Alba rozcierając zmarzniete dłonie.

Właśnie wtedy usłyszeli jakieś kroki. Na wszelki wypadek Rit wydobyl niezawodną jak dotąd broń i zgasił latarkę. Ale głosy zbliżających się Hatów upewniły go, że są to ci sami, którzy ich tutaj przyprowadzili. Przybysze nie ukrywali podniecenia. Gestami przynaglali Rita do pośpiechu. Ten podtrzymując słabą jeszcze Albę, w miarę swych sił starał się dotrzymać im kroku.

Kiedy z krętego korytarza wydostali się na szeroki, regularnie wyciosany chodnik, Rit odetchnął z ulgą. Skalne, równe podłoże pozwalało na przyspieszenie kroku. Jednostajny, rytmiczny chrzęst idących zwielokrotniony był metalicznie brzmiącym echem. Rit zaczął już odczuwać zmęczenie, gdy idący w przodzie Hatowie zatrzymali się. Stali przed potężną metalową kratą zagrządzającą wyjście. Hatowie próbowali uruchomić umieszczony obok dźwig, który kiedyś prawdopodobnie służył do unoszenia kraty. Ale wysiłki ich spełzły na niczym. Przeżarte rdzą liny nie wytrzymały ciężaru. Pękły przy drugiej próbie. Kit zorientował się, że przeszkoda zaskoczyła Hatów, że są wobec niej bezsilni. Z wrażenia doznał zawrotu głowy. Czyżby ich wysiłek miał iść na marne? Chwilę oceniał wytrzymałość metalowych prętów. Za nimi w półmroku widać było odległy zarys górskiego zbocza. Gdzieś, jakby u dołu kraty, szeleściła woda. Kit słyszał za sobą podniecone głosy spierających się o coś Hatów. Stał u progu upragnionej wolności, do której drogę zagrządzała krata. Drżącymi rękami wyciągnął z torby romi. Niepokoiło go tylko jedno — czy wystarczy energii do zniszczenia krat? Z bijącym sercem nakazał Hatom, aby się cofnęli. Posłusznie wykonali polecenie. Aby zużyć jak najmniejszą ilość energii, postanowił wykonać w kracie otwór w kształcie koła. Z bezpiecznej odległości nacisnął przycisk wyzwalający wiązkę energii. Cieniutki, jak ostrze noża, promień przeciął powietrze. W zetknięciu z metalem sypnął iskrami i sycząc począł przecinać pręty.

Spoza pleców Rita Hatowie z natężoną uwagą obserwowali przebieg nie znanej im operacji. W przepalonych miejscach metal pod wpływem wewnętrznych napięć wyginał się ku środkowi, aż w pewnej chwili krata runęła w dół.

Z ust Hatów wyrwał się okrzyk podziwu. W świetle latarki z zaciekawieniem oglądali niezwyklej aparat. Rit zabezpieczył romi i z dumą pokazał niewielki aparat. Jednakże Alba, uszczęśliwiona odzyskaną wolnością, przynaglała do kontynuowania ucieczki, ciągnąc Rita za ramię. Rit schował romi i dał Hatom znak do drogi, pierwszy przekroczył zniszczone wrota.

Świeży powiew wiatru podziałał na niego odurzająco. Również Alba oddychając głęboko poczuła, że nogi jej wiotczeją, a horyzont dziwnie faluje. Potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie młodszy Hat, który ją podtrzymał w porę. Rit stwierdził ze zdumieniem, że stoją nad korytem spienionej rzeki. Nad nimi piętrzył się poszarpany, groźnie wyglądający nawis skalnego brzegu, a po drugiej stronie w słabym blasku późnego wieczoru dostrzec można było wzgórze. Spostrzegł również, że kilkadziesiąt metrów w prawo rzeka wynurza się szerokim łukiem z mrocznego kanionu. Widok wielkiego zakrętu upewnił go, że gdzieś niedaleko na skalnej półce znajduje się Pirna. Podniecony tą myślą ruszył wąską ścieżką, prowadząc za rękę uradowaną Albę. Nie pomogły protesty Hatów. Tłumaczyli coś Ritowi z uporem i zawzięcie, jakby ostrzegali przed czającym się gdzieś na drodze niebezpieczeństwem. Pochłonięty myślą o statku, nie bacząc na wrzaskliwe uwagi Hatów, Rit ruszył pod górę. Widząc, że nic nie wskórają, opiekunowie poszli jego śladem.

Ledwie Rit i Alba osiągnęli wyniosłą krawędź brzegu, gdy gęstniejący mrok rozjaśniły cztery następujące po sobie błyski. Płynące gdzieś z góry szerokie pasma białego światła w regularnych odstępach czasu omiały całą okolicę. Światło było tak jaskrawe, że kiedy smuga powróciła, Alba wydała trwożny okrzyk, a Rit dłonią zasłonił oczy. Przez chwilę usiłował zlokalizować źródło światła, ale ku swemu zdumieniu stwierdził, że jest to niemożliwe. Smuga brała swój początek z wysokości około tysiąca metrów, tak jakby źródło światła zawieszona było nad powłoką gromadzących się chmur. Czyżby pasma światła pochodziły z niematerialnego źródła zasilania? — przemknęła mu myśl. Była ona tak nieprawdopodobna, że roześmiał się, co zwróciło uwagę Alby.

— Myślisz, że odnajdziemy rakietę? — zagadnęła.

— Co do tego nie mam wątpliwości — odpowiedział bez przekonania.

— Wiesz — zająknęła się — odnoszę wrażenie, jakbyśmy szli w niewłaściwym kierunku.

— O czym ty mówisz? — wrzasnął nie panując nad sobą Rit.

Dostrzegł przerażony wzrok Alby i łagodniej dodał:

— Dobrze idziemy. A ty, Alba, jeśli chcesz opuścić tę przeklętą planetę, lepiej nie zadawaj takich pytań, a rób, co każe.

Alba nie odpowiedziała, opuściła głowę i przyspieszyła kroku starając się zrównać z wyprzedzającym ją Ritem.

Szli piaszczystą, wznoszącą się ku widniejącym na horyzoncie wzgórzom drogą. Wyznaczały ją pojedyncze głazy, tu i ówdzie wynurzające się z kopczyków usypanych przez lotne piaski. Grozę martwego krajobrazu potęgowała cisza. Hatowie raz jeszcze usiłowali nakłonić Rita, by zawrócił. Odprawił ich stanowczym gestem i jakby chcąc zmanifestować swoją wolę — przyspieszył kroku. Tymczasem smugi tajemniczego światła znowu omiotły ich rażącym światłem. Trzy z nich powędrowały dalej, natomiast przy ostatniej...

Hatowie ciągnąc z sobą Albę rzucili się ku najbliższej skale. Dopadli jej i schronili się za nią. Rit tego nie zrobił. Uparcie kroczył przed siebie, nie zwracając uwagi na nawoływania Hatów. Mrużąc oślepienie światłem oczy z radością stwierdził, że od kanionu dzieli go nie więcej niż trzysta metrów. Tam strome ściany skał i liczne rozpadliny dadzą mu schronienie. Po chwili jednak, oszołomiony nieco nadmiarem światła, zatrzymał się i krzyknął na Albę, by szła za nim. Odpowiedziała coś, czego nie zrozumiał, ale pozostała w ukryciu. Wtedy przyspieszył kroku, zaczął biec drobnym truchtem. Przeraził się, gdy w pewnej chwili stwierdził, że z jego wzrokiem zaczyna być niedobrze. Najpierw rozmazała się linia horyzontu, a już po chwili stwierdził, że wszystko wokół niego ginie w białej mgle. Biała mgła gęstniała z każdą sekundą, przybierając różowe zabarwienie. Potem wszystko wokół niego zaczęło płonąć. Drobne języki ognia pojawiały się ze wszystkich stron. Nie mógł, nie potrafił skryć się przed nimi. Łączyły się z sobą, tworząc jedno wielkie morze płomieni. Na szczęście płomienie były zimne. Ale ten fakt w niczym nie zmieniał jego tragicznej sytuacji. Szedł potykając się o odłamki skał z mocnym postanowieniem przezwyciężenia tej straszliwej smugi, która go oślepiała. Wierzył, że mimo wszystko osiągnie upragnioną dolinę. Nie przewidział jednak, że jego przeciwnik posiada i inne środki szybkiego reagowania. To co nastąpiło w ciągu najbliższych kilku minut, utwierdziło go w przekonaniu, że popełnił błąd nie słuchając Hatów.

Daleki zrazu pomruk silnika jakiegoś pojazdu przeszedł w gróźnie narastający grzmot i Rit podświadomie poczuł, że w górze dzieje się coś niezwykłego. Ale kiedy ryk pikującej tuż nad jego głową maszyny osiągnął maksimum, oszołomiony i ślepy próbował ucieczki. Instynkt samozachowawczy nakazywał, aby zaraz, natychmiast ukryć się przed atakującym wrogiem. Biegł z wyciągniętymi rękoma, starając się znaleźć jakiegokolwiek schronienie, ale piaszczysta równina nie miała niczego, co mogłoby posłużyć ośleplemu, oszalałemu z przera-

zenia Nurrowi, za kryjówkę. Huk rozrywanych pocisków mieszał się z posępnym wyciem nurkującego pojazdu. Rit ciągle biegł. Wydawało mu się, że gdzieś w pobliżu znajdować się powinno rumowisko skał. Teraz wiedział już, że walczy o życie. Zrobił jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek nie wiedząc, że biegnie w kółko.

Ponowny atak pilota okazał się dla Rita fatalny w skutkach. Pocisk rozerwał się pod jego stopami. Wyrzucony podmuchem w górę zamachnął bezradnie rękami. Upadł skulony. Ból w piersiach był piekący, utrudniał oddychanie. Nim stracił przytomność, poczuł, że w ustach ma pełno krwi.

At z uwagą obserwował zapis wysokościomierza. Co trzy sekundy zielone, świecące cyferki wypełniały oszklone okienko urządzenia, podając z dokładnością do kilku centymetrów lot rakiety względem powierzchni planety Hat. Z wykonywanego przez inny przyrząd wykresu At wiedział, że Pirna zachowuje zaprogramowane parametry, krąży po wydłużonej elipsie. Jednakże tor grawitowania rakiety nie odpowiadał zamiarom Ata. Dążył do uzyskania maksymalnego zbliżenia pojazdu względem interesującego go kwadratu, skorygował więc przekazane komputerowi dane. Potem podszedł do okularów teleskopu. Zbliżył się czas kolejnej obserwacji. Pirna wchodziła bowiem w zacięzioną półkulę planety, a tam znajdował się interesujący Ata kwadrat. Dotychczasowe obserwacje nie ujawniły nic nowego. At z napięciem oczekiwał jakiejś wiadomości bądź sygnału z powierzchni Hat. Podpowiedzianą mu przez Teo akcję z środkiem paraliżującym uznał za mało efektywną i odrzucił ją. Analizując raz jeszcze własne możliwości uznał, że jedyny skuteczny środek to zniszczenie miasta-twierdzy. Nie miał jednak pewności, czy Kuszowi udało się ucieczka i czy przedsięwziął on działania zmierzające do wyprowadzenia Alby i Rita z ponurej siedziby Wielkiego Rozumu. Toteż nie mógł przystąpić do ataku. Z uwagą śledził rozwój wydarzeń, starając się za pomocą dostępnych mu środków określić sytuację. Włączył potężną aparaturę nasłuchu i nieustannie, na ile pozwalały na to warunki, prowadził obserwację interesującego go wycinka planety. Ale godziny mijały i nic nie wskazywało, aby coś się zmieniło. Działo to na Ata deprymująco. Gdy pędząca z ogromną szybkością rakietą ponownie weszła w sferę cienia, At przywarł oczami do okularów lunety. Widział dokładnie wierzchołki wzgórz, wielki kanion i emanującą tajemniczym blaskiem kopułę miasta-twierdzy. Nagle pustynny płaskowyż zajaśniał tańczącymi pasmami światła. Szły one gdzieś z góry. Ata zaintrygował pojazd. Był podobny do maszyn, które zaatakowały go, gdy razem z Kuszem i pilotem odnalazł Pirnę. Odpierając atak zmuszony był wówczas zniszczyć oba pojazdy. Czyżby i teraz wysłano podobny, aby atakował? Ledwie w świadomości Ata pojawiło się to przypuszczenie, gdy w dole, jakby na

potwierdzenie, ukazały się białe błyski wybuchów. W pewnej chwili At wstrzymał oddech z wrażenia. W jasnej smudze światła ujrzał kręcącą się bezradnie istotę, próbującą uciekać. Jednakże podczas następnego ataku pocisk ją dosięgnął. Uciekający osobnik rozkrzyżował ramiona, a potem legł skulony, ledwie widoczny na tle jasnego piasku pustyni. Zaraz też zgasło zawieszone gdzieś w chmurze światło i At widział już tylko drobne światełka miasta ciągnącego się poza obszarem piasków pustyni. Trwające kilka minut zdarzenie zaważnęło wyobraźnię Ata. Intuicja mówiła mu, że uciekający przed pociskami to nikt inny, jak Rit. Przeświadczenie to było tak silne, że postanowił lądować. Niepokój Ata wzmógł się, gdy po kilkunastu minutach z głośnika nasłuchu doleciały go jakieś dziwne szmery. Manipulując gałkami zwiększył selektywność odbioru na tyle, że mógł wyraźnie usłyszeć ciężki, przerywany bólem oddech. Czyżby głos Rita? Wiedział, że jego przyjaciel miał z sobą małego aparat nadawczo-odbiorczy o częstotliwości odpowiadającej jednemu z bloków aparatu zainstalowanego na Pirnie. Ten właśnie blok od kilku już godzin nieustannie pracował.

Podniecony At włączył nadajnik.

— Czy to ty, Rit? — krzyczał w mikrofon. — I zaraz dodał błagalnym głosem: — Odezwij się. Powiedz choć słowo. Czy słyszysz mnie? To ja, At. Grawituję na wysokości około dwustu kilometrów od powierzchni Hat. Od dwunastu godzin czekam na jakiś sygnał...

At zniecierpliwiony własnym gadaniem przestawił włącznik na odbiór. Ciągłe jeszcze słyszał chrapliwy, jakby z trudem wydobywający się ze ściśniętej krtani oddech.

Potem, gdy rakieta zataczając ogromny łuk, weszła znowu w oświetloną półkulę planety, odbiór urwał się. Zdenerwowany At przystąpił do zmiany trajektorii lotu pojazdu. Nie zamierzał czekać bezczynnie. Włączył więc główny silnik rakiety i manipulując pomocniczymi, zmienił kurs lotu pojazdu o trzydzieści stopni. Mógł teraz krążyć wokół interesującego go terytorium. Wszystko to zabrało Atowi nieco czasu. Kiedy więc ponownie znalazł się nad obszarem miasta-twierdzy, dochodziła północ. Był to czas liczony według zegara Hatów, bo czasomierz Ata wskazywał sześćdziesiąt osiem na dwadzieścia dziewięć obrotów Nurra względem Nu. Teraz, kiedy rakieta obniżyła lot, spełnione zostały warunki względnie dobrego odbioru nawet dla tak słabego nadajnika, jakim dysponował Rit. Przewidywania Ata okazały się trafne. Ale ku swemu zdumieniu z głośnika usłyszał głos Alby. Wzywała pomocy. Słabym, drżącym z podniecenia głosem relacjonowała tragiczną sytuację Rita. Z chaotycznych słów Alby At nie bardzo mógł zrozumieć, co się właściwie stało. Starał się więc nakłonić Albę, aby mówiła spokojnie.

— Alba, to ja, At. Słyszę cię dobrze, ale nie rozumiem, co z wami. Gdzie jest Rit? Co tam się dzieje? Opowiedz mi, tylko spokojnie — prosił.

W odpowiedzi usłyszał cichy płacz. Nie miał już wątpliwości. Teraz pewien już był, że to, co przypadkowo zaobserwował niepełne trzy godziny temu, dotyczyło Rita. Nie mógł się powstrzymać, aby nie zganić przyjaciółki.

— Przystań płakać i mów! — wykrzyknął rozdrażnionym głosem.

To poskutkowało. Alba przestała płakać.

— Co tu jest do powiedzenia — stwierdziła smutno. — Rit leży ciężko ranny i od trzech godzin nieprzytomny. A ja — dodała lękliwie i zawahała się — sama już nie wiem, co ze mną. Jestem tak strasznie słaba. Myśli mi się płaczą... Rit zabity...

— Jak to zabity? — przerwał jej ostrym głosem nie panując już nad sobą. — Przed chwilą mówiłaś, że jest ranny, więc jak to naprawdę jest?

— Naprawdę to on żyje. Tylko ci nasi przyjaciele, co pomogli nam w ucieczce, bezradnie rozkładają ręce.

Ta ostatnia wiadomość ucieszyła Ata. Wynikało z niej, że Kusz uszedł pogoni i zorganizował ucieczkę Albie i Ritowi. Prawdopodobnie strażnicy Wielkiego Rozumu musieli ją wykryć, skoro zaatakowali uciekających. Jak to się jednak stało, że uciekał tylko Rit? Czyżby tamci pozostawili go swemu losowi? Nie, to niemożliwe. Przecież Tukowie wobec niego byli lojalni i życzliwi.

— Tak — stwierdził głośno At. — Jeśli Rit podczas pościgu został ciężko ranny, to winne są okoliczności, Tukowie nie zdradzili.

Powiedział to nie zwracając uwagi na fakt, że nadajnik był włączony. W odpowiedzi usłyszał zdziwiony, a zarazem przerażony głos Alby.

— O czym ty mówisz, At? O zdradzie, o jakichś Tukach? Doprawdy, nic z tego nie rozumiem. A może — dodała ściszym głosem — mnie naprawdę pomieszało się w głowie?

Co miał powiedzieć tej przestraszonej dziewczynie?

— Uspokój się, Alba. Jesteś pod wpływem szoku. Powiedz mi — zawiesił na chwilę głos — gdzie się znajdujecie i czy ktoś opiekuje się Ritem?

— Czy ja wiem, gdzie jesteśmy? W jakiejś jaskini wśród gór — wyjaśniła bezradnie. — A Ritem opiekuję się ja i oni też.

— Ilu ich jest? — zapytał jeszcze.

— Czterech — brzmiała odpowiedź.

At ucieszył się. Pomyślał, że skoro jest ich czterech, to możliwe, że jeden z nich to lekarz. Kazał Albie przywołać do mikrofonu Kusza. Gdy usłyszał jego głos, jękając się i zacinając powiedział w języku Hatów:

— Ja atakować. Wy, Tukowie, chować się.

W odpowiedzi usłyszał szybkie, gardłowe słowa, których treści nie rozumiał. Krzyknął jeszcze do Alby, aby pod żadnym pozorem nie opuszczała jaskini. Wyłączył nadajnik. Uznał, że nie miało sensu kontynuowanie dalszej rozmowy. Zrozumiał, że od jego działania zależy życie Rita. Zdawał sobie sprawę, że tylko leki wyprodukowane przez cywilizację Nurrów mogą go uratować. Spojrzał na wielki elektroniczny czasomierz umieszczony ponad sterami. Czarne cyferki migają tak szybko, że ich ruchu nie można było dostrzec. Obliczył, że na zniszczenie miasta-twierdzy i na lądowanie potrzebuje dwadzieścia kilka minut. Wydawało mu się to zbyt dużo. Aby uratować Rita, już powinien rozpocząć lądowanie. Wbiegł do kabiny pilota. Wyłączył komputer. Teraz sam prowadził raketę. Uświadomił to sobie i czując ogrom odpowiedzialności, poczuł, że po twarzy spływa mu pot. Wytarł twarz dłonią. Spojrzenie Ata nieustannie błędziło po przyrządach, reagując na każde, nawet zdawałoby się mało istotne odchylenie zegarów. Kiedy włączył silniki hamowania i ustawił raketę pionowo, stwierdził, że Pirna znajduje się dokładnie na wysokości osiemdziesięciu kilometrów nad siedzibą Wielkiego Rozumu. Włączył automat kontrolujący i regulujący szybkość opadania i wspiął się do wieżyczki, gdzie mieściła się wyrzutnia.

Emanująca poświatą kopuła, mimo białych obłoczków, stanowiła doskonały cel. Potężny obiekt można było zniszczyć z każdej wysokości. Istniało wszakże pewne niebezpieczeństwo, z którego At zdawał sobie sprawę. Wiedział, że gdyby wystrzelił pocisk na znacznej wysokości, to jego wybuch nastąpiłby już w górnych warstwach atmosfery. Wynikało to z odwrotnie proporcjonalnie wzrastającego współczynnika tarcia, na jakie narażone było każde ciało wpadające z wielką prędkością w gęste warstwy atmosfery. Nie tylko ta okoliczność przemawiała za tym, aby pocisk wystrzelić z niskiego pułapu. At celowo zwlekał. Liczył na to, a przynajmniej miał nadzieję, że Kusz jego ostrzeżenie zrozumiał i właśnie trwa opuszczanie przez Tuków miasta-twierdzy. Przez szkła celownika nieustannie obserwował cel. Zbliżał się do niego z jednostajną prędkością opadającej na hamujących silnikach rakiety. Gdy Pirna znalazła się w górnych warstwach atmosfery planety Hat, rozerwały się pod nią pierwsze pociski. Na tej wysokości nie były one groźne. Jaka będzie siła ich wybuchu w gęstych warstwach? — zastanawiał się At.

Z niepokojem obserwował otaczający Pirnę pierścień ognistych wybuchów. Gdy okrąg zacisnął się, At postanowił dłużej nie ryzykować. W podnośnik ładowniczy wsunął pocisk średniej mocy. Nacisnął mechanizm wyrzutni. Dźwignia podnośnika precyzyjnie podała pocisk do komory wyrzutni. At raz jeszcze spojrzął w szkła celownika. Przesunął nieco czarny krzyż wyznaczający środek celu. Znajdowała się w nim emanująca tajemniczym światłem kopuła, pod którą w wielkiej szklanej kuli żył niezwykły stwór — Wielki Rozum. Pojazd był

na wysokości dwudziestu kilometrów, gdy At nacisnął dźwignię. Pocisk nuklearny pomknął ku wyznaczonemu celowi. Nie czekając na rezultaty wybuchu, At pobiegł do kabiny pilota. Wyprowadził raketę z pionowego opadania. Ledwie Pirna przyjęła pozycję poziomą, gdy potężny, wspinający się ponad obłoki szarych chmur błysk rozjaśnił pograżoną w ciemnościach północną półkulę planety Hat. Niesiony przez powietrze grzmot wybuchu dotarł do uszu Ata jak gniewny pomruk. I to było wszystko.

Teraz At manipulując silnikami zataczał raketą wielkie koła. Postanowił lądować w tym samym miejscu, co za pierwszym razem. Skalna półka była do tego najodpowiedniejsza. Spojrzał w lunetę. Gęsty, o srebrzystym odcieniu dym wspinał się pionowo, tworząc na wysokości tysiąca metrów skłębioną chmurę. Przysłaniała ona rozległy widok skalistych gór i cały obszar wielkiego kanionu. Po wybuchu było tam teraz ciemno i głucho.

Idąca z dołu martwa cisza była tak wielka, że w pewnej chwili At aż poczuł dreszcze. Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę z tego, co zrobił. Smutne refleksje pogłębiły się, gdy przypomniał sobie protest Kusza, który nie chciał dopuścić do zniszczenia miasta-twierdzy. Nie pragnął śmierci Wielkiego Rozumu, mimo że całe plemię Tuków buntowało się przeciwko niezwykłemu stworowi. At chciał zrozumieć ten dziwny, niepojęty dla niego paradoks, poznać jego podłoże. Nie mogąc sobie z nim poradzić uznał, że zawiera się w nim tajemnica planety Hat. Czy on, przybysz z odległej planety jest w stanie zrozumieć tych, którzy od tysiąca lat tworzyli własną cywilizację? Czy zatem tajemnica tej potężnej planety nie tkwi głęboko ukryta w psychice istot rozumnych tworzących tę cywilizację? Co on, Nurra, może powiedzieć o Hatach? To, że są od niego roślejsi, że mają jasną skórę i gardłowy, niski głos? To on pierwszy demonstrując potęgę własnej cywilizacji zniszczył coś, co było przez Hatów zwalczane, a jednocześnie bez czego nie potrafili żyć. Jednym przyciśnięciem dźwigni unicestwił materialny stwór wiecznej świadomości. Zrobił to wbrew woli tych, którzy go stworzyli, a dla których był on być może jedyną ideą. Jeśli jednak ta idea jest zła, okrutna, czy należy ją tolerować? Ale przecież ocena tego, co złe, a co dobre w rozumieniu Nurrów może różnić się diametralnie od oceny Hatów. Jeśli tak, to on, kosmita At, chcąc posiąść wiedzę o planecie Hat, nie powinien niczego na niej niszczyć.

At otarł spotniałe czoło. Właściwie nie cieszył się z osiągniętego zwycięstwa. Gdyby mieszkańcy planety byli butni i usiłovali z nim walczyć, At bez wahania zniszczyłby wszystkie ich ważniejsze ośrodki dyspozycyjne. Jego pojazd zaopatrzony był w dostateczną ilość pocisków średniej i dużej mocy. Tymczasem Hatowie, a zwłaszcza plemię Tuków, to naród nadspodziewanie spokojny i życzliwy im — kosmitom. Gdyby nie ten dziwny stwór, być może powitaliby załogę Pirny z kwiatami. Tak się jednak nie stało. At w obronie przyjaciół

sięgnął po jednoznacznie rozstrzygający argument. Czy dobrze zrobił?

Manewrując zmienną siłą napędu, At ustawił raketę w pozycji pionowej. Zanurzyła się w jasny, połyskliwy obłok wywołany wybuchem. Kiedy go minęła, At ujrzał ciemne, ponure rumowisko, nad którym unosiły się rude dymy. W świetle reflektora zobaczył spalone wraki pojazdów. Siła wybuchu rozruciła je po pustynnym piasku. Niektóre dopalały się jeszcze, niby błędne ogniki wyznaczały swój ślad zielonymi, wąłymi płomieniami. Nad tym wszystkim piętrzyły się wierzchołki skalistych turni. W brzasku wstającego dnia At dostrzegł, że ich porośnięte niegdyś krzewami zbocza pokryła warstwa popiołu. Dopiero gdy Pirna miotając strumieniami spalonych gazów osiadła miękko, At odetchnął. Nie zwlekając zszedł do kabiny nawigacyjnej.

Alba przebudziła się. Siedziała na niskim stołeczku z podkurczonymi nogami i sama nie wiedziała, kiedy zmorzył ją sen. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że w jej świadomości zrodziło się uczucie bezradności i strachu. Szok wywołany atakiem Hatów z powietrza był tak silny, że ciągle miała przed oczami tę okrutną scenę. Nie mogła pomóc Ritowi, widziała jak miotał się bezradnie, jak daremnie usiłował skryć się przed pociskami. Atak trwał kilka minut i Alba nie zauważyła nawet, kiedy Rit upadł. Dopiero gdy zapadły ciemności i ucichł warkot pojazdu, uświadomiła sobie, że stało się coś strasznego.

Potem szli jeszcze dość długo krętymi ścieżkami. Niesiony przez Hatów Rit wydawał przeciągłe jęki. W dolinie, na małej polance, natknęli się na oczekujących ich dwóch Hatów. Mieli z sobą małą, o dziwnej konstrukcji, maszynę latającą. Hatowie przewieźli nią rannego i Albę w głąb doliny. Na zboczu góry, na znacznej wysokości od brzegu rzeki znajdowała się ogromna pieczara. Tam się schronili i tam też Hatowie wykonali Ritowi zabieg operacyjny.

Alba asystowała im. Podziwiała zręczność młodego chirurga. A już w zdumienie wprowadził ją aparat, który łączył poszarpane mięśnie. Obserwowała twarze Hatów. Były posępne, zatroskane. Widać było, że i oni głęboko przeżywali to, co się stało. Albę gnębiła własna bezradność wobec rannego. Oprócz pigułek uśmierzających ból nie miała żadnych leków, które wpłynęłyby na polepszenie zdrowia Rita. Mogła tylko chłodzić lodem jego rozpalone gorączką czoło. Pokruszony na maleńkie kawałki lód podali Albie Hatowie i pokazali jej, jak robić z niego kompresy. Nigdy czegoś takiego nie widziała.

Po godzinie Rit spojrział na nią przytomnym wzrokiem i nawet coś powiedział, ale tak cicho, że nie dosłyszała. Z radości zaczęła krzyczeć, pewna, że kryzys minął. Również Hatowie nie ukrywali zadowolenia. Chirurg podał rannemu do wypicia jakiś płyn i delikatnym, ale stanowczym gestem nakazał Albie przerwanie kompresów. Wtedy też zauważyła pod ramie-

niem Rita niewielkie pudełko nadajnika. Był włączony. Nasunęło to Albie przypuszczenie, że prawdopodobnie Rit usiłował odszukać Ata, prosić go o pomoc. Gdzie był At? Czy jeszcze żył? A Pirna? Co dzieje się z rakieta? Czy aby strażnicy Wielkiego Rozumu nie wykryli ich pojazdu? Wiele takich i podobnych pytań nękało Albę. Ze zmęczenia bolała ją głowa, a myśli plątały się, pogłębiały stan oszołomienia. Pomyślała, że musi odnaleźć Ata. Z jego osobą łączyła nadzieje na opuszczenie tej dziwnej i strasznej zarazem planety. Zaraz też zbliżyła mikrofon nadajnika do ust. Długo skarżyła się i biadoliła, zanim usłyszała głos Ata. Starał się Albę pocieszyć i w pewnym stopniu nawet mu się to udało. Gdy łączność się urwała, Albę zmorzył sen. Śniła o swej odległej planecie. Jako kilkuletnia dziewczynka bawiła się ze swymi rówieśnicami w pięknie ukwieconym parku mitomoza. Dziewczynki urządzały gonitwy, jeżdżąc maleńkimi pojazdami-zabawkami po specjalnie do tego celu przystosowanych alejkach. Potem znudzone udały się na dziecinny kosmodrom. Można było wystrzeliwać z niego kolorowe pojazdy, które odpowiednio zaprogramowane wykonywały w powietrzu różnorodne ewolucje. Pyszna to była zabawa. Dziewczynki prześcigały się w pomysłach programując loty rakiet. Ale oto w chwili gdy rakiety pędziły w górze wykonując efektowne ewolucje, gdzieś wysoko, na seledynowym tle nieba pojawiła się prawdziwa rakietka. Była wielka i straszna. Pędziła wprost na bawiące się dziewczęta. Przerażone, rozbiegły się pospiesznie i na dziedzińcu kosmodromu pozostała tylko Alba. Ona również chciała uciekać. Wiedziała, że ogromna, czarna rakietka leci wprost na nią, że zagraża jej życiu. Nie mogła uciekać. Skrępowane czymś nogi odmówiły posłuszeństwa. Rzuciła się więc na granitowe płyty dziedzińca próbując na rękach podczołgać się w bezpieczne miejsce. Jednakże było już za późno. Obudziła się z krzykiem na ustach. Zobaczyła nad sobą twarz młodego Hata. Mówił coś do niej łagodnym głosem, uśmiechał się przy tym przyjaźnie.

Właśnie wtedy sklepienie pieczary drgnęło. Sypnęło drobinami startego piasku, a z czeluści jaskini szedł narastający grzmot. Jeszcze przez chwilę głuchy łomot ponurym echem wypełniał wnętrze pieczary. Przez tę chwilę Alba miała wrażenie, że skały pod nią pękają, że wszystko się wali i że sprawczynią tego jest owa rakietka z sennych marzeń. Ale zaraz zrozumiała, że nie był to sen, gdy podmuch gorącego powietrza zwałił z nóg Hatów. Słyszała ich przerażone głosy, widziała, jak miotają się po skalistym podłożu jaskini. Instynktownie podbiegła do Rita. Osłoniła go własnym ciałem. Wybuch wyrwał go z głębokiego snu. Spojrzał na Albę półprzytomnie.

— Co, co to jest? Co się dzieje? — wyszeptał ledwie dosłyszalnie.

Rozchylił usta, z trudem wciągając gorące powietrze.

— Duszę się — wycharczał.

Alba również zachłysnęła się falą ostrego, piekącego ciepła.

— To At — wyjąkała. — Mówił, że wyląduje na skalnej półce.

Oczy Rita błysnęły.

— Rozmawiałaś z nim? — Skinęła głową. — To dobrze — ożywił się na chwilę. — Zapewne przed lądowaniem zniszczył miasto-twierdzę.

Tymczasem do jaskini wpłynęła nowa fala gorąca. Rit ponownie stracił przytomność. Za przykładem Hatów Alba przywarła ciałem do podłogi jaskini. Leżała wyciągnięta tuląc twarz do chłodnej skały. Czuła zapierające oddech ciepło i mdły swąd spalenizny. Znała efekt wybuchu jądrowego. Wiedziała, że jeśli użyty przez Ata pocisk zaprawiony był radioaktywnym pierwiastkiem S, wówczas skutki promieniowania mogą się okazać fatalne nie tylko dla dotkniętego bezpośrednio wybuchem obszaru. Pomyślała, że At nie naraziłby przecież ani jej, ani Rita na złowrogie działanie pierwiastka. S był na tyle zdradliwy, że lubiąc towarzystwo wapnia, osadzał się w układzie kostnym żywej materii. Ale niepokój Alby nie trwał długo. Po niespełna kilku minutach straciła poczucie rzeczywistości.

Od chwili wylądowania At czynił usilne próby nawiązania łączności z Albą. Jednakże mimo nieustannych nawoływań odbiornik milczał. Zrezygnowany At wyszedł na zewnętrzny pomost Pirny. Zza skalistej wyżyny wychylała się promienna kula gwiazdy Nu. Ciszę poranka mąciło idące gdzieś ze zbocza góry krakanie ptaka. At spojrzał w tym kierunku. Na występie skalnym leżał wielki ptak. Wokół wyciągniętej szyi walały się kawałki zwęglonego pierza. Reszta ciała ptaka pokryta była bliznami. At wiedział, co to oznaczało. Termiczna fala wybuchu była w tym miejscu zbyt słaba, aby zwęglić ciało ptaka. Okaleczony dogorywał. W ostatnim geście rozpaczy wyciągnął szyję i wydobył z niej głos brzmiący jak skarga. At wzruszył się. Nie mógł pozostać obojętny. Nie namyślając się wyciągnął romi. Błysnęła złota nitka śmiertcionośnej energii. Ptak raz jeszcze poderwał okaleczone ciało, ale zaraz skurczył się, opadł. At nie przewidywał, że zasięg śmiertelnego rażenia wybuchu dotrze aż tutaj. Okoliczność ta wywołała w jego umyśle niepokój. A jeśli jaskinia, do której schronili się Alba i Rit, znajduje się właśnie gdzieś tutaj? Jeżeli rzeczywiście znaleźli się w miejscu niezbyt odległym od wybuchu, to być może konają w strasznych męczarniach. Na myśl, że przypuszczenie to może okazać się prawdą, ogarnął go paniczny lęk.

Nie panując nad sobą ruszył ścieżką w dół rzeki. Coś ciągnęło Ata ku miastu-twierdzy. Chciał na własne oczy przekonać się o rozmiarach klęski Wielkiego Rozumu. Ale nie tylko to było powodem, że podniecony biegł między rozpadlinami, zaglądając pod każdy nawis skalny. Instynkt mówił mu, że gdzieś tutaj między ogromnymi blokami znajdują się jego przyja-

ciele, że być może nie tylko Rit i Alba czekają na jego pomoc. Biegł potykając się na nierównej, ledwie zaznaczonej ścieżce. Chwilami przystawał. Unosił w górę głowę i ile sił w płucach krzyczał. Raz wzywał Albę, raz Rita. Za każdym razem odpowiadała mu cisza. Martwa, groźna cisza wisiała nad doliną.

Kiedy jednak minął przełom rzeki, powitał go suchy, jakby metaliczny chrzęst. W podmuchach wiatru szeleściły czarne, opalone kikuty krzewów. At nie znał ich nazwy. Miały podłużne listki, a ich żółte kwiaty dopiero co barwiły zbocze wesołą, ciepłą plamą. Teraz ich nędzne resztki wydawały złowrogi, jakby ostrzegający chrzęst. Wszystko to nie zrobiło na Acie większego wrażenia. Dopiero gdy ślaniając się na nogach ze zmęczenia wyszedł z doliny, to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Przed nim ciągnęła się pustynna płaszczyna, a to, co pozostało z miasta-twierdzy, nie było już nawet murem, a kupą gruzu. Miasto jakby zapadło się. Z gigantycznej budowli pozostało kilka samotnie sterczących kikutów. Powiało grozą z pustynnej równiny. Konstrukcje popalonych pojazdów, jakieś rozrzucone w nieładzie metalowe części mieszały się ze zwęglonymi trupami Hatów. Niektórzy z Hatów uciekali z płonących pojazdów, szukali ocalenia biegnąc w kierunku skał wąwozu. Jednakże skały były zbyt daleko, by mogły ochronić ich przed straszliwym podmuchi. Toteż padali w stożkowate, uformowane przez wiatr wydmy, usiłując ukryć płonące ciała pod warstwą piasku.

I tak już zostawali. Ogromne, rozrzucone na znacznej przestrzeni cmentarzysko czuć było swądem zwęglonych ciał. Wszystko to przeraziło Ata. Teraz zrozumiał swój błąd. To, że skierował pocisk o znacznej sile rażenia na znienawidzonego władcę planety Hat, było wybaczone. Nie mógł sobie jednak darować, że zrobił to w pośpiechu, że ci, których ostrzegał, nie zdolali wymknąć się z zagrożonej strefy.

Patrzył na ścielącą się pod stopami równinę, nękany wyrzutami sumienia. Zdawał sobie sprawę, że za te ofiary ponosi odpowiedzialność. Gdyby rozpoczął atak pół godziny później, może nie byłoby cmentarzyska. Zgnębiony, ślaniając się na nogach, ruszył w powrotną drogę. Nie wiedział, co dalej począć. Niepewny losu przyjaciół, targany złymi przeczuciami, szedł, z wysiłkiem stawiając obolałe nogi. Jego ambitne zamierzenia, plany stały się nagle jakby nic nie znaczące. Co pocznie, jeśli się okaże, że wybuch zabił Albę i Rita? Na myśl o tym poczuł zawrót głowy. Świadomość, że mógł być tego mimowolnym sprawcą, wywołała odruch rozpacz. Potknął się o głaz i padając stoczył się w głęboką rozpadlinę.

Stłuczone ramię dało o sobie znać przejmującym bólem. Zacisnął powieki i przewrócił się na drugi bok. Poczuł ulgę. Ale wtedy zjawił się strach. Potworny, dławiący oddech strach niósł z sobą przekonanie, że ta rozpadlina stanie się jego grobem. Czuł, że nie ma już siły na dalszą walkę. Uśmiechnął się z goryczą do własnych myśli. Co on sobie wyobrażał? Chciał

być zdobywcą kosmicznych przestrzeni. Dotrzeć tam, gdzie zagęszczenie supergalaktyk eliminuje kosmiczną pustkę, gdzie wieje potężny, kosmiczny wiatr. Tymczasem tak się nie stało. U progu podróży, ledwie dotknął stopami gruntu planety Hat, zetknął się z czymś tak dziwnym i niezrozumiałym, że jego wyobraźnia okazała się bezradna. Potem, gdy poznał Tuków, miał nadzieję, że przy ich pomocy rozwikła tajemnicę sztucznej świadomości, tajemnicę Wielkiego Rozumu. Dla Ata niektóre zjawiska występujące na planecie Hat były irracjonalne. Chciał je wyjaśnić, ale jego wysiłki okazały się daremne. Może stało się to tak dlatego, że jako przybysz z kosmosu był zbyt pewny siebie? Może zgubiła go wiara w potęgę cywilizacji, której był przedstawicielem? A teraz leżał w głębokiej jamie, bezsilny fizycznie i zrezygnowany. Nie usiłował nawet wydostać się z pułapki.

Jeszcze niedawno, gdy z rozkazu Wielkiego Rozumu wtrącono go do tunelu wielkiej ciszy, myślał podobnie. Tam również pewien był, że nie ma dla niego ratunku.

Ostrożnie uniośł obolałe ciało. Metr po metrze badał wnętrze jamy. Nie mógł powstrzymać okrzyku radości, gdy na wysokości głowy ujrzał wąską rozpadlinę, za którą jaśniał sele-dyn nieba. Możliwość wydostania się z pułapki wzmogła w nim wolę walki o życie. Pokonując zmęczenie wdrapał się do wąskiego, krętego przejścia. Ale przebycie ciasnej rozpadliny okazało się niezwykle trudne. Centymetr po centymetrze musiał pokonywać spłaszczoną, nierówną gardziel. Wreszcie wydostał się na niezbyt strome zbocze. Kilka metrów w dole dostrzegł drózkę. Był uratowany.

Schodząc w dolinę, zobaczył na skalnej półce obok rakiety drugi pojazd, niewielki oszklony aerostat, jakim latali z Kuszem. Serce zabiło mu radośnie. Pewien był, że wreszcie dowie się prawdy o losie Alby i Rita. Cieszył się, że raz jeszcze wykpił się śmierci. Kiedy jednak wszedł na skalną półkę, powitała go dzwoniąca w uszach cisza.

Zaniepokojony obszedł Pirnę. Po drugiej stronie rakiety, na czymś w rodzaju noszy spoczywał Rit. Obok na podkurczonych nogach siedziała Alba. Dalej, na samym skraju skalnej półki, klęczało czterech Hatów. Mieli wyciągnięte ku miastu-twierdzy ramiona, a na ich kamiennych twarzach At dostrzegł rozpacz, ból i zwątpienie. Było w tym tyle dramatyzmu, wewnętrznej udręki, że głos Ata załamał się w pół słowa. Radosnym okrzykiem zamierzał powitać Tuków, a szczególnie Kusza. Jednakże ani on, ani pozostali nawet nie drgnęli, kiedy At spojrział im w twarze. Zachowywali się tak, jakby go nie dostrzegli, jakby dla nich w ogóle nie istniał. Nie wiedział, jak się wobec nich zachować. Stał nieporuszony, łudząc się, że obojętność Kusza jest chwilowa, że wynika ze swoistego rytuału Hatów wobec śmierci. Ale czas upływał, a oni ciągle trwali w bolesnej zadumie. At wycofał się chyłkiem. Podszedł do leżącego Rita. Dopiero wtedy Alba drgnęła, jakby obudziła się.

— A, to ty, At — powiedziała szeptem.

Przypatrywała mu się z uwagą. Natarczywość jej wzroku zmieszała Ata. Wyciągnął do Alby rękę.

— Co mi się tak przyglądasz? Nie poznajesz mnie? — zawołał zdziwiony.

Wtedy Alba opuściła głowę i wybuchnęła płaczem. Jeśli Nurra płakał, oznaczało to, że przeżywa głęboką depresję, że jest po prostu chory. At przygarnął ramieniem głowę przyjaciółki.

— Zamiast się cieszyć, ty płaczesz. Znowu jesteśmy razem i już chociażby dlatego...

Przerwała mu rozżalonym, drżącym głosem:

— To wszystko przez ciebie. Chciałeś wydrzeć Hatom tajemnicę wiecznej świadomości. Chciałeś stać się sławny.

At zmarszczył twarz.

— O czym ty mówisz? — wykrzyknął. — Lądując tutaj nawet nie domyślałem się, że na planecie wegetuje to niezwykle monstrum. Musisz być chora, skoro przychodzą ci do głowy takie głupie myśli — dodał tym samym wzburzonym tonem.

Okrzyk Ata zbudził pogrążonego w niespokojnym śnie Rita. Chwilę przyglądał się Atowi, jakby nie miał pewności. Wreszcie At dostrzegł nikły uśmiech Rita. Wzruszony przypadł do jego piersi.

- Ty jeden powitałeś mnie jak przyjaciel przyjaciela — szepnął.

Rit uniósł nieco dłoń.

— Okazuje się, że i tym razem przeczucie mnie nie zawiodło — powiedział cicho. — Wiedziałem, że mimo wszystko odnajdziemy się.

Spojrzał na połyskującą ciemnym metalem Pirnę.

— Cała czwórka w komplecie.

At z uwagą oglądał straszną, krwawiącą jeszcze bliznę.

— Nieźle cię urządzili.

Rit pokręcił głową.

— To moja wina. Gdybym ich słuchał — wskazał wzrokiem w stronę Tuków — nie doszłoby do tego. Oni — ciągnął słabym głosem — okazali nam wiele serca.

Podeszła Alba. W dłoni trzymała podłużną, srebrną strzykawkę. Szybkim ruchem wbiła małą igłę w ramię Rita.

— Gdyby nie on — powiedziała — nie wiem, co by ze mną było.

Wyciągnęła igłę i nachylając się pocałowała Rita w usta.

— Nigdy ci tego nie zapomnę — dodała czule.

Ta demonstracja uczuć Alby wobec Rita zaszokowała Ata. Poczuł, jak ogarnia go pustka. Co to wszystko miało znaczyć? Jeszcze nie tak dawno Alba zapewniała go o swym uczuciu. Zgodziła się towarzyszyć mu w podróży tylko dlatego, że nie wyobrażała sobie życia bez niego, a tymczasem... Czyżby ta przeklęta planeta miała wpływ na psychikę? Czyżby odmieniła Albę?

At wodził zdumionym wzrokiem za swą przyjaciółką. Widział, jak wspinała się po drabince na podest rakiety. Podziwiał jej smukłą, odzianą w opięty skafander sylwetkę, a potem przeniósł pytający wzrok na twarz Rita. Ten jakby odgadł jego myśli.

— Ona nie jest sobą — szepnął usprawiedliwiająco. — Hatowie poddali Albę eksperymentowi i stąd to wszystko.

Czemu jednak mówiąc to Rit patrzył w niebo? — zastanowił się At. Czemu jego sina z upływu krwi twarz pokryła się rumieńcem? No tak, gdyby Rit nie był ciężko ranny, wyciągnąłby z niego prawdę, a tak...

— Nie wiem, co między wami zaszło — wycedził powoli. — I nie interesuje mnie to. Mam przed sobą tylko jeden cel: wyruszyć, i to zaraz, na międzygwiazdne szlaki. Czy polecisz ze mną?

Rit powoli odwrócił głowę.

— A co, pozostawiłbyś mnie tutaj? — odpowiedział pytaniem.

— Jesteś przecież ranny — odparł At. — Mogłaby z tobą pozostać Alba. Opiekowałaby się tobą, a potem moglibyście osiąść na jednej z wysp archipelagu Banasy i żyć długo i szczęśliwie wśród plemienia Tuków. To łagodnego usposobienia i życzliwy nam naród — dodał nie kryjąc ironii.

— Nie zrobisz tego, At — wykrztusił Rit. — Nie zostawisz nas na tym napromieniowanym pustkowiu.

At zobaczył rozszerzone strachem źrenice przyjaciela i zrozumiał, że posunął się za daleko. Sam nie wiedział, dlaczego wymyślił ten okrutny plan. Miała to być zemsta na Albie za to, że wzgardziła jego uczuciem? Patrzył w przerażone oczy rannego i odczuwał litość. Czemu mieszał go w porachunki z Albą? Czy to wina Rita, że Alba jego wybrała?

— Myślałem — podjął At — że ze względu na twoje zdrowie... — urwał.

Z czoła Rita starł delikatnie małe kropelki potu.

— Jeśli chcesz polecieć, to nie mam nic przeciwko temu — powiedział łagodnie. — Wiedz jednak, że ja nie rezygnuję ze swych planów. Czeka nas długa i niebezpieczna droga.

Rit uśmiechnął się.

— Wiem, polecimy tam, gdzie wieje kosmiczny wiatr.

— A więc w drogę! — wykrzyknął At.

Nie bez trudności przeniósł rannego pod windę rakiety, a potem przetransportował go do kabiny nawigacyjnej. Ledwie ułożył Rita w specjalnym kojcu, gdy zwrócił jego uwagę warkot silnika. Zaintrygowany wybiegł na pomost rakiety. Zataczając niewielkie koła, jakby nadmiernie obciążony, wznosił się w górę maleńki aerostat Kusza. Był już ponad Pirną. At dostrzegł twarze siedzących w nim Tuków. Nadal były surowe, nieprzeniknione. At uniósł ramię. Machając ręką żegnał tych, którzy przybyszom z dalekiej planety Nurra podali przyjacielskie dłonie, byli dla nich życzliwi i serdeczni. On, kosmita At, odwdzieczył się im niszcząc okrutnego i bezwzględego władcę planety Hat, ale zarazem przyczynił się do śmierci wielu mieszkańców. Hatowie odlatywali pogrążeni w tragicznym smutku. I w tym właśnie kryła się tajemnica planety Hat. Kto ją rozwikła? — myślał At zapatrzony w maleńki punkcik pojazdu ostro rysujący się na tle nieba. A może tajemnica tkwi w nich samych? Może Nurrowie nie są w stanie pojąć mentalności istot tworzących cywilizację Hat? At raz jeszcze powiódł wzrokiem po szerokiej panoramie skalistych, posępnych i dzikich gór, po czym wrócił do kabiny pilota.

Zanim włączył dźwignię rozruchu głównego silnika rakiety, przeszedł do kabiny nawigacyjnej. Rit wciśnięty w miękką wykładzinę kojca zapadł właśnie w sen. At sprawdził owijające przyjaciela pasy bezpieczeństwa. Były przymocowane właściwie. W salonie Alba czesała swe długie, jak miedź połyskujące włosy.

— Za dwie minuty startujemy — powiedział At sucho. — Przygotuj się.

— Jestem gotowa — odpowiedziała zapatrzona we własne odbicie.

Chwilę stał w drzwiach mając nadzieję, że coś mu jeszcze powie. Milczała. Wrócił do kabiny pilota. Przełączył dźwignię i zapadając w głęboki fotel, powiedział do Tea:

— Nareszcie lecimy. Włącz, drogi przyjacielu, wszystko co trzeba!

W odpowiedzi uśmiechnęły się do niego szklane oczy komputera.